I 293.422

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM II.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

złr. ct.

Aër. Pierwszy romantyk, powieść 2.60
D . Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie . . . . . 3.—
— opowiadania historyczne, 1 tom . . . . . 3.—
1) Pod pół księżycem. 2) Książe Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknéj kobiéty. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy 5.60
Bełza. Wanda. Opera w cztérech aktach . . . . . —.60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w oprawie . . 2.30
T. I. II. **Krasiński Z.** Pisma, wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła, wydanie zupełne, przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII.—X. **Zaleski B.** Poezye, wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Wóclewskiego. — XII. **Niemcewicz J.** Jan z Teczyna, powieść histor. — XIII.—XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła, wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckiego. — XVII.—XIX. El...y, (Asnyk Adam) Poezye, 3 tomy. — XX.—XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki.** Pamiętniki. — XXIV.—XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI.—XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 t. — XXIX.—XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne, 3 t. — XXXII.—XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. — XXXIV —XXXVII. **Romanowski M.**, Pisma, 4 t. — XXXVIII. XXXIX. **Słowacki J.** Listy, 2 t., wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne, 3 tomy, wydanie II. znacznie pomnożone.
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna 2.40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna 2.40
— Nad modrym Dunajem, nowella 2.40
Bronikowski, Listy Jana III., króla polskiego, pisane do królowéj Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683 . . . . . 2.80
— Jan III. Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVIII. w., 2 t. . 4.20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne 2.40
El...y. Gałązka heliotropu, komedya . . . . . —.60
Estreicher. W. Pol. jego młodość i otoczenie 2.80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj 2.40
Kaczkowski K., gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy 4.20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły 1.20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy 3.60
Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwa [illegible] każda po 3.40
— Jerzy Ossoliński, 2 tom[illegible] 6.80
Lemcke K. Estetyka, 2 tom[illegible] 6.40
Liske X. [illegible] ziemacy w Polsce. Podróże i pamiętniki 4.20
[illegible] Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemieńskiego 2.80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825 . . . . . 1.80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akademii Umiejętności . . . . . 12.—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu 2.20
Pamiętnik damy polskiéj z XVIII. wieku 1.80
Przyborowski W. Rubin wezyrski, powieść 1.80
— Księżniczka z Minsterbergu 1.50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut, synowie Gedymina, W. ks. Litwy . . 2.40
Sass Berlicz. Mozaika, gawędy szlacheckie, 2 tomy 3.80
Sewer. Bratnie dusze, powieść 2.40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta, opowiadania, 3 tomy z illustracyami 5.40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy 4.20
— Medytacye kawalerskie 2.40
Wilkońska P. Na teraz, powieść 2.20
Wspomnienia Konstantego Wolickiego z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiéj i na Syberyi 2.40
Zieliński, August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy 2.60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus 3.60

Z księgozbioru
No 249
Seminarjum Państw.
dla naucz. rel. mojż.
w Warszawie

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

[Egz. zniszczony]

WYDANIE DRUGIE POMNOŻONE

STARANIEM

DRA. ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

PAŃSTW. SEMINARJUM NAUCZ. REL. MOJŻ. W WARSZAWIE

TOM II.

No Inw. 384/I
I. 278/II
No Inw.
PAŃSTW. SEMINARJUM NAUCZ. REL. MOJŻ. W WARSZAWIE

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1885.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005820537

I 293.422

Z c. k. nadw. drukarni Karola Prochaski w Cieszynie.

PAŃSTWOWE SEMINARJUM NAUCZYCIELSKIE W WARSZAWIE
DLA NAUCZYCIELI EL. MC.

MINDOWE

KRÓL LITEWSKI.

OBRAZ HISTORYCZNY

W PIĘCIU AKTACH.

PAŃST. SEM. DLA NAUCZ. REL. MOJ. W WARSZAWIE

OSOBY.

MINDOWE, król litewski.
ROGNEDA, matka Mindowy, ociemniała.
HEJDENRICH, krzyżak, Legat papieski.
DOWMUNT, Książę Znalszawski.
ALDONA, żona Dowmunta.
TROJNAT, synowiec Mindowy.
HERMAN, krzyżak.
WOJSIEŁKO, mnich, syn Mindowy.
LUTUWER.
KRZYŻAK.
MNICH 1szy.
Litwini. Krzyżacy, Paziowie, orszak Mnichów.

Scena w zamku Nowogrodzkim.

Z księgozbioru
No.....
Seminarjum Państw.
dla naucz. rel. mojż.
w Warszawie

AKT I.

SCENA I.

Sala w zamku Mindowy.

TROJNAT, HERMAN, PAZIOWIE niosą kobierce.

HERMAN, do Paziów.

Rozścielcie tu kobierce, papież je przysyła
Dla króla poganina, co dzisiaj chrzest bierze.
Święta korona skronie pogańskie okryła,
Niech więc czci wiarę, niechaj jéj świętości strzeże,
Niech poważa Krzyżaków święcone klasztory.

TROJNAT.

Jakże cudnie utkane zamorskie bisiory!
Po takich łąkach nieraz śledzę sarny tropy.
Niemcy musieli pokraść z naszych dolin kwiaty,
Wstąpię na nie, woń może wydadzą z pod stopy.

HERMAN, wstrzymując go.

Wybacz, Książę Trojnacie, nie masz chrzestnéj szaty,
Nie możesz po nich stąpać, z Rzymu je przywożę.

TROJNAT.

A kiedy będę królem, będę mógł?

HERMAN.

Ha! może?
Jeśli razem zostaniesz i kościoła synem.

TROJNAT.

A kiedy będę królem nie-chrześcijaninem?

HERMAN.

[illegible]rzysz, Książę!

TROJNAT.

Ty marzysz! jam dziedzic korony.
Kto wie, czy będę czekał, aż losu koleją
Spadnie na mnie dziedzictwo?

HERMAN.

Łudzisz się nadzieją,
Płonną nadzieją... Słyszysz chrześcijańskie dzwony!
Słyszysz? chrześcijańskimi przemawiają słowy.
Umilkły wasze bory, ustały drzew szumy,
I ludzie milczeć będą i uchylą głowy.
Słyszysz te dzwony! teraz zbądź niewczesnéj dumy.
Zbladłeś?

TROJNAT.

O nie! myślałem — że dzwony usłyszę
Na pogrzebie Mindowy.

HERMAN.

Przy dzwonów odgłosie
Może ciebie w grób włożą?

TROJNAT.

Ja — spłonę na stosie!
Mnie modrzew cichym szumem do snu ukołysze.
Jeszcze usiądzie sokół na martwém ramieniu,
Nastrzępi pióra — chartów zaskowycze sfora.
Ani mię ciasna ziemi uwięzi zapora,
Ja z pieśnią Wajdeloty ulecę w płomieniu:
Ulecę — może razem z jaką Niemca duszą.

HERMAN.

Nie słyszę twojéj mowy, bo ją dzwony głuszą.

TROJNAT.

Wykręt krzyżacki — słyszał!

HERMAN.

Już wydane hasła,
Śpieszę chrzcić króla Litwy.

TROJNAT.

Tyś zawsze gotowy
Chrzcić i grzebać ochrzconych — idź na chrzest Mindowy

Zapal tam świécę — zapal — i strzeż, by nie zgasła,
Nim się dopali, pójdziesz za Mindowy trumną,
Oszczędzisz sobie trudu.

HERMAN.

O książe Trojnacie!
Nadto słabą masz rękę, duszę nadto dumną;
Do czegoż próżne groźby...

TROJNAT.

Czyliż wy mniemacie,
Że trudno zabić stryja? Ochrzcić trudniéj było,
A wyście go ochrzcili. Byłem królem we śnie,
A o chrzcie nigdy mi się nawet i nie śniło.

HERMAN.

Jeżeli tak? zamiary odkrywasz zawcześnie.
We mgle ukryta zemsta, posępna i cicha
Jest stałością rycerza; jawna — dumą dziecka.

TROJNAT.

Gdzież więcéj dumy jako pod tą zbroją mnicha!
Jak wąż się kryje podła, nikczemna, zdradziecka,
Sam cel często łożonych trudów nie opłaci.
Patrz! Braciszek zakonu, najpodlejszy z braci,
Ostatni, wśród posępnéj wychowany celi,
Nędzny — na granitowéj zasypia pościeli,
Lub, o nędzo człowieka! w trumnie odpoczywa.
I tam uśpiony, dumę zdradza przez sen, słowy,
Rządzi klasztorem, z dumnéj przełożonych głowy
Brylantami błyszczący znak godności zrywa,
I sam się stroi — patrzaj! a ten przełożony
Już marzy o czerwonym na głowę birecie;
A ten, co biret posiadł — przez sen już ma trony,
Trony papieskie — Papież? — Papież starzec — dziécię —
Dziécię przy królu Litwy, nie straszny nikomu.

HERMAN.

Wielki nasz Papież usiadł gdzieś w italskim domu,
Z drżącą starości dłonią, z osiwiałą głową.
Wielki! — niechaj wyrzeknie jedno ciche słowo,
Którego brzmieniem ledwo zabrzmią echa sali,

Od dźwięku tego słowa mnogi tron się wali:
Spadają króle, berła wypuszczają z dłoni,
Lub chwieją się jak wieże, gdy Bóg wstrząsa ziemię;
Ale gdy twarz łagodną przed ludem odsłoni,
Chrześcijan mnogie na twarz pada przed nim plemię,
Drżące błogosławieństwo starca się rozlega
Od wzniosłych wież Solimy do Baltyku brzega.
Książę! będziesz przytomny przy chrzestnym obrzędzie?

TROJNAT.

Nie jestem wam potrzebny.

HERMAN.

Żegnam cię.

Odchodzi z orszakiem paziów.

TROJNAT sam.

Więc wszędzie!
Wszędzie mnichów spotykam! ale przyjdzie pora —
Przyjdzie — on zginąć musi — z nim Niemcy wyginą.
Mindowe, pierwszy z książąt, Niemcom groził wczora,
Dziś tron otoczył zdradną krzyżaków drużyną.
Lecz ten sztylet — w nim Litwa pokłada nadzieję;
Zemną jest lud, kapłani, Dowmunt, mąż Aldony.
Dowmunt, gdy na się zbroję krzyżacką przywdzieje,
Przyjdzie szukać wydartéj przez Mindowę żony;
I mścić się będzie — dla mnie wolny tron zostanie.

Patrząc w głąb.

Oto matka Mindowy ciemna, obłąkana.

Rogneda wchodzi chwiejącym się krokiem, rękami naprzód wyciągniętymi szukając drogi.

Rognedo! przyjm od twego wnuka powitanie.

ROGNEDA.

Wnuka? ja nie mam wnuka — nie mam syna — zrana
Miałam syna i wnuka — już syna grób kryje.

TROJNAT.

Rognedo, ty masz syna! syn twój żyje.

ROGNEDA.

Żyje!
Syn mój żyje — ze wzrokiem pamięć utraciłam.

Kiedyś patrzałam na świat, wtenczas i ja żyłam,
A teraz noc tak ciemna! Boże Litwy! Boże!

Siada z obłąkaniem starości.

Anno! daj mi przędziwo, oto zeszło zorze:
Dziéwczęta, wy do pracy — miły szmer wrzeciona.

Usiłując śpiewać.

Śpij, moje dziécię! matka przy tobie,
Na twojéj głowie korona.
Śpij, moje dziécię! śpij, moje dziécię!

Po chwili.

On żyje i ja żyję — ale moje życie
Bliskie, bliskie już grobu — i on zaśnie w grobie.
Nie ujrzę go przed śmiercią — śmierć prędko się zbliża.
Czy go widziałeś? jak on wygląda?...

TROJNAT.

Mindowe?

Krzyż ma na piersiach.

ROGNEDA.

Nigdy nie widziałam krzyża,
Jak on straszny być musi...

TROJNAT.

Krzyże brylantowe
Są darami papieża.

ROGNEDA, podnosząc się ze zgrozą.

Papież! Papież!

Pada na krzesło.

TROJNAT.

Kona.

ROGNEDA po chwili.

Anno! staw kołowrótek, podaj mi wrzeciona.
Papież? kto tu wspominał Papieża? — to echo,
Echo mojéj pamięci, rani mię boleśnie.
Dwóch miałam synów: tamten był moją pociechą;
Twój ojciec, drugi, marzę — ja marzę jak we śnie,
Drugi, gdzież jest syn drugi?

Podczas ostatnich słów wchodzą na scenę: MINDOWE w białéj chrzestnéj szacie, z koroną na głowie. HEJDENRICH w ubiorze legata, z pod komży przezroczystéj przebija się zbroja. HERMAN niesie krzyż złoty przed legatem. DOWMUNT w krzyżackiéj zbroi z zapuszczoną przyłbicą, na któréj jest godłem róża, na węzgłowiu również niesie złotą różę i opodal od tłumu opiera się o jeden z filarów. LUTUWER.

Czuję krew koło mnie,
Mindowe jest tu blisko... Przybliż się, Mindowe!
Pewnie z nowéj wyprawy wieziesz łupy nowe?
Pewnie teraz twa sława zabrzmi wiekopomnie?
Słyszę, jak lud okrzykiem uwielbia twe czyny,
Czy wracasz z ciemnéj Żmudzi? z po nad brzegów Dźwiny?
Czy ukorzyłeś Niemców zakon świętokradzki?
Czy Ruś drżała przed tobą? czy drżał król Kipczacki?
Czy z mnogim wracasz łupem? z mnogimi dostatki?
Powiédz, cieszyć się będę i ze łzami matki
Będę ci błogosławić, przybliż się, mój synu.

MINDOWE.

Matko! co te szydercze słowa mają znaczyć?
Na ubłaganie bogów dam kubeł bursztynu,
Dam dwa, jeśli za jeden nie zechcą przebaczyć.

ROGNEDA.

On bluźni! jam słyszała — on bluźni!... O książę!
Nie mogę równie pojąć, co znaczy ta mowa,
Z ust twoich płyną dzisiaj niezwyczajne słowa;
Lecz jeszcze miłość matki do ciebie mnie wiąże,
Zbliż się, z błogosławieństwem dłoń ma na cię spadnie.
Cóż to? ty mnie unikasz jako zgryzot mary;
Czy bez wszystkiego możesz obejść się tak snadnie,
Jak bez błogosławieństwa matki — i bez wiary?

MINDOWE.

Nie, są rzeczy, bez których obejść mi się trudno,
A wszakże się obchodzę, potrzebą naglony.
Tak z niejedną dzierżawą rozstałem się ludną,
Oddałem Haliczanom brylant méj korony,
Ów Słonim, co wśród smugów wznosi się pod niebo,
I wołkowyskie moje rozległe dzierżawy.
Rognedo! trudno mi się obejść i bez sławy,
Jednak sławie ująłem, naglony potrzebą.

Jestem królem, lud wielbi — szydzą wojownicy,
I straszniejszy dla Niemców był połysk przyłbicy,
Niżeli ta korona, która tylko świéci
Blaskiem marnym dla niewiast i gminu i dzieci.
Ale cierpmy do czasu, taka losu wola,
Trudno, nawet Mindowie, z losem działać sprzecznie.
Matko! czyliż mnie będziesz nienawidzić wiecznie?
Matko! czyż ci nie miło widzieć w synu króla?
Oto przed tobą czoło wieńczone uginam,
Błogosław mnie więc, matko! błogosław!

ROGNEDA wyciągając nad nim rękę.

Przeklinam!

HEJDENRICH.

Nikt nie odpowie Amen.

ROGNEDA.

Mindowe! Mindowe!
Posłuchaj mnie, słuchajcie wy, mnichy krzyżowe.
Przekleństwo wam! przekleństwo krzyżackiéj obłudzie,
Co jak zaraza Litwę ciemném skrzydłem kryje.
Synu! ciebie zaraza dotknie — nie zabije,
Ale od ciebie będą uciekali ludzie.
Zostaniesz sam na świecie, będziesz żył, mój synu!
Wymrą ludy, na któreś kładł żelazne pęta,
I zostaniesz samotny na mogiłach gminu.
Ta wiara! wiara ciemna przez ciebie przyjęta
Połączy cię z narodem, co Litwę pochłonie.
Siedzisz na tronie, z tobą i Papież na tronie!
Mindowe, ty masz dzieci, to będą morderce,
Idź, zabij je w kołysce, własne morduj syny!
Urodziłam gadzinę! ty rodzisz gadziny!
Ha! rozdarłam ci serce! rozdarłam ci serce!

Wychodzi wsparta na Trojnacie.

MINDOWE.

Słyszeliście!

HEJDENRICH.

Cóż znaczy przekleństwo poganki?

MINDOWE.

To jest przekleństwo matki! Ale tak — cóż znaczy?
Marne słowa bezsilnéj zemsty i rozpaczy.

HEJDENRICH.

Zaprzestańmy już przykréj o przekleństwach wzmianki,
Oto z błogosławieństwem niosęć list Papieża.

MINDOWE.

Ja nie znam pisma — czytaj!

HEJDENRICH.

Krótko rzecz przełożę...
Papież ciebie pozdrawia, królu, w Imię boże,
I chrześcijan poddanych twéj pieczy powierza.
Przypomina ci, królu, abyś był gotowy
Bronić twéj wiary mieczem, a rozszerzać słowy;
Nadto, znając jak wielka jest twoja potęga,
Gdy państwo Litwy mieczem skreślona granicą
Od Bałtyckiego morza do hord Krymu sięga,
Powiększone nie jedną ościenną dzielnicą;
I jak potok wezbrany ciągle się rozlewa;
Z wielkich krajów nasz Papież twéj wielkości miarę
Biorąc, po wiernym synu słusznie się spodziewa,
Że skoroś tak ukochał chrześcijańską wiarę,
Dając nam przywiązania niemylne dowody,
Zechcesz, jak czynią Polski i Niemiec narody...

Mindowe się marszczy.

Znana albowiem wielka wspaniałość Mindowy;
Zechcesz, mówię, jak czynią inni wojownicy,
Na oléj lampy w Piotra świętego kaplicy
Przysyłać rocznie w darze jeden grosz od głowy.
A chcąc dowieść, jak wielce cnotę twą miłuje,
W zawdzięczenie ci Papież daje i daruje,
I wszelkiéj władzy tobie, Mindowe, użycza
Nad wszystkimi krajami, które w dalsze lata
Zagarniesz mieczem Rusi, u Towtwiła brata,
Lub zyskasz na Danielu, książęciu z Halicza.

MINDOWE.

Czy to szyderstwo? pierwszy raz papieska mowa
Zabłądziła aż w Litwy ponure krainy;

Pół dnia płynęły słodko twe miodowe słowa,
Z trudnościąm rzecz wyśledził wśród słów plątaniny.
Cenię łaskę papieża — korzystać z niéj będę,
Zatrzymam pewno kraje, które sam zdobędę,
Nikomu nie ustąpię mojéj pracy plonu;
Wezmę kraje zdobyte na Haliczu, Rusi,
A gdy się uda, kraje waszego zakonu.
Papież, gdy tak rozdaje, sam wiele mieć musi,
A stąd rzecz uważając, łatwo teraz wnoszę,
Że mu na oléj Litwy niepotrzebne grosze.

HEJDENRICH.

Ze złéj widziana strony rzecz złą się okaże,
Lecz wierzaj mi, najlepsze są chęci Papieża.
Patrz, jaką drogą świętość przysyła ci w darze;
Jéj straży twoje ciało i duszę powierza;
Ona ustali cnoty, zgasi złe zapały.
Pewnie wiesz, jak Sebastyan z cnót swych znakomity
Skonał męczeńską śmiercią — oto drzewce strzały,
Którą ten święty został na krzyżu przebity,
Obficie napojone we krwi Sebastyana.

MINDOWE, wyjmując sztylet.

Dam ci podobną świętość dla Papieża pana.
Ten sztylet od dzieciństwa wisi mi u boku,
Pił krew starców i niewiast — i tkwi mi w pamięci,
Że kiedy umierali, w tym ofiar natłoku
Było kilku tak świętych, jak są wasi święci.
Cóż to? drżysz..

HEIDENRICH.

O Mindowe! godzien boskiéj kary
Ten, kto wiarę przyjąwszy, bluźni przeciw wiary!
Z naszéj ręki niedawno wziąłeś tytuł króla,
Jeszcze nowa twa godność niepewna i drżąca.
Wiesz, jak czarno pisana nasza rzymska bula,
Dawnych królów, cesarzów z dawnych tronów strąca
Jednym pociągiem pióra, bez sporu, bez bitwy.

MINDOWE.

Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.

I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to, co myślę.
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniecie.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe!

HEJDENRICH.

Panie! oba innymi przemawiajmy słowy.
Przez usta posła Papież uczucia wynurza,
Zakończę więc poselstwo.

Wskazując na niesione przez Dowmunta węzgłowie.

Oto złota róża
Dla twojéj, panie, żony, litewskiéj królowéj.

MINDOWE.

Dla mojéj żony? dawno umarła mi żona.
Czyż nie wie o tém Papież?

HEJDENRICH.

Przebacz błąd Papieża.
Ale ta ciemna Litwa, lasami omglona,
Zasłania cię przed światem, zamku twego wieża
Jest niższą niż te sosny. Komuż złożę dary?

MINDOWE.

Matce mojéj...

HEJDENRICH.

Święconéj nie przyjmie ofiary.

MINDOWE.

Posłuchaj więc, krzyżaku, złóż je przed Aldoną,
Jest siostrą mojéj żony, będzie moją żoną.
Niech tu stanie Aldona.

Jeden ze straży wychodzi.

Wy głowie kościoła
Odnieście te wyrazy... Choć korona złota,
Z lekkiéj blachy, zaledwo dotyka mi czoła;
I gdyby nie przecudna jéj liści robota,

Ledwie kilka florenów zaważy na szali!
Jednak wdzięcznie przyjmuję dar Papieża Pana,
Lekką jak liść koronę żelazo ustali.
Jakiż tron jest świetniejszy? czyli Ruś znękana,
Gdzie książęta, stargawszy krwi związki przyjazne,
Lodowaty kraj niszczą sprzecznymi zamachy.
Już Halicz drży przedemną, jedne tylko Lachy
Rosnącéj Litwie piersi stawiają żelazne.

Aldona wchodzi.

Oto jest pierwsza z dziewic litewskiego grona,
Sprawiaj twoje poselstwo.

HEIDENRICH, do Aldony.

O ty! któréj skronie
Wkrótce uwieńczy Litwy złocista korona,
Przyjm różę, którą Tybru wychowało błonie,
Tam pod wiary promieniem złote rosną kwiaty.

ALDONA.

Źle się zgadza blask złota z żałobnymi szaty.
Miałam męża, mam męża; jeśli jeszcze żyje,
On się tuła po świecie. Przysięgłam mu wiarę,
Nigdy korona moich skroni nie okryje.
Ale wdzięcznie przyjmuję Papieża ofiarę.
Czuję, wkrótce z tym zimnym rozstanę się światem,
Ten kwiat niezwiędły będzie mym śmiertelnym kwiatem.

HEJDENRICH.

Jak niemieckie dziewice przyjęła bez braku,
Złoto zawsze jest złotem...

Daje znak Dowmuntowi, aby podał różę. Dowmunt się zbliża drżący.

MINDOWE, wpatrując się w Dowmunta.

Co ty drżysz, krzyżaku?
Ktoś ty jest?

ALDONA, wznosi oczy na Dowmunta.

Ach!

Pada omdlała. Dowmunt wychodzi.

BIBLIOTEKA NARODOWA

MINDOWE.

Omdlała! wynieść ją z komnaty!
Ścigać tego krzyżaka. Ha! co to się znaczy?
Kto on jest?

HEJDENRICH.

Nie wiem, panie, nosi giermka szaty,
Przybył do nas posępny, z wyrazem rozpaczy,
Zaciągnął się w szeregi nieznany nikomu;
Sądzę, że to wygnaniec z wyspy Albionu,
Na hełmie nosi różę, znak Lankastrów domu.

MINDOWE.

Precz stąd, mnichy najemne! koło mego tronu
Widzę sztylety... precz stąd!

HEJDENRICH.

Wiara królów strzeże.
Żegnamy ciebie, panie.

Odchodzi z orszakiem krzyżaków.

MINDOWE.

Przystąp, Lutuwerze.
Nie wiesz, co to za jeden jest ów krzyżak młody?

LUTUWER.

On najmniéj podejrzanym zdawał mi się w tłumie,
Młody jeszcze, rycerskiéj nie nosi ostrogi,
Milczy, bo po niemiecku nikt go nie rozumie;
Stroni ludzi, bo smutny — smutny, bo ubogi.

MINDOWE.

Trudno, abyś podejrzeń ciemny tłok rozegnał.
Jam go dobrze uważał przy chrzestnym obrzędzie,
Gdy kapłan błogosławił, on się nie przeżegnał.
To Litwin.

LUTUWER.

O Mindowe! pewnie jesteś w błędzie.
To krzyżak. Czyżby Litwin przywdział taką zbroję?
Z czarnym krzyżem, w krzyżackim święconą kościele;
Sambym się nie odważył, wyznam, królu, śmiele,

Że ja się więcéj krzyża, niż krzyżaków boję.
A chociaż chrzest przyjąłem za twoim rozkazem,
Lękam się nowéj wiary, jako nowéj tarczy;
Nowa nie zawsze z wrogiem w obronie wystarczy,
Często jak szkło się kruszy, dotknięta żelazem.
Zmuszony żyć wśród Niemców, męczę się i żyję,
Lecz nienawiść dotyla rozkrzewia się w duszy,
Kiedy jestem przy Niemcach, tak mi serce bije,
Że mi się kiedyś w piersiach od wzgardy rozkruszy.

MINDOWE.

Tak myśli lud litewski... Słuchaj, Lutuwerze,
Wierzę twéj nienawiści, jak w twą wierność wierzę.
Teraz mi téj ostatniéj potrzebne dowody.
Ten krzyżak, przewiduję, jest to Dowmunt młody;
Nie wiem, nigdy Dowmunta nie widziałem twarzy;
Lecz przeczuwam, on śledzi, by mnie zejść bez straży,
Zdradziecko zamordować. Trzeba rzecz wybadać,
Wyśledzić; jeśli Dowmunt, pewna śmierć go czeka.
Dowiédz się...

LUTUWER.

O Mindowe, i na cóż odkładać?
Nigdyś nie myślał tyle nad śmiercią człowieka.

MINDOWE

Jeżeli teraz myślę, mam słuszne powody.
Śmierci krzyżaka mszczą się wszyscy krzyżownicy,
A ja, nim z nimi zerwę, chcę ażeby wprzódy
Rozeszły się ich wojska z litewskiéj granicy;
Chcę, żeby się wprzód Rusi rozprószyły tłumy,
Które jak czarne chmury po nad Litwą wiszą.
Potém u siebie rogi litewskie usłyszą,
Teraz niechaj rozsądek trzyma miejsce dumy.

LUTUWER

Gdybyś posłuchał, królu, co radzi to serce,
Tobyś wszystkich krzyżaków zebrał w dolnéj sali,
Potém zamek podpalić, niech się z nimi spali;
Lub Litwinów ukrywszy za ścienne kobierce,
W kryjówki, w czcze kolumny i w próżne filary,

Skinąłbyś — na skinienie padłyby ofiary,
I krzyżackiéj krwi strumień po murach popłynął,
A jeśli jest w tym tłumie, i Dowmunt by zginął.

MINDOWE.

Poradziłeś z zapałem, tak radzą rycerze,
Co wolą mieczem działać, niż myślą i słowy.
Lecz nie pójdę za twoją radą, Lutuwerze,
Inny mam wcale zamiar, usnuty, gotowy,
Ona sama odkryje tajemnic zasłony,
Dowmunt zginie, padając przy stopach Aldony.

AKT II.

SCENA I.

ROGNEDA, TROJNAT.

ROGNEDA stoi oparta na kamiennym stole.

Podaj mi czarę... Litwo! Litwo nieszczęśliwa!
Dla twoich bogów nową poświęcę ofiarę,
Syna poświęcę — rozpacz serce mi rozrywa,
Ja go zabiję z płaczem... podaj mi tę czarę!
Napełnię ją trucizną... Boże Litwy! Boże!
Niech on umrze spokojnie — niech nie cierpi długo,
Ja go łzami obmyję — na stosie położę,
Zaśpiewam pieśń — grobową uczczę go posługą.

Sypie truciznę.

Łza upadła do wina, może ta łza matki
Zniszczy skutek trucizny? czy już noc na niebie?
Tak mi ciemno... Wsypałam trucizny ostatki,
Dla mnie nic nie zostało.

Mindowe wchodzi na scenę, Lutuwer rozmawia z nim, wskazuje na czarę i sam oddala się.

MINDOWE, z udaną spokojnością.

Matko! witam ciebie!
Witam, młody synowcze. Powracam z ogrodu,
Słuchałem jak z nad Niemna śpiew słowika płynie,
Zachwycony urokiem wieczornego chłodu;
Ale nie mniéj szczęśliwy przy mojéj rodzinie,

Znajduję szczęście w domu — zawsze miłość wasza
Chmury nieszczęść wiszące nademną rozprasza.
Przy was jestem bezpieczny, zasypiam w pokoju.
Ty milczysz, matko?...

ROGNEDA.

Synu, może chcesz napoju?
Oto wino...

MINDOWE.

Już wino piłem dzisiaj rano
Przy chrzcie moim.

ROGNEDA.

Bluźnierca!

MINDOWE do Trojnata.

Nim gwiazdy powstaną,
Trojnacie, masz opuścić litewską stolicę.
Zaniesiesz Wojsiełkowi to pismo odemnie,
Zawiera ono w sobie ważną tajemnicę;
Powinno być wręczone prędko i tajemnie.
Wojsiełkowi skądinąd znane są me chęci,
Wymagam więc pośpiechu — pomnij, nakaz srogi,
Biada! jeśli się zwrócisz z przykazanéj drogi,
Biada! jeśli wojskowéj naruszysz pieczęci.
Oto masz list.

ROGNEDA, na stronie.

Już odkrył Trojnata zamiary... (głośno)
Więc pozbawiasz mnie wnuka? przynajmniéj z téj czary
Spełń toast pożegnania.

Mindowe bierze podaną czarę, lecz jéj nie pije. Rogneda po chwili drżącym głosem.

Czyś wypił?

MINDOWE, uderzając się w czoło.

Rogneda!

ROGNEDA.

Nigdyż krwawe sumienie spoczynku ci nie da?
Widzisz krew w głębi czary?

MINDOWE.

W napojach biesiady
Nigdy krwi nie spostrzegam, ale truciznę jady.

ROGNEDA.

Pokażę ci, jak twoja podejrzliwość zwodna,
Spełnię ją do połowy, ty ją spełnisz do dna.

MINDOWE, ciska i tłucze czarę.

O matko! coś wyrzekła? precz, czaro przeklęta!
Tyś mi była najdroższym przodków moich darem,
Jedyny prawie spadek, zawsze dla mnie święta,
Nieraz na ucztach słodkim szumiąca nektarem.
Gdzieś za morzami w kryształ roztopione piaski
Wydały ciebie z łona — nieraz, pełna wina,
Zachwycałaś zdumione wejrzenie Litwina,
Gdy słońce w tobie grało tysiącznymi blaski;
Ja ciskam cię o głazy! Matko, coś wyrzekła?
Skąd ta nienawiść czarna? skąd ta zemsta wściekła?
Chciałaś umrzeć i syna wtrącić do mogiły.

ROGNEDA.

Ukarz mnie — zniosę karę, ja mam jeszcze siły!

MINDOWE.

Ha! tak, chciałabyś, matko, znosząc karę srogą,
W obliczu ludu umrzeć męczenniczką wiary?
Alem nadto przezorny, bym powściągał kary
Tych, którzy chcą mi szkodzić, lecz szkodzić nie mogą.
Bądź więc spokojna, matko — uraza tak mała...

ROGNEDA.

Nie chciałam cię urazić — jam cię zabić chciała.

Wychodzi wsparta na Trojnacie.

MINDOWE, sam.

Sam więc jestem, sam jestem; walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekłe wargi;
Wędzidłem krwawém ściągać dzikie ludu hordy,
To moje życie... usta nie wydadzą skargi...
Nie wiedzą, że ja cierpię. — Zbędę się Trojnata,
Pochwycą go, postrzygą, zamkną w mur klasztorny.

Przed ludem mnie zakrywa tajemnicza szata.
Chrześcijanin, krzyżaków przyjaciel pozorny,
Wkrótce zgnębię te zmienne, dwugłowe poczwary.
Wyginą wszyscy. — Wiara? wiara czcze wyrazy!
Chrziłem się, bo mi wtenczas trzeba było wiary;
Teraz, cóż za różnica? czy krzyż od Papieża,
Czy w cerkwiach ruskich złotem błyszczące obrazy,
Albo księżyc Mongołów — miecz wiarą rycerza.
Lecz Aldona nadchodzi, zbadam tajemnicę,
Kto jest ów tajny krzyżak.

Aldona wchodzi.

Aldono! twe lice
Zawsze we łzach, więc wszędzie widzę łzy i zdrady,
Sztylety, trucizn czary i miodowe słowa.
Przebacz, ciebie przelękła ta gwałtowna mowa,
Ty drżysz, Aldono? zniknął twój rumieniec blady.
Oto czara z trucizną o głazy rozbita,
Chciałem ją spełnić, dotąd byłbym w cichym grobie;
Lecz wyznam ci, Aldono! nadzieja ukryta
Wytrąciła mi czarę, jedna myśl o tobie.
Aldono! powiedz słowo.

ALDONA.

Panie! twe cierpienia
Ani mnie twoja miłość nigdy nie zniewoli.
Na cóżeś mi domowe przerwał zatrudnienia,
Którymi słodzę długie godziny niedoli?
Gdy w gronie moich dziewic, przy lampy płomieniu
Widzę, jak w koło srebrne toczą się przędziwa,
Gdy słyszę pieśń rodzinną w ich łagodném pieniu,
Przez chwilę cichém szczęściem tak jestem szczęśliwa,
Że często nad moimi krosnami schylona,
Widząc, jak kwiat pod igły dotknięciem rozkwita,
Cierpień moich zapomnę — póki ciężkie z łona
Nie wyrwie się westchnienie, z oczu łza ukryta.

MINDOWE.

Tyś spokojna, ja nie chcę widzieć cię spokojną.
Szczęśliwa? nie chcę, żebyś ty była szczęśliwa.
Niech serce twoje zawre sprzeczną uczuć wojną,

Niech je niszczy rdza cierpień, zgryzota rozrywa;
A gdyś z widokiem cierpień nadto oswojona,
Śmierć jest dla ciebie nową, dziś skończysz dni twoje.

ALDONA, z przerażeniem.

Błagam cię, panie! błagam na Bogów imiona!
Nie zadawaj mi śmierci, ja się śmierci boję!
Wszystko mi! wszystko bliski zgon już zapowiada.
Koniec mój, o! przeczuwam, będzie nadto skory.
Patrzaj, Mindowe! patrzaj! jak twarz moja blada,
Na twarzy rozmarzone gorączki kolory,
Szklistym blaskiem posępnie ożywione oczy;
Wkrótce mię całą cichość grobowa otoczy.
Niejedna z dziewic moich, co cierpień nie znała,
Mówiąc do mnie, nim skończy, łzami się zaleje,
A gdy mówi, głos zniża, jak gdyby nie śmiała
Dźwiękiem mowy, lub marne podając nadzieje,
Zbudzić głębokiéj ciszy, która jak sen miły,
Żyjącą osłoniła świętością mogiły.

MINDOWE.

Ty chcesz żyć, jakże silna chęć życia? Aldono?
Może w sercu nadzieje karmisz brylantowe?
O wiem ja, że głęboko oczy dziewic toną,
I przenikają głazy i zbroje stalowe,
Aż dopóki z pod hełmu nie wykwitnie lice
Znajome, ukochane — wglądasz pod przyłbice.
Musiał być blady?

ALDONA.

Panie! kto?

MINDOWE.

Ten krzyżak młody,
Krzyżak, czy Litwin.

ALDONA, na stronie.

On go nie poznał!

MINDOWE.

Widziałem!
Jakeś zadrżała, padła. Silne to dowody,
Lecz jeszcze będą inne. Niegdyś ja sam drżałem,

Kiedy bladość cierpienia omgliła twe czoło,
To dzikie serce z twojém sercem biło razem,
Kiedyś się weseliła, brałem twarz wesołą;
Dziś to już przeszło, dzisiaj jestem zimnym głazem.
Słuchaj! czy znasz krzyżaka, co wśród mnichów zgrai
Nieznajome mi lice czarną zbroją tai?
Znasz go?

ALDONA.

Wierzaj mi! wierzaj! ja go nie znam, panie!

MINDOWE.

Może go poznasz, słodkie to będzie poznanie!
Próżne prośby, mam zbroję i serce ze stali.
Aldono, ja się skryję w téj przybocznéj sali,
Tam każde wasze słowo dojdzie mego ucha,
Zwłaszcza, gdy teraz nocy panuje milczenie;
Kiedy go będziesz witać, pomyśl, że król słucha,
I mieczem przerwie krótkie szczęścia zachwycenie.

Odchodzi przez drzwi boczne.

ALDONA, sama.

Mindowe! o Mindowe!... poszedł... Nieszczęśliwa!
Zostałam sama jedna czekać chwili zgonu,
Chwili nad zgon straszniejszéj... Lampa dogorywa.
A na dworze noc ciemna, słychać szum jesionu,
Szum sosen cichy. Wszystko! wszystko mnie przeraża,
Ten szum drzew i ta cisza — to cisza cmętarza.
O jak mi ciężko!... Nie ma i jeszcze go nie ma,
Może nie przyjdzie? Boże! niechaj nie przychodzi!
Niech go anioł ostrzeże! — przeczucie zatrzyma!...

Patrzy przez okno.

Tam widzę; za lasami blady księżyc wschodzi,
Czarne sosny posępnym witają go szumem;
Rozdarte chmury — duchów napełnione tłumem.

Po chwili.

Nie przychodzi, on może nie przyjdzie, ja płaczę!
W téj chwili groźnych króla nie pomna wyroków,
Smutno mi, że nie przyjdzie, że go nie zobaczę...
Chciałam go widzieć... Boże! słyszę odgłos kroków!

O nie, to źródła szumią w zamkowym ogrodzie...
Ach! on idzie! to Dowmunt! poznałam po chodzie.
Jeszcze głośniéj — i głośniéj, jam znowu słyszała...
Udam, że ja go nie znam, żem nigdy nie znała.
Król go nie pozna...

DOWMUNT wchodzi z zapuszczoną przyłbicą w krzyżackiéj zbroi.

Potwarz okłamała zdradnie
Serce Aldony — teraz widzę ją, tak blada...
Czy dręczona sumienia wyrzutami bladnie?
Umiem rozróżnić bladość od bladości... Siada...
Nie odwróciła lica... Dawniéj szelest szaty,
Szelest kroków odgadła — poznała... a teraz
Nie odwróciła lica! Idąc w te komnaty,
Będąc na progu, z progów wracałem się nieraz.
Tak mi okropnie! ona mnie nie pozna? może
Nie zechce poznać .. Pani!... zadrżała.

ALDONA.

Rycerzu,
Ktokolwiek jesteś, w północ błądząc po tym dworze,
Módl się — oto różaniec widzę przy puklerzu,
Módl się i — wyjdź...

DOWMUNT.

Wyjdź? Widać, że Litwy królowa
Przywykła rozkazywać, na jéj zawołanie
Przybiegnie zbrojna, liczna warta pałacowa.
Wyjdę z wrót gmachu — tylko po mnie tu zostanie
Krew...

ALDONA, cicho.

Moja...

DOWMUNT.

Nie wiem! nie wiem; lecz tu krew zostanie.
Wiesz, kto ja jestem? czyli twe serce przeczuwa?...

ALDONA, jak echo tym samym głosem.

Czy twe serce przeczuwa? ..

DOWMUNT.

Powtarza pytanie!
Odpowiédz!...

ALDONA.

Wyjdź...

DOWMUNT.

O Boże! ona myśli, czuwa,
I tak jak śpiąca związać nie może wyrazu,
I myśli ją odbiegły. — Słuchaj! czyś ty z głazu?
Dwa słowa! imię moje!... Szalony! szalony!
Oto mi czoło ciemna przyłbica okrywa,
Postać kradnie płaszcz czarnym krzyżem naznaczony,
I jakże poznać mogła?...

Odkrywa przyłbicę.

Patrzaj! nieszczęśliwa...
Czy ty mię znasz? jak żądasz być zbawioną w niebie,
Odpowiédz... i uciekaj! ach! uciekaj ze mną..
Znasz mię?

ALDONA.

Czy ja znam? Boże? nie, ja nie znam ciebie,
Nie! nie! nie przypominam... może — tu tak ciemno,
Może dla tego.. Słuchaj, teraz moje oczy
Od ciągłych łez posępną skryły się zasłoną,
Mgła ciemna wszystkie dla nich przedmioty pomroczy,
I zaledwo z łez oschną, znowu we łzach toną.
Szczęście moje z nieszczęściem nie zna równéj szali,
Jak mara obłąkana kończę życia drogę.
Nie! nie! ja ciebie nie znam — teraz znać — nie mogę.

DOWMUNT.

Nie poznała... to lampa tak ciemno się pali.

Bierze lampę ze stołu i oświécając twarz, przybliża się do Aldony.

Patrz! patrz!

ALDONA.

Błagam cię! błagam ach! oddal się, panie!
Oddal się — światło lampy oczy moje razi.
O patrzaj! niezadługo zabłyśnie świtanie!
Patrzaj! już blask jutrzenki twarz księżyca kazi.
O nieba! ciebie w sali światło dnia zastanie...

DOWMUNT.

Ha! męczarnio okropna! męczarnio szatana!

Do Aldony, która się zbliża pomięszana.

Czego chcesz? precz odemnie! śmierć jedna została...

Ze śmiechem obłąkania.

Cha! cha! jaka myśl dzika! upaść na kolana,
Upaść przed nią... Cha! cha! cha! prosić, by poznała.
Lub może kupić pamięć zimnym, złotym kwiatem?
Więc wrócę tak samotny w dziką świata drogę?
Przepaść się otworzyła między mną a światem,
Nie mogę wrócić, trzeba umrzeć — umrzeć mogę...
I przed śmiercią nauczę ją wymawiać imię
Znajome, zapomniane — nauczę jak dziecię,
Lub jak uczą sokoła, wtenczas gdy zadrzémie,
Przerywając sen: przerwę jéj sen — senne życie..
Słuchaj! wiesz, kto ja jestem?

Dobywa sztyletu.

Nie! nie! bezimienny
Upadnę przy jéj stopach jako liść jesienny.
Rzucam się całą duszą do grobowéj ciszy...

ALDONA.

Dowmuncie! ach Dowmuncie!

DOWMUNT.

Jeszcze głos Aldony?

ALDONA.

Znam ciebie! kocham! słuchaj — on widzi! on słyszy!
Tam Mindowe w téj sali! za tymi zasłony!...

DOWMUNT.

O Boże! jakże miło powrócić do życia.
Ty mnie kochasz! Mindowe gdzie jest? gdzie się kryje?
Ach straszną! straszną miałem chwilę do przebycia,
Dotąd mi krew wzburzona głośno w piersiach bije.
O Aldono! ta chwila stoi przed oczyma,
I nie chce zniknąć, póki szczęście się rozpali,
Ta chwila wszystkie myśli nad przepaścią trzyma;
Ale nie wróci...

ALDONA.

Luby! słyszałam dźwięk stali.
Chroń się! chroń się, Dowmuncie! mój drogi! mój miły!

SZKOŁA NAUCZ. REL. MOJŻ. W WARSZAWIE

DOWMUNT.

Co mówiłaś? Mindowe gdzie jest? w tamtéj sali?
To daleko — uciekać nie chcę — nie mam siły...
O nie! nie! tyle szczęścia! nie, to nie jest zdrada.
Ja muszę być szczęśliwy — muszę widzieć ciebie.
Zgasła lampa, lecz księżyc przyświéca na niebie,
Chodź do światła, Aldono... O! jaka ty blada!...
Rumieniec łzy obmyły, żar gorączki strawił;
Jaka ty blada! — jam cię nie taką zostawił!...

ALDONA.

Nie, to bladszy niż zwykle, to ten blask księżyca
Twarz mi dzisiaj ociemnił...

DOWMUNT.

Więc księżyc przeklinam,
Jeżeli barwę róży kradnie z twego lica.
Ha! przeklinając księżyc, ludzi zapominam.

ALDONA.

Luby! słyszysz dźwięk stali? czy słyszysz? to oni!

DOWMUNT.

Słyszę jakieś stąpania — słyszałem chrzęst broni,
Idą jakby tygrysy na mą krew zażarte.

ALDONA.

Dowmuncie! wychodź! wychodź, jeszcze drzwi otwarte!
Wychodź! Aldona wiecznie wiary ci dochowa...
Tu wszyscy nas zdradzają, Bogi, ludzie, ściany,
Uciekaj!...

DOWMUNT.

Moja luba, bądź zdrowa! bądź zdrowa!...

Wychodzi, lecz po krótkiéj chwili wraca.

ALDONA.

Przebóg! czemuś powrócił? blady, pomięszany,
Powiédz, coś widział?

DOWMUNT.

W końcu przybocznéj komnaty
Oni już są!... już przyszli!

ALDONA.

O nieba! o zdrady!
Słuchaj, wyłam te okien pozłacane kraty,
Pod nimi nie daleko są zamkowe sady ..
Uciekaj! nad głowami grożą czarne burze ..
Uciekaj...

DOWMUNT usiłując wyłamać kratę.

Kraty mocno osadzone w murze...
Wyłamać niepodobna... nie, to próżnym szałem...
Niepodobna... Ha pękły! pękły! wyłamałem...
Bądź zdrowa! daj mi rękę... dłoń zimna jak z lodu...
Bądź zdrowa...

Staje na oknie... po chwili wraca do sali...

Nie... naprożno! pośród drzew ogrodu,
Widziałem tłumy zbrojnych Mindowy rycerzy;
Pod samymi oknami las włóczni się jeży.
Daremna więc ucieczka — przyszedłem bez miecza
By nie wzbudzić podejrzeń, cóż ten sztylet znaczy?
Ani mię przeciw wrogów ciosom zabezpiecza,
Ani usłucha dłoni — zdradzi ją w rozpaczy!
Bez ulgi i bez zemsty w zimnym legnę grobie...
Aldono! tyś pobladła! Aldono! co tobie?

ALDONA.

Nic, nic... daj mi tę różę, z hełmu twego różę,
Może zmysły orzeźwi.

Dowmunt daje różę.

Tak mi w oczach ciemno!..

DOWMUNT.

O rozpacz!... ona bladnie. Chodź zemną, chodź zemną!
Chodź, uciekajmy! Boże! gdzie uciec? w tym murze
Są kryjówki... szalony! tam będą i ludzie:
Te gmachy już zdradzieckiéj nawykłe obłudzie...
O Aldono! nieszczęście — usiądź tu, Aldono!
Oczy moje jak dziecka całe we łzach toną.

ALDONA.

A ja płakać nie mogę... Cha! cha! luby! drogi!
Śmiech mi straszliwy łamie na ustach wyrazy...

Cha! cha! cha! niech tu przyjdą! niech przestąpią progi!
Oto próg pałacowy!...

Pada przed drzwiami.

DOWMUNT.

Aldono! Jak głazy
Zimna...

Składa omdlałą na krześle.

Rękami będę rozdzierał tych ludzi...
Chodźcie tu!... O te oczy! ta twarz, blada, sina!...

Po chwili.

Z rąk martwych wyrwę różę... kiedy się obudzi,
Mnie już nie będzie... niech mnie nic nie przypomina.

Obrywa liście kwiatu.

Kwiat zerwałem — gałązka w jéj została dłoni,
Tak mocno trzyma.

Pod koniec téj sceny słychać coraz mocniejsze szczęki oręża.

Słyszę! już idą... to oni!...

AKT III.

SCENA I.

HEJDENRICH, HERMAN.

HEJDENRICH.

Oby już prędzéj rzucić litewskie krainy.
Hermanie! oto wracam z królewskiéj biesiady,
Radość niezwykła wrzała pomiędzy Litwiny,
Ja jeden byłem smutny! jeden tylko blady!
Dzikie ich uczty. Słuchaj! w granitowéj sali,
W około stół dębowy puharami błyska;
W środku komnaty ogień z modrzewiu się pali,
I wkoło wieje dymem, wkoło iskrą pryska.
Sześciu Litwinów w burkach, bez ruchu jak głazy,
Unosili nad stołem smolnych sosn pochodnie,
Jako żywe świéczniki. Gwar, dzikie wyrazy!
Na lica miód przywołał występki i zbrodnie.
Dziwnie się wydawałem ja — mieszkaniec Rzymu

Wśród téj niesfornéj zgrai — mój krzyż brylantowy
Ledwo blaskiem roztrącał czarne kłęby dymu...
Hermanie! oby prędzéj rzucić dwór Mindowy.

HERMAN.

O panie! nie czas teraz rwać z Litwą przymierze,
Nie są przygotowani do wojny Krzyżacy;
Jeden krok nierozmyślny korzyść nam odbierze
Z długich naszych podstępów, z misyonarskiéj pracy;
Gdyby Mindowe umiał korzystać z téj pory,
Przycisnąłby i zgnębił krzyżackie klasztory.

HEJDENRICH.

Prawda, trzeba lwa głaskać. Lecz wyznam ci, bracie,
Że mi w niesmak już idzie poselstwo Papieża;
Mam sławny miecz komtura, mam serce rycerza,
Jednak bawię tu dotąd! bawię w mnisiéj szacie!
I nadto, muszę podle, mnicha obyczajem,
Starać się wziąć przewagę podstępnymi słowy.
Dawniéj krzyżak pogardzał tym księciem i krajem,
A teraz jam spowiednik? jam sługa Mindowy!
Czy pamiętasz, Hermanie, braciszka zakonu,
Który przybył tu z nami, nosił róży znaki,
Nazywany od braci synem Albionu;
On zniknął teraz, żadnéj nie mamy poszlaki...
Jeśli Mindowe zgwałcił tajemne umowy?
Jeśli się targnął z mieczem na sługę kościoła?
Słusznie zakon oburzy postępek takowy,
I krew brata naszego o krew Litwy woła.

HERMAN.

Rycerz, o którym mówisz, w więzieniu zamknięty,
Nie oburzaj się — Litwin nie wart tych zabiegów.
On poganin, zagnany aż do Niemna brzegów,
Chroniąc się przed Mindową, przybrał habit święty,
I znów pod tą opieką wrócił utajony
Szukać wydartéj sobie przez Mindowę żony.
Ale go nie zbawiły nasze święte szaty.
Wczoraj, kiedym w ogrodzie odmawiał modlitwy,
Odkryłem jego wieżę i przez okien kraty
Miecz mu podałem ostry.

HEJDENRICH.

Zbawiasz syna Litwy...
Nienawidzę Litwinów! pocóż z taką pracą
Nawracać ich na wiarę? jakież stąd korzyści?
Chrzest nie zgasi wzajemnéj ludów nienawiści;
Mogliby płacić haracz — a teraz nie płacą.
W nas zgaśnie duch rycerstwa, zakonu granice
Otoczą zewsząd tylko przyjazne krainy;
Pójdziemyż ścigać błędne po stepach księżyce?
Ha! chyba z morzem walczyć! lub z nurtami Dźwiny!
Wygaśnie duch rycerski... Idzie Litwy książę...
Trzeba znów przybrać postać podłości, pokory,
Jak jaszczurka zamorska zmienne mam kolory;
Lecz jestem posłem, straszna przysięga mnie wiąże,
Cały zakon w legata przedstawiam osobie.

Daje znak, Herman oddala się. Mindowe wchodzi.

Wielki królu, Bóg z tobą!

MINDOWE.

Pozdrowienie tobie!

HEJDENRICH.

Panie, tyś pomięszany? wzrok zamglony wróży
Jakieś tajne zamiary, znamię wnętrznéj burzy.
Zapewne niedość jeszcze ustalony w wierze
Nie umiesz zbroić serca przeciw troskom świata;
Niepewny Boga, który z nieba czuwa, strzeże,
Niepewny, jaka w niebie dla cnoty zapłata.
Modlitwą prędko ziemskie rozprószysz zgryzoty.

MINDOWE.

Modlić się? dzisiaj wziąłem ten różaniec złoty,
Ostrzem sztyletu święte przebiegałem ziarna;
Lecz na sztylecie była krew spiekła i czarna,
Nie wiem czyja? i kończyć nie mogłem pacierzy.

HEJDENRICH.

Królu! jeśli twe serce żałuje i wierzy,
Bądź spokojny! nasz kościół nigdy nie zostawi
Twéj wiary bez nagrody, żalu bez pociechy,
Litościwy odpuszcza, kocha, błogosławi.

Odkryj nam skryte myśli, wyspowiadaj grzechy,
Nic nie ukrywaj, synu, a sługa ołtarzy
Rozwiąże je na ziemi.

MINDOWE.

I któż się odważy
Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpaczy
I zbrodni... Kto? ty, trwożny mieszkaniec klasztoru,
Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał.

Pokazując sztylet.

Patrzaj, tą krwią wypisane
Wszystkie są moje czyny na téj rdzawéj stali...
Czy mi przebaczysz?

HEJDENRICH.

Ufaj! od Boga mi dane
Mam prawo tych rozgrzeszać, co się krwią zmazali.

MINDOWE.

Żądasz czarniejszych zbrodni? Słuchaj! przez sklepienie
Jęczy! jego korona moje czoło kryje...
Słuchaj! usłyszysz drugie pod ziemią westchnienie,
Ale nie, nie usłyszysz — dotąd on nie żyje...
Czy mi przebaczysz?

HEJDENRICH.

Ufaj! wielka moc kościoła!
Nie będzie próżno błagał chrześcijański książe.
Szczéra twoja pokuta grzech okupić zdoła,
Co rozwiąże na ziemi, Bóg w niebie rozwiąże.
Więc odpuszczam! niech zniknie ta występku skaza.

MINDOWE.

Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza
Lud podły, ciemny, dziki czołga się podemną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie

Uchyla korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny... Któż mi to przebaczy?

HEJDENRICH.

Panie! jesteś nad ludem, byś mu przewodniczył;
A jeśli daną władzę spełniasz nadto srogo,
Jeśli chcesz posłuszeństwa, jeśli rządzisz trwogą,
Bóg ci przebaczy — on sam władzy ci użyczył,
Ja ci przebaczam...

MINDOWE, z gorzkim uśmiechem.

Dobrze! już jestem spokojny!
Pójdę teraz krzyżackie napadać dzierżawy,
Dawno czekałem chwili sposobnéj do wojny;
Skarb mój wycieńczał — ja sam stęskniłem do sławy.
Z waszéj zaś strony nic mi nadal nie potrzeba,
Mam już złotą koronę, przebaczenie z nieba,
Idę kraj wasz napadać, szarpać włoście Żmudzi.

HEJDENRICH.

Panie! ty mnie doświadczasz tak gorzkimi słowy,
Lecz krzyżak się marnymi słowy nie ułudzi.

MINDOWE.

Com tobie wypowiedział, jam dowieść gotowy.
Patrz przez te ciemne kraty na błonia stojicy,
Tłumem zebrani w polu błyszczą wojownicy...
Może się oni tylko zebrali na łowy?
A tam niebo ogniste przywdziewa kolory,
Może to pożar wkradł się w nadniemeńskie bory?
Co, łatwowierny mnichu? teraz znasz Mindowę?

HEJDENRICH.

Niech cały ciężar zbrodni spada na twą głowę,
Pomnij na świętą wiarę!

MINDOWE.

Szydzisz ze mnie, mnichu!
Pójdę się jutro modlić w krzyżackim kościele,
Pić będę wasze wino w święconym kielichu,

Moje gmachy klasztornym kobiercem zaścielę,
I zmówię pierwszy pacierz, gdy mistrz wielki skona.

HEJDENRICH.

Ty przez nas jesteś królem.

MINDOWE, rzuca koronę.

Tak! precz ta korona!
Rzucam ją, to mi ręce splątane rozwiąże...
Teraz jestem Mindowe, książe, wróg Krzyżaków.

HEJDENRICH rozdziera komżę i staje w zbroi i w zwierzchnim krzyżackim płaszczu.

A jam jest — brat Hejdenrich — krzyżak, wróg twój, książe.
Pozbędę się téj szaty, tych pokory znaków...
Jak mnie tu widzisz w zbroi, przysięgam na Boga,
Że słowa posła mymi nie były słowami.
Widzisz we mnie rycerza! widzisz we mnie wroga!
Po takiéj czarnéj zdradzie już zdrada nie plami,
Będę działał podstępnie i walczył otwarcie,
W twoim zamku podniecę zdrady i pożary,
Za morzą pójdę błagać o zemstę — o wsparcie.
Płaszcza tego nie zrzucę, aż na twoje mary
Rozścielę go całunem — i w wieczór i rano
Dodam jedno przekleństwo do moich pacierzy;
Jeśli Bóg je usłyszy? Bóg na cię uderzy,
Nim te pochodnie zgasną! nim zorze nastaną!

Wychodzi.

MINDOWE, sam.

Grozi! ale napróżno, przezornym być muszę,
Kiedy zwiodłem krzyżaka — oni światem rządzą,
Zbłądzili, choć myśleli, że nigdy nie błądzą.
Serce moje spowiedzią pozyskali skrusze.

Lutuwer wchodzi.

LUTUWER.

Panie, spełniłem rozkaz...

MINDOWE.

Dowmunt już nie żyje?

LUTUWER.

Dowmunt nie żyje!

MINDOWE.

Starcze! starcze! biada tobie!
Jeśli się jaki podstęp w twoich słowach kryje.
Chcę widzieć martwe ciało.

LUTUWER.

Panie! on już w grobie.
Dotąd jeszcze, tak, dotąd słyszę pieśń wesołą,
Którę tam śpiewa grabarz, kopiąc grób głęboki,
I pot zimny na moje występuje czoło.

MINDOWE.

Gdzież go grzebią?

LUTUWER.

W więzieniu pochowano zwłoki.

MINDOWE.

Starcze! mój zamek w wielki zamieniasz grobowiec.

LUTUWER.

Smutno mi, gdy rycerza zgon niesławny ima,
Grób jego zapomniany, i żaden wędrowiec
Kamienia nie dorzuci, wzroku nie zatrzyma.

MINDOWE.

Dość tego, słuchaj, starcze! zerwałem z krzyżakiem,
W strasznym gniewie wrącymi odpowiadał słowy.
Dziś wojsko poprowadzisz nowogrodzkim szlakiem,
Przez głuche lasy... daléj przejdziesz bród niemnowy
Na łodziach lub wpław — czasu oszczędzać należy.
A skoro ranek błyśnie, ty z pocztem rycerzy
Zagrzmisz pogańską pieśnią; od waszego śpiewu
Zadrżą szyby Malborga, wieże się zachwieją.

LUTUWER.

Jestże ten napad skutkiem gorącego gniewu?

MINDOWE.

Snułem go przewidzianych wypadków koleją.
Nigdy głębszą ufnością nie spały zakony,

Myślą, że chrztu szatami jak dziécię spowity
Zapomniałem o zbroi; że w blasku korony
Zapomniałem o sławie; że w lasach ukryty
Cieszę się barwą królów purpurowéj szaty.
Lecz powiédz, Lutuwerze, jestżem tak bogaty,
Bym zapomniał o wojnie, napadach i chwale?
Patrz na kraje krzyżackie! o brzegów bursztyny
Łamią się Bałtyckiego morza szklane fale;
Na falach płyną miasta z dalekiéj krainy
Z płóciennymi żaglami i z podległych danin
Wypłacają się mnichom, ślą im Franków wina,
Czary z kryształu, zbroje, sukna z cudnych tkanin,
Jedwabiu, lub wielbłądów błędnych Tatarzyna.
A tu lasami łąki zarastają żyzne.
Jakiż tu kupiec zajrzy? gdzież bogactwa moje?
Ubogą tylko wziąłem po ojcu spuściznę.
Nie dbam ja o bogactwa! o złoto nie stoję!
Ale w skarbcu jedyną po ojcu pamiątka,
Jedna szata w rozliczne lśniąca malowidła,
Wagą złota płacona, z jedwabnego wątka,
Któréj barwy tak zmienne jak motyle skrzydła;
Jeden pas złoty, jedna kryształowa czara,
I ta się już rozbiła. Patrz! krzyżaków miasta,
Czy to Malborg, czy morska Klepidawa stara,
Każde co dzień zamkami pod niebo urasta;
Lud jak w mrowisku tłumne napełnia ulice,
Złotem błyszczą się gmachy, marmurem kaplice,
Dym z ognisk uwięziony wzlatuje nad dachy,
Dachy łączą się z niebios przejrzystym błękitem;
A tu — patrz, Lutuwerze! jak posępne gmachy!
Tu każda sala ciemnym połyska granitem,
Gołe i zimne ściany — jeszcze los szyderca,
Jakby mi chciał urągać! często w dnie zimowe
Ściany zdobi pokryciem srebrnego kobierca,
Wilgoć mrożąc na ścianach w kwiaty kryształowe.
Nędza i wszędzie nędza!

LUTUWER.

Panie, noc uchodzi,
Trzeba śpieszyć..

MINDOWE.

Tak, prawda! zeszła twarz miesiąca.
Pójdę, może mnie nocy powietrze ochłodzi.
Zawsze skarga tysiące wyrazów natrąca.
Nadtom długo wyrzekał na mój los ubogi,
Naprawię go, gdy w żmudzkie uderzymy rogi.

Wychodzi z Lutuwerem.

SCENA II.

Przedsienie gmachu.

ALDONA, leży bez czucia na ziemi. HEJDENRICH wchodzi.

HEJDENRICH, podnosząc Aldonę.

Ha! cóż to za dziewica? padła na marmury
Bez czucia. Jakie cudne rysy bladéj twarzy!
Widziałem nieraz w kraju Franków kształtne córy,
O których śpiewa *truwer*, błędny rycerz marzy;
Żadna jéj nie wyrówna... oto już spłonęła
Jak kwiat, gdy się rozwija — budzi się — westchnęła...

ALDONA, z pomięszaniem.

O mój luby... on umarł — śmierć moja snem była.

HEJDENRICH.

Dziewico, bądź spokojna! czuwa sługa boży.

ALDONA, osuwając mu się do nóg.

Ktokolwiek jesteś, broń mnie! Strzeż mnie! twoja siła
Może te rygle więzień żelazne otworzy.
Boże! tam trup — trup jego bez głowy... o Panie!
Nieszczęsna jest ta, która twéj pomocy wzywa.

HEJDENRICH.

Jesteś ty chrześcijanką?

ALDONA.

Okropne pytanie!
Nie! nie jestem! nie jestem! jestem nieszczęśliwa!

HEJDENRICH.

Chrześcijanin modlitwą nieszczęście osładza.
Lecz powiédz mi, dziewico! ja wszystko uczynię.

ALDONA.

Wszystko! o nie, rycerzu, próżna twoja władza,
Nie wskrzesisz go, widziałam krew strumieniem płynie.

Śmieje się z wzrastającém obłąkaniem i wpatruje się w ciemność.

Jakaś postać znikoma, lecz do mnie podobna,
Oddziela się odemnie, przedemną się snuje;
Jest to część méj postaci — a jednak osobna,
Przy niéj zostały czucia — ona myśli — czuje,
Ja sama jak głaz jestem... Wołam cień znikomy,
Cień się coraz oddala — coraz daléj — daléj
Rozpływa się — już blady — już ledwo widomy.

Z rozpaczą.

Ja bez czucia zostanę! Serce się nie pali,
Ostygło — zapominam, pamięć słabo kréśli,
Mówię, a słowa moje nie są wątkiem myśli,
Myślę, a myśli moje nie są wątkiem serca...

HEJDENRICH.

Jestem świadkiem początku zmysłów obłąkania.
Mindowe, ten poganin, ten ludzi morderca,
Godzien jest niebios kary. Lecz moje starania
Przywrócą jéj spokojność; czarne zmysłów mary
Znikną przed złotém słońcem, przed promieniem wiary.

ALDONA.

Wiara? ja miałam niegdyś mojego anioła,
Byłam kapłanką wiosny niedawnymi laty.
Pamiętam ob.. wiosny w gaju, w końcu sioła,
Jéj czoło uwieńczały świéże róży kwiaty,
W około jodły cichym usypiały szumem.
Ileż razy przy blasku srebrnego księżyca
Sama, lub dziewic wiejskich otoczona tłumem,
Marzyłam — modliłam się..

HEJDENRICH.

Nieszczęsna dziewica!
Trzeba ją jakby dziecko łudzić wrażeń blaskiem.
Uchodź ze mną, dziewico, po nad Niemna piaskiem
Stoi klasztor, tam świętych obaczysz królowę,

Jéj obraz jest do wiosny podobny obrazu;
Będziesz ją kochać, wieniec z róż krasi jéj głowę,
Tak piękna, tak litosna, a kolumny z głazu
W każde święto okryją gałązki jodłowe.

ALDONA.

Pójdę! pójdę za tobą...

HEJDENRICH.

Już się księżyc zniża,
W cieniach nocy Mindowe ścigać nas nie może.
Weź płaszcz krzyżacki, kaptur, zawieś znamię krzyża.

Okrywa ją swoim płaszczem.

Dzisiaj jeszcze w Wojsiełka staniemy klasztorze.
Wojsiełko, syn Mindowy, tygrys w szacie mnicha,
Ukorzy się przed świętą Legata osobą.
Nie płacz, piękna dziewico! nie płacz, pan Bóg z tobą!
O! prędko w oczach dziewic strumień łez osycha.

AKT V.

Sala ciemna w klasztorze Wojsiełka.

SCENA I.

TROJNAT, WOJSIEŁKO. Orszak MNICHÓW.

WOJSIEŁKO.

Bracia, mówcie pacierze — oto w nasze progi
Nowy gość przybył, nowy klasztoru mieszkaniec.
Trojnacie, porzuć zbroję, weź habit ubogi
Za pasem bursztynowy zawieszaj różaniec,
Prędko, nie zwlekaj chwili.

TROJNAT.

Błagam was na Boga!
Wojsiełko, nie chciéj w grobie zakopywać brata.
Powróć mi wolność! wolność nad życie mi droga.
O Bogi! więc się za mną wieczna zamknie krata,
Życie pełne zwiędnieje w samym wieku kwiecie.
A ten świat! świat!

WOJSIEŁKO.

I cóżeś zostawił na świecie?
Ludzi? ja ich widziałem, oni mnie widzieli,

Pokazując na miecz wiszący na murze.

Ten miecz krwią był oblany... I bezpieczniéj głowę
Złożysz tu na kamiennéj klasztoru pościeli,
Niż na łonie człowieka... Marności światowe!
Tu mniéj marności, płyną godziny mniéj chyże,
I ludzie tu się snują z zasępioną twarzą;
Ale ludzie ci milczą jak grobowe krzyże.
Chcą skarżyć brata, chyba przed grobem oskarżą.
Zakonnik ciemny, twardym miodem zapalony,
Mniéj straszny od człowieka w miłosnéj godzinie.
Lecz ty żądałeś władzy? żądałeś korony?
Będziesz ją miał... Postrzyc go!

Mnichy sadzają Trojnata na ławce kamiennéj i przystępują do postrzyżyn.

TROJNAT.

Nim chwila przeminie,
Te nożyce mnie wiecznie rozdzielą ze światem.
Błagam cię, Wojsiełku! jesteś moim bratem...

WOJSIEŁKO.

Jestem mnichem... O! bracia, zapalcie gromnice,
Niech wiecznie pochwalone będzie boskie słowo.
Trojnacie — podnieś czoło! rozjaśń blade lice.
Śmiéj się — a my pieśń będziem śpiewali grobową.
Klasztor jest ciemnym grobem — tu wiara określi
Wszystkie twoje uczucia, zniknie zawiść czarna.
Tu zapomnij o myślach... gdy masz jakie myśli,
Powiąż je razem z krzyżem jak różańca ziarna.
Wiecznie ograniczony murami ciemnymi,
Gdy zgaśnie ta pochodnia, ty zgaśniesz na ziemi,
Twoja prośba litości mojéj nie obudzi.
Ja byłem — byłem niegdyś tygrysem dla ludzi,
I jeszcze raz nim będę... Stańcie tu w około...
Patrzcie, litość wzbudzają te włosy trefione,
Co w tysiącznych pierścieniach spadają na czoło.
Przystąpcie, mnichy! włóżcie mu świętą koronę.

Mnich ostrzyga Trojnatowi pierścień włosów.

TROJNAT.

O świat! świat!

WOJSIEŁKO.

Pierścień włosów spalić w kadzielnicy,
Jest to dar serca, co się poświęca dla Boga.

TROJNAT.

Te włosy twardą stalą przetarte przyłbicy,
Przyłbicy, która była postrachem dla wroga,
Spadną pod nożycami, jak za ciężkie winy...
O świat! świat!

WOJSIEŁKO.

Daléj, bracia, kończyć postrzyżyny...

Wchodzi Hejdenrich i Aldona, zakryta cała krzyżackim płaszczem.

Któż to?

HEJDENRICH.

Papieski Legat i książę kościoła...

WOJSIEŁKO.

Aż do ziemi pokorne uchylamy czoła...
Panie! uświęć ten klasztor łaskawości względem,
Właśnie dzisiaj zebrani w tém ustroniu cichém
Byliśmy wyświęcania zajęci obrzędem.

HEJDENRICH.

Cóż to? Trojnat! maszże ty wolę zostać mnichem?

TROJNAT.

Na moje wybawienie niebo cię przysyła,
Ja nie mam! nie mam woli — tu mną rządzi siła.
Oto gwałtem wiedziony do stopni ołtarza
Zalewałem się łzami...

HEJDENRICH.

I któż się poważa
Przed ołtarze niechętne prowadzić ofiary?

WOJSIEŁKO.

To za wolą Mindowy.

HEJDENRICH.

Ja mam wyższą wolę.
Uwolnić go natychmiast! albo święte kary
Jak gromy spadną na was zebranych w tém kole.
Klątwa! klątwa na klasztor! już wasze modlitwy
Posłane nie ulecą aż do Boga tronu.
Wasze pacierze ściągną nieszczęścia dla Litwy,
W proch się rozsypią mury waszego zakonu;
Znamię przekleństwa nosić będziecie na twarzach,
Nikt zmarłych nie pogrzebie, trumny nie poświęci;
Kwiaty leśne porosną na waszych ołtarzach,
Na waszych murach spocznie Anioł niepamięci...
Ha! zadrżeliście, mnichy? chciałem, byście drżeli...
Podnoszę klątwę — moja przytomność jest darem,
Darem dla was. Ja przez noc odpocznę w téj celi,
Wy zaś idźcie się modlić i złotym puharem
Pijcie za moje zdrowie... Tyś wolny, Trojnacie.

TROJNAT.

Więc żegnam cię, krzyżaku! żegnam ciebie, bracie!
Bracie Wojsiełku, będę pamiętał o tobie.

Odchodzi — po chwili Wojsiełko i mnichy, oddawszy ukłon Legatowi, oddalają się.

HEJDENRICH.

O! lepiéj Trojnatowi na świecie, niż w grobie —
Dla Mindowy wskrzesiłem zaciętego wroga,
Pomści się za mnie... Zdala słyszę mnichów śpiewy,
Za Legata modlitwy wznoszą się do Boga.
Wzburzam to morze mnichów i uśmierzam gniewy...
Odpocznij tu, Aldono... Nieme obłąkanie
Wyryte ma na twarzy, nie wyrzekła słowa.

Aldona siada w głębi.

Noc głęboka, nie prędko zabłyśnie świtanie...
Jaka w około cichość panuje grobowa.
O Bogu zapomniałem wśród światowéj wrzawy.
Ja! zakonnik — i pocóż mięszam się do świata?
Dla czegoż przypasałem do boku miecz krwawy?
Ubiegła dni połowa, mnogie przeszły lata,
A ja pierwszy raz myślę!... o! jak straszne męki
Myśleć...

Słychać dzwon klasztorny.

Klasztornych zdala dzwonów słyszę jęki...
Kiedyś... może i prędko... dla mnie dzwon uderzy...
I cóż czynić? modlić się?... niech się modlą ludzie!
Zapomniałem modlitwy, nie umiem pacierzy,
A jednak... nieraz, nieraz w udanéj obłudzie
Klęczę, całuję zimne podłogi kościoła.
Krwią skalany, mgłą czasu osłoniony ciemną,
Jestem wyższy nad ludzi; dla czegoż przedemną
Aż do ziemi pokorne uchylają czoła?
Mnie uczcili — uczcili szatana w człowieku!

Po chwili.

Jestem ostatni z ludzi! gdy wieki przeminą,
Będą mnie pokazywać jako widmo wieku:
Mnich i zabójca ludzi. — Ciemna mar drużyno!
Czemuś mnie otoczyła? precz! precz, blade duchy:
Oto chwila myślenia! oto chwila skruchy!
Precz, szatanie! nie jestem już twoim w téj chwili,
Już dno odkryłem w prawdy zatrutym kielichu...

Po chwili, coraz gwałtowniéj.

Lecz poco ta dziewica? poco ta dziewica?
Zastanów się nad sobą, zastanów się, mnichu!
Litość w tobie wzbudzają ukraszone lica,
Ludzie jéj nie wzbudzili!... Już dusza wywrzała,
Włos osiwiał, ja grzeszę... Precz stąd, nieszczęśliwa!
Ty mnie wiedziesz do zbrodni, tyś mnie obłąkała!
Szatan w tobie zwodnicze ponęty ukrywa!...
Precz! precz! ona nie słyszy — dotknąłem się dłoni
I ogień mię pożera... Aldono! Aldono!
Weź ten sztylet, zabij mnie... Moje zmysły płoną.
Zabij mnie! zabij!... Boże! w téj cichéj ustroni
Tyle zgryzot... Precz! idź się błąkać w lasach Litwy!
O nie, zostań! nie mogę rozłączyć się z tobą.

ALDONA, z obłąkaniem.

Słuchaj, naucz mnie modlitwy!
Okryta czarną żałobą
Będę się modlić...

HEJDENRICH.

Nędzna, mów Ave Maria!
Uciekaj stąd! nieszczęsna! ona mnie zabija!

Chodź ze mną, uciekajmy! te sklepienia choru
Spadną na nasze głowy — patrz, już drżą filary.
Kocham ciebie, Aldono! lecz w murach klasztoru
Nie śmiem tego powtórzyć — patrz! te krwawe mary
Męczenników rzucają już obrazów płótna,
I stoją tu przedemną — ożyły obrazy...

ALDONA.

Róża grobowa, smutna,
Okryła mogił głazy,
Usypia liści szelestem;
A on śpi w grobie! a on śpi w grobie!
Cha! cha! powiem tobie,
Czém byłam dawniéj — teraz już nie wiem, czém jestem?

HEJDENRICH.

Obłąkana... Mnich jakiś do téj sali zmierza.

Wchodzi Mindowe w habicie mnicha, z zapuszczonym kapturem.

Z czém tu przychodzisz, nędzny klasztorny żebraku?

MINDOWE.

Z rozgrzeszeniem.

HEJDENRICH.

Dla kogo?

MINDOWE.

Dla ciebie, krzyżaku.

HEJDENRICH.

Wiesz, kto ja jestem? Komtur i Legat Papieża.

MINDOWE.

Wiesz, kto ja jestem?

HEJDENRICH.

Może klasztoru posłaniec,
Co zbiega okolice i prosi jałmużny?...
Oto masz dar obfity.

Rzuca mu pieniądz.

MINDOWE.

Tyś mi jeszcze dłużny
Jednym pacierzem... patrzaj! oto mój różaniec...

Wyjmuje miecz z pod habitu.

Z takim różańcem będziem odmawiać modlitwy.

HEJDENRICH.

Precz, mnichu!

MINDOWE, zrzuca ubiór mnicha.

Mnich już odszedł — został Książę Litwy.

HEJDENRICH, dobywa miecza.

Już stąd nie wyjdziesz księciem!

Biją się — wpada Wojsiełko i mnichy z pochodniami.

WOJSIEŁKO.

Boże! Wielki Boże!
Mój ojciec?... ojcze! ojcze! skąd ta wściekłość sroga?
Na kogoż miecz podnosisz w święconym klasztorze?
Jest to poseł Papieża! jest to poseł Boga!
Mnich niezachwianéj wiary, pobożny i święty.
Będziesz wyklęty, ojcze, i klasztor wyklęty.

MINDOWE.

Poznaj go, synu, tego papieskiego posła.
Święty? dobrego nabył do świętości prawa!
Patrz na jego oblicze! ta postać wyniosła
Raz się płaszczy do ziemi, znów z ziemi powstawa,
Jak wąż w żelaznéj łuski pierścienie uwita.
Raz jest nędznym grzesznikiem, znów świętą osobą.
To poczwara spragniona i nigdy nie syta,
Gdyby mógł lasy zabrać, zabrałby je z sobą.
Złotą ukrywa zbroję płaszcz z wełny ubogi...
Poznajcie posła — dobrze poselstwo odprawił!
Więcéj zabijał ludzi, aniżeli zbawił.
Nie sam ujechał... patrzcie, to towarzysz drogi,
Myślicie, że to krzyżak pokorny i cichy?
Odkryjcie jego szaty!... Skamienieli mnichy!
Patrzcie! on z tą dziewicą uchodził do piekła.

WOJSIEŁKO słuchał z natężeniem słów Mindowy i rozerwał różaniec, który trzymał w dłoni, ziarna posypały się po ziemi.

Otoczyć wejścia!... Ojcze, patrz! różaniec złoty
Pękł w drżącéj wściekle dłoni... płonę ze sromoty.
Dajcie miecz!

HEJDENRICH.

Precz stąd! precz stąd! mnichów zgrajo wściekła!
Pogardzam waszą zemstą! zapęd marny, płonny.
Oto się ciemnym tłumem napełnia komnata,
Ja rzucam miecz na ziemię, sam wyjdę bezbronny,
I nikt się tknąć nie waży osoby Legata;
O tyle jestem wyższy nad te podłe tłumy.
Wychodzę... wam przekleństwo zostawuję Boga!

Mnichy rozstępują się, Hejdenrich wychodzi.

WOJSIEŁKO.

Któż widział tyle zbrodni razem z tylą dumy?
Wyznaję, mnie samego ogarnęła trwoga,
I ty milczałeś, ojcze...

MINDOWE.

Dziwi mnie odwaga.
Gdzie Trojnat?

WOJSIEŁKO.

Przez Legata został uwolniony.

MINDOWE.

Trojnat wolny! o nieba, on pragnie korony!
Zły los moje zabiegi niszczy i przemaga.
Wyście go uwolnili... O! mnichy przeklęte,
Miło wam szeptać pacierz po murach zakonu,
Na łonie bezczynności wiodąc życie święte,
Lub dzwonić po umarłym, a słysząc jęk dzwonu,
Razem z dziedzicem z cudzéj radować się śmierci,
Że wam znów grosz za pogrzeb wpłynie do karbony.
Z ziemią ja kiedyś zrównam ten wasz gmach święcony,
Was samych wplotę w koło, rozsiekam na ćwierci.

MNICH I.

Tobie służymy, Panie, służąc naszéj wierze,
Za ciebie codzień mnogie mówimy pacierze.
Obraliśmy patronkę — na jednym z ołtarzy,
Kędy Solimskiéj Matki boskiéj malowidło,
Stawialiśmy sześć wielkich złocistych lichtarzy,
I tyleż świéc z żółtego wosku — i kadzidło.

Lecz jeśli modłów naszych nie miała na względzie,
Odtąd inna patronka stróżem Litwy będzie;
Odtąd ołtarzom *panny Maryi z Ankony*
Powierzamy los Litwy i straż twéj korony.
Lecz ołtarz jéj ubogi.

MINDOWE.

Skarbu nie wycieńczę,
Bogacąc nowéj dzisiaj patronki obrazy;
Znam jéj łaskę i za nią sowicie odwdzięczę.
A mając do Maryi Solimskiéj urazy,
Chcę, żeby wszystko złoto i drogie kamienie
Przeszły odtąd na ołtarz Maryi z Ankony...
Oto niedługo słońca zabłysną promienie,
Może się zdrada wciska w mój gmach opuszczony;
Wracam do zamku śledzić podstępy Litwina.
Aldono, co krzyżackie ukochałaś zbroje
W nadziei, że Malborga okrasisz pokoje,
Dziś wrócisz do ciemnego zamku poganina.

Mindowe wychodzi z Aldoną. Mnichy, szepcąc pacierze, rozchodzą się po celach.

SCENA II.

Noc. Las sosnowy.

LUTUWER, leży pod drzewem.

Już się do nowogrodzkich zamków nie dostanę.
Rycerze mnie odbiegli — umrę! umrę w lesie!
Jutro spłonę na stosie, wiatr prochy rozniesie.
Miecz krzyżacki głęboką zadał w piersi ranę,
I krzyżak, co ugodził, miecz zostawił w ranie,
A ja ten miecz poznałem — okropne poznanie!
Na nim godło Dowmunta. — Ach! gdzież jest Mindowe?
Powiem mu... Och! och! konam, do zawarcia powiek
Pomóżcie cichym szmerem gałęzie jodłowe.
Konam w rodzinnych lasach.

Mindowe wchodzi, za nim Aldona.

MINDOWE.

Ha! cóż to za człowiek?
Zraniony — krew na wrzosach!

LUTUWER, wyciągając ręce.

O Panie! o Panie!
Przybliż się — tajemnica...

MINDOWE.

To ty, Lutuwerze?

LUTUWER.

Konam!...

MINDOWE.

I tajemnicę odkrywa skonanie.
Jakaż to tajemnica?

LUTUWER, cicho.

Królu! w krzyż nie wierzę.
Nie mam wiary — i krzyż mię nie może przekonać.

MINDOWE.

Skonaj bez wiary..

LUTUWER.

Panie! panie, daj mi wiarę!
Jakąkolwiek, nie mogę tak bez wiary skonać.
Przyjąłem chrzest, gdyś kazał — dzisiaj Bogi stare
Wołają mnie! wołają! każ mi wrócić.

MINDOWE.

Każę.

LUTUWER.

Jodło, tyś moim Bogiem... Oto Litwy gromy
W proch obróciły złote krzyżaków ołtarze.
Od twoich zamków niższe dziś krzyżackie domy.
O straszny! straszny byłem, gdy na mnichów głowy
Ciskałem oszczep — zakon czoła nie podniesie...

MINDOWE, odwraca się.

Co to za stuk?

LUTUWER.

O panie! to nic — to po lesie
Litwini tną gałęzie na mój stos grobowy.
Czy to mi rosa spadła na czoło!

MINDOWE.

Łza moja...

LUTUWER.

Od dzisiaj będzie rosą rdzawieć starca zbroja.
Jak za tymi chmurami mgli się blask księżyca,
Jeżeli jéj od rosy wnuki nie ustrzegą.
Och! panie, jak mi cięży jedna tajemnica!
Przekleniesz! nie wypełniłem rozkazu.

MINDOWE.

Którego?

LUTUWER.

Och! zabójstwa...

MINDOWE, zimno.

Którego?

LUTUWER.

On żyje.

MINDOWE.

Kto taki?

LUTUWER, coraz słabiéj.

Nie pomnę już imienia, muszę przypominać.
On mnie zabił, chcę przekląć, on walczył z Krzyżaki.
Nie pamiętam imienia — nie mogę przeklinać.
Och! och! och!...

Kona.

MINDOWE.

Skonał... zimny... Patrzę na twarz bladą,
I zamiast starca rysów z uwiędłym wyrazem
Widzę rysy dziécięcia; wychowani razem,
Ja go dzieckiem widziałem. Dziś go na stos kładą.

Wchodzą żołnierze.

Litwini — nieście za mną Lutuwera zwłoki
Do zamku Nowogródka. Tam wznieść stos wysoki.

Odchodzi, dając rozkazy, za nim wynoszą ciało Lutuwera.

SCENA III.

Świątynia pogańska w nowogródzkim zamku.

ROGNEDA, przy ołtarzu sypie kadzidło.

Boże piorunu! rzucam dla ciebie kadzidło!
Wonny się bursztyn pali.

Niechaj twoje mgliste skrzydło
Białowiejskie puszcze wali;
Zostaw tam lasy ogniem zapalone gromu.
Przybywaj! przybywaj, Boże!
Wszystkie duchy do książąt przybywajcie domu,
Nim wasze ciemne twarze jasne rozmgli zorze.
Już słyszę... jako szumi wzdęta nawałnica,
Kiedy sosny druzgota Boga wichru ramię;
Z takim szumem wir duchów przy blasku księżyca
Płynie topi się i łamie.
Matka królów was wita!
Oto dla was ofiary
Rzucam w kadzielnic żary.
To dla Bogini wiosny — ten kwiat, co rozkwita,
A to dla Boga zimy — ten kwiat, co usycha,
A to dla Boga piekieł — brylant z krzyża mnicha.

Po chwili.

Rozwidniają się duchy w mrocznym kadzidł dymie.
Bogi! syn mój do dawnéj znów powrócił wiary,
Na waszych zgliszczach setne zapali ofiary.
Mindowe... syn mój... z dumą powtarzam to imię!
Mindowe! czy słyszycie? powiedzcie mi, Bogi,
Czy on będzie szczęśliwy? czy długo los błogi
Utrzyma go na tronie? czy przekleństwa moje,
Które niegdyś ściągnęła gorzka jego wina,
Nie zaszkodzą mu w życiu? przeklinając syna,
Bałam się ich spełnienia i teraz się boję.
Mówcie! lecz serce własnym modłom nie dowierza,
Już mi braknie na wasze zaklęcie wyrazu.
Mówcie!

GŁOS Z OŁTARZA.

Mindowe zginie od ręki rycerza,
Który poległ zabity z Mindowy rozkazu.

ROGNEDA.

To był głos ludzki!... nie, nie, to są boskie słowa!
Bogi, czemuż tak nagle znikacie przedemną?
Daliście mi odpowiedź okropną i ciemną.

Zniknęli, znów mnie ciemność okryła grobowa.
To może natężone zmysły mnie uwiodły.

Oddala się. — Trojnat i Hejdenrich wychodzą z poza filarów, gdzie byli ukryci.

TROJNAT.

Rogneda za Mindową zasyłała modły,
Nie można na nią liczyć — to matka...

HEJDENRICH.

Trojnacie!
Słyszałeś, jaką dałem odpowiedź z ołtarza?
Pierwszy raz Legat zasiadł w takim majestacie;
Pierwszy raz posłańcowi Papieżów się zdarza
Dawać wyrok przez usta pogańskiego boga...
Lecz Mindowe za nami z klasztoru przybędzie,
Nie wie, że w zamku znajdzie ukrytego wroga;
Gdy walczy w Prusach, Krzyżak stolicę zdobędzie,
I za wszystkie poprzednie zdrady mi zapłaci...
Panie! na twe rozkazy mam dwudziestu braci,
A każdy zbrojny mieczem i krzyżem i tarczą.
Teraz, gdy na Krzyżaków wyszli wojownicy,
Te małe siły w naszych zamiarach wystarczą;
Potém miodem znęcimy zmienny lud stolicy.

TROJNAT.

Z nocą trzeba otoczyć zamek z każdéj strony,
Ja sam się wkradnę z mieczem w znany gmach zamkowy,
Zgładzę dzieci, by przez nich nie stracić korony.

HEJDENRICH.

A Mindowe?

TROJNAT.

Kto inny knuje śmierć Mindowy.

HEJDENRICH.

Lecz, książę, gdy zasiądziesz w litewskiéj stolicy,
Czy wspomnisz, że ci Krzyżak dopomógł w zamiarze?

TROJNAT.

Wzniosę ołtarz...

HEJDENRICH.

O! niechaj w proch padną ołtarze!
Ale nie waż się wdzierać do pruskiéj dzielnicy,
Nie waż się...

TROJNAT.

Tak, zadosyć uczynię twéj chęci,
Usługę waszę w wiecznéj zachowam pamięci.
Idźmy! idźmy; Mindowę już w ręku trzymamy,
Idźmy otoczyć zamek i osadzić bramy.

AKT V.

Sala w pałacu Mindowy.

SCENA I.

MINDOWE, ROGNEDA, siedzi na przodzie sceny.

MINDOWE.

Matko! próżna ucieczka, w każdéj zamku bramie
Widzę, błyszczą zdaleka buntowników zbroje.
Jak tygrys w klatce, chyba mury te rozłamię.
Nigdym się nie bał śmierci — teraz się nie boję,
Lecz rozpacz ogarnęła, wściekłość mnie porywa.

ROGNEDA.

O synu mój! nie umrze ten, kto Bogów wzywa,
I kto z ufnością boskim wyroczniom zawierza,
Słuchaj... nie możesz zginąć jak z ręki rycerza,
Który poległ zabity za twoim rozkazem.
Ufaj i śmiało ludzkim pogardzaj żelazem,
Chyba umarli wstaną...

MINDOWE.

Kto? te mnichów tłumy,
Którzy poszli do piekła... Kto? te Niemcy harde,
Którzy z życiem wrodzonéj pozbyli się dumy.
Dla żywych i umarłych równą czuję wzgardę,
Umarłych się nie lękam...

ROGNEDA.

Lecz Dowmunt?

MINDOWE.

Śpi w grobie.
Gdyby ci wstawać mogli, których grób pokrywa,
Nie śmiałyby się żony ubrane w żałobie,
Ani dziedziców radość byłaby tak żywa.
Matko — i ja nie wrócę, gdy dziś w grobie zasnę.
O! zamku, co przetrwałeś długie wieków burze,
Ciebie naprzód powita jutro słońce jasne,
Ja ciebie żegnam... Zamku na wysokiéj górze!
Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wsławił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać,
I nieraz cię krwią ofiar niewinną zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?

ROGNEDA.

Serce rozdzierasz, synu.

MINDOWE.

Rozdzierałem serca.
Bezbożny, zbójca, tyran, obłudnik, morderca:
Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie,
Jam wszystkie spełnił — zimno — znużony po zbrodniach
Głębiéj teraz spać będę i w grobowe cienie
Przejdę przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
Ach matko! ciężkie, ciężkie było moje życie,
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko,
Nikt mnie nie kochał!...

ROGNEDA.

Słyszysz tego serca bicie?
Kochałam cię...

MINDOWE.

A jednak przeklęłaś mnie, matko!

ROGNEDA.

Nie masz ty serca, synu! on mi przypomina!
Przekleństwo zapomniane!

MINDOWE

Tu czara nalana
Słodkiém winem, truciznę przymięszam do wina.

Sypie truciznę.

O matko! tu Aldona idzie obłąkana.

Wchodzi Aldona i w obłąkaniu zdaje się kogoś prowadzić za sobą.

ALDONA.

Chodź tu za mną, Dowmuncie, w téj sali tak głucho,
I ty za głośno stąpasz .. słyszy moje ucho
Ciężkość twoich odetchnień — szelest twojéj szaty...

Po chwili.

Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie?... grób ten dwoje kochanków przykryje.

Po chwili.

Chodź za mną, daj mi rękę, jak twe serce bije?
Bije zanadto głośno, Mindowe usłyszy!
Czego tak głośno stąpasz? w pałacowéj ciszy
O sklepienie się każde westchnienie roztrąca.
I uśmiech taki zimny — i dłoń taka drżąca.

Idzie do okna.

Czemu tak wcześnie? czemu tak wcześnie?
Już mię porzucasz, drogi mój! miły!
Jeszcze gmach cały spoczywa we śnie,
Ledwo wieczorne gwiazdy zalśniły.
Lecz oko twoje moich unika
I łzami smutna błyszczy źrenica.
Czy cię tak smuci ten głos słowika?
Czy cię tak smuci ten blask księżyca?

MINDOWE.

Nieszczęśliwa... więc dam jéj zatrute napoje...
I któżby z ludzi sądził, żeby serce moje
Miało tyle litości?

Podaje Aldonie czarę.

Dowmunt ci przysyła
Ten napój, wypij, zaśniesz...

ALDONA, z uśmiechem.

To Dowmunt?

MINDOWE.

Wypiła...

ALDONA.

Noc była ciemna i chłodna,
Czułam, jak się myśl moja rozdzielała zemną
I mowa z wątkiem myśli stała się niezgodna.
Straszna to była chwila, jeszcze w noc tak ciemną.
Lecz dawniéj, kiedyś — w téj saméj dobie,
Była straszniejsza chwila w téj sali...
Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie?
Nic mi, mój luby... czy słyszysz dźwięk stali?
Chroń się; o Boże! wyłam okien kraty...

Śmieje się z obłąkaniem.

Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie...

Śmieje się dziko.

Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie?
Nic mi, mój luby... bywaj zdrów na wieki!

Wychodzi zamyślona.

MINDOWE.

Niech prędko sen śmiertelny zamknie jéj powieki...

ROGNEDA.

Słyszę jakieś stąpania — synu! synu drogi!
Patrz, oto klucz od świątyń — przez te drzwi komnaty
Uchodź — tam będą bronić wielkie Litwy bogi,
Tam w ołtarzu odemkniesz potajemne kraty,
Jest wyjście do ogrodu, kędy lampa świéci...
Zapomnij przekleństw.

MINDOWE, wskazując na jedne z drzwi.

Matko! tam! tam moje dzieci!...

Wychodzi innymi drzwiami.

ROGNEDA, sama.

Poszedł... ostatnich jeszcze kroków szelest słyszę?
I te już nikną... poszedł — wszędy grobu cisze...

Po chwili.

Gdzież jestem? czy młodości wróciła godzina!
Wszyscy są tu koło mnie — książęca rodzina
Otoczyła mnie w koło. Nie są to obrazy,

Które z płótna się patrzą nieruchomym wzrokiem;
Widzę ich — na obliczu czas nie wyrył skazy,
Nie zakryli się żadnym posępnym obłokiem.
Jak wczoraj pożegnani.

Mówi do otaczających ją duchów.

Ryngolcie! mój mężu!
Siądź tu przy mnie... Patrz, jak ta dziecina na łonie
Uśmiecha się i w twoim podoba orężu.
Nie rusz miecza, Mindowe, okaleczysz dłonie.
Masz kwiatek, baw się z kwiatem, dziécię, duszo moja?
Ty się uśmiechasz, mężu — Ryngolcie kochany.

Słychać szczęk broni.

Broń jęknęła — Ryngolcie, czy to twoja zbroja
Zajęczała tak smutnie? czy miecz spadł ze ściany?
Ty znikasz, pójdę z tobą — nigdy się nie chwiałam,
Czy przyjmiesz mnie do grobu? czy przyjmiesz?

Przez kilka chwil milczy zamyślona. — Trojnat ze sztyletem w ręku, blady, przechodzi przez głąb sali — i wchodzi do pokoju dzieci przez drzwi, na które Mindowe wskazał, oddalając się.

Słyszałam!

Tak, to on był!

Mindowe wraca.

MINDOWE.

Kto, matko? kto, matko!

ROGNEDA, z zadziwieniem.

Mindowe?
Pocoś tu przybył! poco szukasz tu schronienia?
Uciekaj! miecz ukryty spadnie na twą głowę.

MINDOWE.

Nikogo tu nie widzę oprócz mego cienia,
Który po raz ostatni pada na te ściany.
Matko, widać nieszczęściem umysł masz zbłąkany.
Próżna ucieczka, losy niechaj się uiszczą,
Byłem w świątyni, zewsząd zdradne miecze błyszczą,
Czy był tu kto?

ROGNEDA.

Gdzie Trojnat? Trojnat tu przechodził.
Zdaje się, że widziałam sztylet — we krwi brodził.

MINDOWE.

Gdzie Trojnat? Matko moja! gdzie Trojnat — on zginie.
Chciałbym ukarać sprawcę niegodnego czynu.
Matko, powiédz! ach powiédz! nim chwila przeminie,
Będzie zapóźno. .

ROGNEDA, z rozpaczą.

Ja go nie widziałam, synu!
Nie lękaj się — nie zginiesz od Trojnata dłoni,
Siła wyroczni ciebie od zgonu zasłoni;
Chyba umarli wstaną, chyba Dowmunt wstanie.

MINDOWE.

O matko! oby prędzéj zabłysło świtanie.
Zaledwo się od wschodu rozwidnia noc ciemna,
Srebrne mgły się podnoszą. Zda mi się, że słyszę,
Jak smutno szumią wody błękitnego Niemna,
Jak posępnie litewskim borem wiatr kołysze.
Matko, czujesz przez okna téj gotyckiéj sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie.
O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali,
Zdradzasz go. Niech już słońca zabłysną promienie.
Nie wytrzymam, tak srodze duszę moję nęka
Ta nad głową z sztyletem zawieszona ręka.

Podczas ostatnich słów wchodzi Dowmunt w krzyżackiéj zbroi, z zapuszczoną przyłbicą. Rogneda do końca aktu siedzi nieporuszona.

DOWMUNT.

Zapłaciłbym krwią moją tak podłe wyznanie,
Boisz się umrzeć, zgonu boisz się, tyranie!
Płacz i głoś żal za życiem niewieścimi słowy,
Nakarmię dziką zemstę bojaźnią Mindowy,
Ujrzę płacz rzewny dziecka.

MINDOWE.

To krzyżak! strach marny.
Dzieci tylko przeraża zbroja i krzyż czarny,
Broń się...

Biją się i po długiéj walce zastanawiają się oba.

A więc innego użyjmy sposobu.
Oba odrzućmy zbroje — ten, kto mnie zabije,
Musi wprzód wejść do grobu, potém powstać z grobu.

DOWMUNT.

Pomnisz Dowmunta!

MINDOWE.

Skonał.

DOWMUNT, podnosi przyłbicę.

Już zmartwychwstał, żyje.
Patrz, kto ja jestem!

MINDOWE.

Matko! matko! mąż Aldony.

DOWMUNT.

O Boże! mąż Aldony! tak jest, mąż Aldony!
Broń się, nieszczęsny! cała wściekłość mi wróciła.
Odemszczę w krwi tyrana nieszczęścia méj żony.

MINDOWE.

Więc i śmierć jéj odemścij.

DOWMUNT.

Jakto? ona żyła!
I choćby serce uschło, ją mój wzrok ożywi,
Będziemy jeszcze razem, będziemy szczęśliwi,
Jak dziecka strzec jéj będę i osłodzę płacze.
Powiédz, że ona żyje! wszystko ci przebaczę,
Nawet tę wieść ostatnią okropną i ciemną.

MINDOWE.

Ona piła truciznę, zginie razem ze mną.

DOWMUNT, przebija go.

Ty prędzéj zginiesz! Boże! Aldona! Aldona!

Wybiega.

MINDOWE, opiera się o filar sali.

Krew mi płynie strumieniem z rozdartego łona.
Matko moja! chodź, zamknij! zamknij oczy syna.
Jak się ciężką wydaje ta żelazna zbroja,

Ten miecz okropny mrozem krew mi w żyłach ścina.
Czyżeś mię opuściła? matko! matko moja!
Przekleństwo wam! o mnichu! mnichu, precz mi z krzyżem.
Na tron nieście, a w mnichy Trojnata postrzyżem.
A ty po co nademną szepcesz te pacierze?
Boże mój — Boże, ciągle odzywa się we mnie,
Precz, mnichu! sen przerywasz, niech boleść uśmierzę,
Niech zasnę! och, niech zasnę! daremnie! daremnie!
W strasznych bolach o wszystkiém w świecie zapominam,
Świat i siebie przeklinam — i dzieci przeklinam.
Wszystkich przeklnę. — O matko! gdzie są moje dzieci?

Trojnat wychodzi z dzieci pokoju ze sztyletem, blady.

TROJNAT.

Nie, tu niema nikogo — lampa tylko świéci.
Gdzież ta korona? gdzież jest? zabić bez nagrody.
Gdzież jest moja korona? gdzie purpura księcia.
Jak mi ciężko — okropnie...

Patrzy przez okno.

Słyszę ranne chłody,
Spojrzę na ziemię, róża jest jak twarz dziécięcia,
Spojrzę na niebo, księżyc jest jak twarz dziécięcia,
Wszystko mi przypomina. Raz pierwszy krew leję,
Potém przywyknę — teraz pot się sączy z czoła.
Noc straszna. Włos od zgryzot przez noc mi zbieleje.
Jakiś szmer słychać — może to mnie dziécię woła?
Czy wrócę ich dokonać? Nie, tak mi się zdało.
Ciemno lampa płonęła, jedno z dzieci spało
Po płaczu utulone jak na łonie matki,
I przez sen niespokojne marzyło wyrazy;
Drugi już się przebudził — i wołał o kwiatki,
I niewyraźne dawał piastunce rozkazy;
Potém nagle zapłakał, gdy żadnéj nie było,
I jakby mu się jeszcze coś strasznego śniło,
Jeszcze zapłakał — jęknął — znów cicho w komnacie,
I jeszcze — jeszcze jęknął.

MINDOWE.

Trojnacie! Trojnacie!
Skończ! skończ! przekleństwo tobie! o boleść straszliwa!

Mocniejsza teraz, kiedy życie dogorywa.
Gryzłbym z jękiem te twarde kolumny marmuru,
Przeklinam ciebie — matko, ty przeklnij mordercę!
Twych przekleństw ja doznałem. Boleści tortury!
O, gdyby prędzéj skończyć! przebij mi to serce,
Lecz nie tym mieczem, którym zabijałeś dzieci,
Precz! precz! czuję, duch z jękiem ostatnim uleci.
Och! och! och!

Kona.

Dowmunt wpada prędko, prowadząc za sobą obłąkaną Aldonę.

DOWMUNT.

Ach przemów! przemów do mnie, o droga Aldono!

ALDONA, śpiewa z obłąkaniem.

Oto złotą osnową
Winie mi się wrzeciono,
A ja śpiewam dziecinie:
Jeśli się nić uwinie,
Uwieńczona koroną,
Będziesz kiedyś królową;

Przestaje śpiewać.

Jeśli się przerwie — pieśń ci zaśpiewam grobową.
Pamiętam, tak mi niegdyś piastunka śpiewała,
Czy się ta nić uprzędła? czyli się urwała?
Nie wiem — już nie pamiętam, to tak dawno było.

DOWMUNT, z rozpaczą.

Czy ty mnie znasz, Aldono?

ALDONA, zimno.

Tak, myśmy się znali
We śnie. Tyle mi twarzy na świecie się śniło,
Któż sny pamięta?

DOWMUNT.

Lampa tak ciemno się pali,
Dla tego nie poznała.

Bierze lampę i z nią przystępuje do Aldony.

Patrz! twój Dowmunt żyje,
Stoi przed tobą. Patrzaj! choć nieszczęście zmienia,

Nie zmieni rysów twarzy — zginął stróż więzienia,
Ja odzyskałem wolność ..

ALDONA.

Ach, jak mi wesoło!
Idę do ślubu, wianek zawieszę na czoło.
Jeden kwiat polnéj róży
I dużo rozmarynu,
Niechaj mi szczęście wróży;
Dwie gałązki jaśminu
I jeden liść paproci.
Patrzaj! oto poranek blado niebo złoci.
I tak mi słabo — tak mi w oczach ciemno.

DOWMUNT.

O luba! droga moja — chodź ze mną! chodź ze mną!
Nie płacz — czas wszystko zgładzi, zmysły ci powrócą,
Strzec cię będę jak kwiatu, otoczę kwiatami,
Żadne ponure myśli szczęścia nie zakłócą,
Łzy moje cicho będą płynąć z twymi łzami.

ALDONA, wpatrując się w Dowmunta, z uśmiechem.

Dowmunt!

DOWMUNT.

Ty mnie poznałaś?...

ALDONA, oglądając się.

Jak tu ciemno w gmachu,
To kwiaty na podłodze...

DOWMUNT.

Krew skalała głazy.
Chodź! chodź! oto ich twarze pobladły z przestrachu.

ALDONA, śmiejąc się z obłąkaniem.

Cha! cha! ten śmiech mi łamie na ustach wyrazy.
I ból. Niech go uczuję głębiéj. — Och! rozdziera,
Rozdziera mi wnętrzności. Wyrwij mi go z łona.
Już widmo ciemne myśli bladnie — obumiéra.
I wszystko przeszło. Boże, och! och! och!

Umiera.

DOWMUNT, padając przy niéj na kolana.

Aldona!

Wchodzi Krzyżak.

KRZYŻAK, do Trojnata.

Kapłan litewski panem Litwy cię ogłasza,
A lud radosnym krzykiem jego wybór święci.

TROJNAT.

Nie gadaj do mnie .. wszystko wygasło w pamięci.
Lecz głos dumy — sumienia boleści rozprasza,
Może o tém zapomnę, gdy włożę koronę.
Dowmuncie! chodź z téj sali...

DOWMUNT.

Patrzaj na Aldonę.
Jaka blada, jak zimna — to Aldona!

TROJNAT.

Blada?
Ach właśnie taka bladość była dzieci twarzy,
Tak były ciche, zimne... Okropna to zdrada!
Zabijać dzieci! dzieci! Ale mi się marzy,
Że jeden jeszcze westchnął... pójdę tam — zobaczę,
Nie, nie, to było tylko konających drganie.
Tyle razy słyszałem z ich kolebek płacze,
Nie dziw, że mi się marzą.

KRZYŻAK.

Lud cię woła, Panie.

TROJNAT.

Tak, prawda — lud mnie woła i na króla święci,
Matko! matko Mindowy! spełnione twe chęci.
Cóż to? nie słyszysz, matko?... Nic nie odpowiada.
Rognedo! twego syna ziemia dziś pokryje.
Rognedo? cóż ty milczysz?

Zbliża się do nieruchomie siedzącéj Rognedy.

Przebóg! jaka blada,
Nieruchoma, skościała — zimna —

Bierze ją za rękę.

Już nie żyje.

1829.

PRZEDMOWA

DO 1. WYDANIA MINDOWY I MARYI STUART.

Ktokolwiek zechce przeczytać do końca dwa tomy niniejszych poezyj, przekona się, jak mało czytelnika sobą i własnymi uczuciami zatrudniam; usilnie kryłem się za osoby działające w powieściach, jeszcze mniéj widać autora w dziełach scenicznych. Odczytując świeżo dramat Mindowe, wpadam na myśl, że pierwszym z zarzutów krytyka może być niedostateczność układu, drugim bezbożność, a oprócz tych zarzutów, iluż błędów wiersza nie wyśledzi oko wglądającego przez mikroskop gramatyka. Niech mi więc wolno będzie, uprzedzając krytyki, wyznać, że sam czuję najlepiéj wszystkie niedostateczności dramatu Mindowe, a części przynajmniéj błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć. Mamże jeszcze z szczerszą otwartością postąpić? mamże wyznać, że Mindowe jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych, napisany przed trzema laty, wtenczas, kiedy autor miał lat... Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych polskich, naśladując Edinburgh Review — (tylko samo bardziéj błahe i nad bardziéj błahym pastwiąc się autorem) powiedziało: iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniéj w przypisach o przywileje małoletnich upominam się. I tak Mindowe powinien był wiecznie w tece dziecinnéj pozostać; wiecznie by w niéj pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego. Ależ i w akcie trzecim, na który niejako uwagę czytelnika zwrócić usiłuję, pozostało mi tu uczynić przykre może dla wielu innych, ale dla mnie mało ważne

wyznanie. Jeden z literatów, który dawniéj przebiegał sceny Mindowy, uczynił mi zarzut, że scena, gdzie Mindowe porównywa Litwę z krajem Krzyżaków, a bogactwa swoje z bogactwem zakonu, jest naśladowaniem mowy Litawora w ślicznéj Grażynie Mickiewicza. Pisząc tę scenę, miałem tylko przed oczyma kilka miejsc z kronik, kilka miejsc z historyi Karamzina, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawném ubóstwie królów i kniaziów. Nieraz książę Tweru albo Nowogrodu, testamentem rozpisując swoje skarby, jednemu z synów kubek, drugiemu szatę jedwabną, trzeciemu łańcuch daje w spuściźnie. Takie homeryczne ubóstwo królów ówczesnych podało mi myśl wzmiankowanéj sceny, i aby ją uczynić zupełnie oryginalną, dosyć było kilka ostatnich wierszy o zamku przemazać, dosyć było wyrzucić wiersz:

Nie dbam ja o bogactwa, o złoto nie stoję.

I ten drugi:

A tu patrz, Lutuwerze, jak posępne gmachy.

Wolałem przecież scenę nietkniętą pozostawić i wyznać, że bez upokorzenia dług myśli względem największego z naszych poetów zaciągam.

Dzisiejsi poeci muszą również jak dawniejsi w myślach spotykać się, a nawet częściéj, bo malują wiernie naturę i serce człowieka; ta różnica tylko zachodzi, że dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowie naśladują, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło geniuszu rozbierać chcieli, czyż trudném byłoby powiedzieć, że Walenrod sam jest szpiegiem Coopera, że opisanie charakteru Walenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał; że nareszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającéj w Walenrodzie, jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Pariziny, a jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł i takie przystosowania, również jak błędy przez drukarzów popełniane prędzéj w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą.

Ale z drugiéj strony, ileż w tegoczesnych poetach nowych myśli? jaka moc zadziwiająca wynalezienia? słu-

sznie Cousin w historyi filozofii osiemnastego wieku powiedział: że wiek dziewiętnasty będzie bogatym w wielkich poetów, albowiem Bóg obfitą dłonią rozlał na ludzi nowe zasoby imaginacyi; ale niesłusznie tenże pisarz dodał, że Bóg uczynił to jakoby dla wynagrodzenia ludzi za oschłość politycznych wypadków wieku; sądziłbym, że wiek ten będzie w wypadkach swoich poetycznym i że skarby imaginacyi wylane zostały na świat celem usposobienia ludzi do wielkich czynów i przedsięwzięć, celem silniejszego popchnięcia dążności ludów.

Przekonany jestem nakoniec, że wszelką bezbożność w słowach Mindowy odkrytą, uprzedzony chyba i płocho sądzący czytelnik na karb autora policzy. Trzebaż było, aby Mindowe w każdém słowie, lękając się obrazić czytelnika, obrażenia krzyżaków lękał się? Wyrzeczenie się wiary, zerwanie z krzyżakami, bula papieska, w któréj Inocenty IV. daruje królowi wszystkie kraje, jakie kiedykolwiek Mindowe mieczem pozyska na Danielu książęciu z Halicza, są to fakta z historyi wyjęte. Te rysy były głównym zawiązkiem utworu, musiały więc pozostać, i śmiem dodać, że sceny te, jako żywcem z historyi wydarte, są jedyną zapewne zaletą źle ułożonego obrazu.

MARYA STUART.

DRAMA HISTORYCZNE

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

MARYA STUART, królowa Szkocyi.
HENRYK DARNLEJ, mąż Maryi Stuart.
MORTON, kanclerz.
RIZZIO.
BOTWEL, kochanek Maryi.
DUGLAS.
LINDSAY.
PAŻ Maryi Stuart.
NICK, błazen Henryka.
ASTROLOG.

Scena w pałacu Holy Rood.

AKT I.

SCENA I.

Sala w pałacu Holy Rood.

MARYA STUART, RIZZIO, PAŻ.

PAŻ, wbiega prędko.

Smutne wieści przynoszę, posłuchaj, królowo,
Oddawna cię znieważa płochy lud stolicy;
Dziś jeszcze byłem świadkiem, jak zniewagę nową
Wyrządził twym pałacom, królewskiéj kaplicy.
Dziś, królowo, nad rankiem, za ogrodu murem
Ujrzałem piękne maski, orszak Robinhoda:
Tłum tancerzy z dzwonkami, Tuck z czarnym kapturem,
Mały Janek i strzelce i Maryanna młoda,
Biała jak kość słoniowa, wesoła dziewczyna.
Szedłem zdala za tłumem; wtém zgraja wesoła
Staje — ucichły dzwonki — tłoczy się dokoła;
Jakiś człowiek nieznany grozi, napomina,
A potém wszedł do domu na rogu ulicy.
Wszyscy się uciszyli... Znów ten człowiek blady
Stanął w oknie i z okna jak na kazalnicy
Przeciwko tobie, pani, lud budził do zdrady.

RIZZIO.

Poznałem z opisania, to był Knox, królowo;
Dzień i noc wiecznie z okna przemawia do ludu,
Lud modli się i słucha, w każde wierzy słowo,
I słuchając, z ust Knoxa oczekuje cudu.
Ten człowiek chrześcijańskie podaje nauki;
Raz wskazał na ten pałac i rzekł głosem gromu:
Zburzcie! zburzcie to gniazdo, a odlecą kruki!

Jak Papież klątwy rzuca na świat z okien domu,
A lud się jak świętemu kłania obrazowi.

PAŻ.

Królowo! śmielsi z ludzi, do zbrodni gotowi,
Wpadli do twéj kaplicy z dzikimi okrzyki;
Gniazdo papistów! krzyczą, obdzierają ściany,
Niszczą obrazy, palą, unoszą świéczniki.
Wtém patrzę, oto w szaty kościelne przybrany
Na ołtarzu stał trefniś Darnleja — i śmiele
Jak ksiądz zaczął kazanie w święconym kościele.
Lud wesoło bluźnierczym odpowiadał śpiewem,
A błazen skarby święte unosił bez braku.
Dobyłem miecza, zdjęty rozpaczą i gniewem,
Rzucam się, spadły dzwonki na błazna kołpaku.
Może krew popłynęła? nie wiem — lud się tłoczył,
Okolił mnie orężem — o ścianę oparty
Miałem ulec — wtém Botwel z królewskimi warty
Przybył — ocalił pazia, kaplicę otoczył.

MARYA.

Rizzio! słyszałeś? Sama — sama więc na tronie,
Opuszczona od wszystkich, lud mnie nienawidzi;
Ów Knox śmiało urąga kobiécéj koronie,
Takżem to nisko spadła? przeklina mię, szydzi,
Rozdzierają to serce. Wszak dziś jeszcze rano,
Dziś się za nich modliłam! czyliż moja wiara
Tak różna od ich wiary? O Szkocyo!...

RIZZIO.

Przestaną!
Przestaną cię obrażać — zasłużona kara
Spadnie na tych zbrodniarzy. Tak, pozwól, królowo;
Paziu, pisz rozkaz — niechaj schwytani na zbrodni
Opłacą przewinienie więzieniem lub głową.

Paź bierze pióro i siada nad kartą pergaminu.

Pisz rozkaz, przewinili, litości niegodni.
Wszystkich bym jednym stosu ogarnął płomieniem.

MARYA.

Cały lud byś wytępił? jaka zemsta dzika!
Lud mię zdradza.

PAŹ, pisząc.

Królowo! czyliż z twém imieniem
Połączę imię twego małżonka Henryka?
I dam mu tytuł króla?

MARYA.

Tak, wszak zawsze razem
Pisałeś jego imię. Nie, czekaj — co czynię?
Może lud działał zgodnie z Henryka rozkazem,
Wszak jego trefniś luby sam przewodził w gminie?
Nie pisz imienia króla — ja jestem królową!
Rizzio! co myślisz? — nie wiem — może się obrazi?
Pierwszy czyn przeciw męża; opuszczone słowo
Struje szczęście domowe, dni pogodę skazi.
Ja mu dawałam tytuł króla w dni szczęśliwe,
Nieraz koroną jego dotykałam czoła.

RIZZIO.

Królowo! ty masz lice i serce anioła!
I czemuż siejesz kwiaty na tak dziką niwę?
Widziałem słońce, kiedy, na obłoków tronie
Tonące w Tybrze, patrzy na krzyż Rzymu złoty;
Ty jesteś jak to słońce, twój tron w falach tonie,
Lud cały już zatonął w obłędach ciemnoty;
Ty jedna wzniosłém czołem widzisz światło wiary.
Królowo! zbrodnia czeka zasłużonéj kary,
A cnót przyćmionych kiedyś znajdą się obrońce,
Kto jak słońce zagasa, wstanie jako słońce.

MARYA.

Wiara każe przebaczyć.

RIZZIO.

Bóg ma kary w niebie,
Jesteś na tronie, karać od Boga masz prawo.
Obojętność twe imię okryje niesławą,
Obudź śpiące uczucia, lud patrzy na ciebie
Jak na zgaszoną lampę, trzeba w lampy łonie
Zapalić jasny świécznik, niech błyska i płonie.

Do pazia, który skończył pisać i wstaje.

Skończyłeś, paziu? dobrze, zawołaj rycerza,
Który dziś straż odbywa.

Paź wychodzi.

Wyrok swój usłyszą.
Niech straszny piorun zemsty na zdrajców uderza.
Jak pióra, co na mojéj głowie się kołyszą,
Zadrżą przed tobą, do nóg twoich się uchylą.

SCENA II.

MARYA, RIZZIO, DUGLAS, PAŻ.

MARYA.

Witam ciebie, Duglasie, niedawno, przed chwilą,
Widziałam tu Mortona w bramie pałacowéj.
Nieś mu ten rozkaz, trzeba pieczęci kanclerza.

Duglas odbiera pismo z rąk królowéj, przegląda je i czeka.

Cóż to? wszak posłuszeństwo jest cnotą rycerza,
Śmiałżebyś w niém ubliżyć kobiécie? królowéj?

DUGLAS.

Królowéj? o nie, Duglas nie zna zdrady cienia.
Lecz wybacz, pani — oto na tym pergaminie,
Pewnie skutkiem pośpiechu, w tak nagłéj godzinie,
Braknie tytułu króla, Henryka imienia.
Twego małżonka święta dla ludu osoba,
Imię z twojém imieniem zawsze było w parze:
Wybacz śmiałości mojéj, może się podoba
Sprostować błąd?

RIZZIO.

Królowa nie błądzi, gdy każe.

DUGLAS, ze wzgardą.

Niech z samych ust królowéj otrzymam odprawę,
Czekam jéj odpowiedzi.

MARYA.

Spełń rozkaz.

DUGLAS, zapalając się.

Na Boga!
Wstrzymaj, pani! o! wstrzymaj te rozkazy krwawe!
Królowo! chceszże, aby krwią zalana droga

Wiodła do twego tronu? do tronu kobiéty?
I niezgody pochodnia na królewskim dworze,
Nie wiem, kto ją zapalił? jakiś wróg ukryty,
Albo ją wiatr francuski roznieca przez morze.
Słowa wyroku wzięte z weneckiego śpiewu,
Z barkaroli harfiarza, lub z hymnów Papieża.
Więc aż w Szkocyi je słychać... pragną krwi rozlewu!
Ktoś umie radzić, może zastąpi kanclerza,
Może zostanie...

MARYA.

Dosyć! pamiętaj, Duglasie!
Mnie twoje płoche słowa obrazić nie mogą,
Lecz pamiętaj, pobiegłeś nie rycerską drogą,
Możesz stracić ostrogi, lub ozdobę w pasie...
A gdy pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.
Jestem królową...

DUGLAS.

Przebóg! ja stracę ostrogi?
Zetrze się z nich pozłota — żelazo zostanie,
Ani je podstępnymi zdobywałem drogi,
Nie dała mi ich harfa, nie dało śpiewanie,
Nie wziąłem — nie znalazłem ich u stopni tronu;
Gdziem je zyskał, powiedzą pola Albionu:
Winienem je potyczkom i niespanym wartom,
Szczycę się długim przodków szlachetnych poczetem,
A wszyscy! — wszyscy! mieczem służyli Stuartom.

RIZZIO.

Pozwól — nieraz Stuartom służyli sztyletem...

DUGLAS.

O nędzny! coś wymówił? co słyszałem? Boże!
Ha! więc znasz, jak Duglasy mścili swéj zniewagi?
Mścili się na Stuartach, na królewskim dworze,
Na kimże ja się zemszczę? — lalka, bez odwagi,
Oto trefione włosy i różane lice:
Przystąp tu, małe dziecko — rzucam rękawicę!

Rzuca rękawicę.

Podnieś — jeśli ją podnieść, dźwignąć jesteś w stanie.

RIZZIO, podnosząc.

Podnoszę... Z mojéj strony, oto masz wyzwanie.

Bierze kwiaty leżące na stoliku przed królową i rzuca je pod nogi Duglasowi.

Podnieś, gdy lubisz kwiaty — ta broń nam przystoi
Tu, w obliczu królowéj...

MARYA, do Rizzia.

Z mojego rozkazu
Odrzuć tę rękawicę...

RIZZIO.

Rzucam, nie mam zbroi,
I nadto ciężka — dłoń ma nie sprzyja żelazu...
Daj mi wachlarz, królowo!...

DUGLAS, z wściekłością.

Jeszcze raz znieważył,
Odrzucił rękawicę.... Królowo! królowo!
Znajdę go, pod zasłoną znajdę go tronową,
Już nie zaśnie pod dachem, gdzie pożar rozżarzył.
Przysięgam, ścigać będę... Nie zechce się bronić?
Zostanę podłym zbójcą, pójdę za nim w ślady;
Ścigając wiecznie, kiedyś zdołam go dogonić.
Znajdzie mnie tu, w pałacu, gdzie śmiał szerzyć zdrady,
Znajdzie mnie u podwoi, w ogrodach, w kościele,
Znajdzie na dworze Francyi, przed tronem Papieża,
Choćby mu się słał u nóg, jak się teraz ściele,
Wyrwę go — tu przysięgam! przysięgą rycerza...

Zimno, ze wzgardą.

Kiedyś, królowo... kiedy dworem okolona
Rzucisz na chwilę tronu ciężar i zgryzoty,
Gdy się będziesz uśmiechać — stanę pośród grona,
A naśladując dworzan uśmiech i zaloty,
Podam ci ten kwiat — we krwi!...

MARYA.

Rizzio! chodź z téj sali.
Widzisz, Duglasie! jestem ze Stuartów rodu,
Umiem pogardzać.

Odchodzi. Rizzio idzie za nią, ale potém wraca.

RIZZIO.

Jutro — w chłodnikach ogrodu
Czekam ciebie, Duglasie, i na ostrzu stali
Znajdziesz śmierć, albo zemstę.

Odchodzi śpiesznie za królową.

SCENA III.

DUGLAS, sam.

Jutro — dzięki tobie!
Zdjąłeś mi przecie z czoła czarny srom zniewagi;
Mam czekać jutra — jutro zaśniesz w cichym grobie...
Któżby się po nim tyle spodziewał odwagi?
Tak się lękliwy zdawał?... nawet drżącą dłonią
Rzucał pod nogi kwiaty — gardził?... być nie może,
Żeby Duglasem wzgardził! on wie — śmiercią grożę..

Zamyślony, spokojniéj.

Lecz czy ten podły harfiarz umie robić bronią?...
Czuję, nie mógłbym w piersi odkryte uderzyć...
Dam Włochowi miecz dłuższy doświadczonéj mocy,
Krótszemu mogę zemstę honoru powierzyć,
Oby już noc nadeszła — chciałbym zasnąć w nocy,
Uśpionemu czas prędko przeleci jak chwila,
Kiedy się zbudzę — będzie już jutro na niebie.

SCENA IV.

DUGLAS, MORTON, wchodzi.

DUGLAS.

Witam, wielki kanclerzu, właśnie szukam ciebie;
Obacz, jako małżeńska miłość się przesila,
Gdy się piękny głos harfy rozchodzi na dworze.

Daje rozkaz królowéj.

Przyłóż pieczęć.

MORTON, przeglądając pismo.

Gdzież Henryk — o nim ani słowa?
Ja mam przyłożyć pieczęć — jeśli nie przyłożę,
Królowa powié na to...

DUGLAS.

Mówiła królowa:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.

MORTON.

Tak mówiła? słyszałeś?...

DUGLAS.

Słyszałem.

MORTON.

Mówiła!?...

DUGLAS.

Cha! cha! straszna się przepaść przed tobą odkryła!
Trzeba pieczęć przyłożyć...

MORTON.

Lecz gdy król się dowie,
Co powie na to?

DUGLAS.

Łatwo zgadnąć, co król powie:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Weźmie ją ręka dotąd dzwonkami brzęcząca.

Śmiejąc się, odchodzi.

MORTON.

Czekaj! czekaj, Duglasie — bojaźń mię przenika,
Pójść do królowéj?... Nie, nie, pójdę do Henryka.

Odchodzi.

SCENA V.

Scena w pokojach Henryka Darnleja.

HENRYK DARNLEJ, NICK.

NICK.

Nagródź mi, królu...

HENRYK.

Za co?...

NICK.

Jak rycerz bez zbroi
Wracam z placu potyczki bez dzwonków.

HENRYK, śmiejąc się.

O! szkoda!...

NICK, smutno.

Jeśli je znajdzie Morton, pewno je przyswoi,
Chleb mi odbierze. Jakaż za trudy nagroda?
Co o tobie wiedziałem, wszystko w dzwonki kryłem,
Jak w ziemię, tajemnicę chowałem Midasa:
Nicku — śmiać się nie będziesz — wesołość zabiłem!

Po chwili milczenia.

Zdejm biret z głowy Knoxa, hełm z głowy Duglasa;
Niech między nami żadnéj nie będzie różnicy...
Takiéj żądam nagrody...

HENRYK.

Cha! co ci się roi?...
Knox niech w birecie wiecznie prawi z kazalnicy,
Duglas niechaj ojczyzny wrogów ściga w zbroi;
A tobie sprawię dzwonki, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Prócz ubioru, coś jeszcze biedny Nick dostanie?

HENRYK.

Żądaj więc...

NICK, myśląc.

Królu, daj mi — daj —

Wesoło.

Portret królowéj.

HENRYK.

Dam ci swój...

NICK.

Twego nie chcę, daj mi szyling, panie,
Na nim jest wizerunek królowéj w koronie;
A ciebie na szylingu nie ma..

HENRYK.

O! straszliwie!
Słowo błazna jak sztylet w moich piersiach tonie,
Jestem królem — nie jestem królem, sam się dziwię,
Że tak długo cierpiałem honoru zakałę...
Dosyć już poniżenia!... jam na wszystko gotów,
Gdzie się obrócę — dziecko wytyka mnie małe:
Oto jest mąż królowéj!... Czemuż nie król Szkotów?
Mąż królowéj — to wielka dla Darnleja sława?...

Zamyśla się.

NICK, niby do siebie mówiąc głośno.

Nie dał szylinga, pójdę, nie wytrzymam dłużéj,
Pójdę służbę obierać, zła ze skąpym sprawa.
Ja służę Henrykowi — Rizzio Maryi służy —
I któż z nas lepiéj wyszedł?... Gdym przybył do dworu
Z zamkniętą torbą śmiechu, niewsławiony niczém,
Zaraz mi dano szatę różnego koloru,
I kij, na którym głowa z podwójném obliczem,
I czapeczkę z dzwonkami, i pas, a przy pasie
Były dwa worki próżne, i dziś jeszcze próżne,
I dziś ta sama szata. W jednym ze mną czasie
Przybył Włoch — wiatrem szyte miał sakwy podróżne,
Opatrzony podwójną twarzą... i okryty
Łataną szatą... w workach żadnego cekina;
Dziś patrz! Włoch już drogimi błyszczy axamity,
Pióra nosi na głowie, ostrogi przypina,
Z pełnych worków twarz Maryi wygląda przyjazna,
Ona go swoim płaszczem królewskim otula:
I gdyby miał takiego, jak ja jestem, błazna,
Możeby był podobny do takiego króla
Jakim jest...

Pokazuje ze złośliwym uśmiechem na Henryka.

Zasnął w myślach, zaraz go obudzę..
Królu, słyszysz głos harfy?

HENRYK.

Gdzie?

NICK.

W tronowéj sali...

HENRYK, z mocną boleścią.

Szatanem jesteś, Nicku, ja się dręczę, trudzę —
Tak, dźwięk harfy. Niech zamek w gruzy się zawali,
Niech zagrzebie tron, harfę... Gdzież znajdę zacisze?
Coraz bliżéj strasznymi nabawia mnie snami!
Budzę się zmordowany i znowu ją słyszę —
Jak jéj nie słyszeć?

NICK.

Królu, wdziéj czapkę z dzwonkami,
Ich dźwięk harfę zagłuszy.

HENRYK.

Sztylet struny przetnie.

SCENA VI.

HENRYK, NICK, MORTON.

MORTON.

Królu! racz słuchać, królu! z ważną wieścią dążę,
Z wieścią... Jestem życzliwy — i myślę szlachetnie.

HENRYK.

Któż o tém wątpi?

MORTON.

Racz więc posłuchać mię, książę.

HENRYK, z oburzeniem.

Książę?

MORTON.

Królu, racz słuchać!... Nie znajdę wyrazów...
Oto jest pismo, pieczęć przyłożyć kazano.

HENRYK, przegląda pismo.

Cóż to? gdzież moje imię? z jakich to rozkazów?
Nie! to pomyłka...

MORTON, z uśmiechem.

Tak jest, króla nie wpisano,
Przez pomyłkę zapewne?

HENRYK.

Wątpisz o tém, starcze?
Wnet pójdę do królowéj a wszystko przemieni!
Pójdę i wymówkami niewierną obarczę...
Nie, prosić będę... Długo żyjąc oddaleni,
Nie czujemy tak zgodnie, jak dawniejśmy czuli;
To prawie moja wina... jakaś zazdrość płocha
Rozdzieliła nas... zdradę podstępni uknuli,
Lecz królowa kochała i teraz mnie kocha.
Gdzie jest Marya?

MORTON.

U siebie — Rizzio u niéj bawi,
O zmienienie rozkazu zapewne się wstawi.

HENRYK, gwałtownie.

Ten Rizzio! Rizzio! wkrótce sięgnie po koronę.
Któż mnie uwolni?

MORTON.

Panie! zdołam to uczynić.
Poświęcę się.. Trzeba go o zbrodnię obwinić.
Panie, przyjm zaskarżenie, ja przyjmę obronę,
Zginie.

HENRYK.

O nędzny starcze! tyś dobry do rady!
Chciałbyś w oczach królowéj być wolnym od zdrady,
Jak śnieg biało wyglądać, ze krwi obmyć dłonie.
Ja mam stawać przed sądem? w purpurze, w koronie!
Ja, Henryk? przeciw Rizzia mówić w podłéj sprawie?
Ten Włoch nikczemny może w sądzie uwolniony
Znów mi będzie urągał? Nie — ręce zakrwawię,
Bo zgon jego obfite przyniesie mi plony;
Powróci pokój w domu... Tak — ja się namyślę...
Poco myśleć, myślałem, wszystko mam w umyśle
Tak widne jak na niebie, tak czarne jak w piekle.
Myślałem długo, zimno, dziś wypełnię wściekle!
Dziś wypełnię! nad wieczór już go grób pochłonie,
Grabarze na cmentarzach już dlań kopią doły.

NICK, widząc że Morton nie może wesołości utaić.

Cóż to? ty moje dzwonki znalazłeś, Mortonie,
Bo dziś byłeś dowcipny, a jesteś wesoły,
Oddaj mi dzwonki moje — bądź znowu kanclerzem.

SCENA VII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAY.

LINDSAY.

Królu! dostałem dzisiaj sokoła, król ptaków!
Norwegski, cały srebrném osłoniony pierzem,
Gdy się podniesie, tonie wśród powietrznych szlaków.

HENRYK.

Co mówisz? czy od mego sokoła piękniejszy?

LINDSAY.

Cha! cha! bez porównania, lekszy, trochę mniejszy,
Cacko dla kobiét, niegdyś Lady Hamiltonu
Nosiła go na dłoni nad Klydu rozłogi;
Pięknie mi się popisał, nie wrócił bez plonu,
Jak rycerz w krwi przepiórek pozłocił ostrogi.
Jedźmy dzisiaj na łowy.

MORTON.

Dziś król ma zajęcie.

HENRYK.

Tak, prawda, przyjacielu, dziś mam inne łowy,
Raz na jaw wyszłe trzeba kończyć przedsięwzięcie.
Słuchaj, Lindsayu! spadła mi korona z głowy,
Jestem igraszką kobiét, celem pośmiewiska,
Odmówiono mi władzy, nawet i nazwiska,
Czczego nazwiska króla! czy wierzysz, Lindsayu?

LINDSAY.

Powinieneś się zemścić srogo! — to tak właśnie,
Jakby mi kto powiedział, że nie jestem w kraju
Pierwszym w sztuce łowieckiéj.

HENRYK.

Nim słońce zagaśnie,
Lindsayu, dziś pomożesz zastawić mi sieci.
Wiesz, kto mię zdradza? Rizzio, ów podły przychodzień!

Dzisiejszy księżyc jego mogiłę oświéci.
Przyszedł tu jako tułacz, zginie jako zbrodzień.
Pomożesz mi?

LINDSAY.

Najchętniéj w twe zamiary wchodzę,
Czy wiesz? w swoich mi lasach polować zabronił,
Zemszczę się.

HENRYK.

Ja cię za to sowicie nagrodzę.
Będziesz w jego zwierzyńcu płoche sarny gonił.

SCENA VIII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAY, DUGLAS.

LINDSAY, do wchodzącego Duglasa.

Jakże się zdołał Rizzio od śmierci wyprosić?
Odgłos o waszéj zwadzie rozszedł się daleki,
Słyszałem...

DUGLAS.

Dobrześ słyszał, lecz gdy chcesz rozgłosić
Pamiętaj, że dzwon może zamilknąć na wieki,
Kiedy mu serce wydrą.

LINDSAY.

Słuchaj! złącz się z nami.
Dzisiaj jeszcze sztylety, dzisiaj zemsta świeża
Pozbawi ciebie wroga, co twój honor plami.

DUGLAS.

Któż cudzéj dłoni zemstę honoru powierza?
Ostrzegam was! ja pragnę, Rizzio niechaj żyje!
Jutro go oddam waszéj zemście — dziś nie zginie;
Dziś własną piersią sztylet od Włocha odbiję,
Ze mną walczyć będziecie, krew wasza popłynie.
Spodziewam się, że boju nie zechcesz, Mortonie?
Lindsayu! jam nie jeleń, co w borach popasa?
Henryku! pomnieć zechcesz, że w twojéj koronie
Słabszy daleko kruszec niż w mieczu Duglasa.

Na jutro złóżcie zemstę — kto pójdzie inaczéj,
Jest wrogiem moim.

Odchodzi.

SCENA IX.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAY.

LINDSAY.

Cóż to? oszalał z rozpaczy?

MORTON.

Królu! czyliż cię groźba Duglasa zachwieje?

HENRYK.

Nie — lecz na jutro wszystko odłożyć wypada.
Cieszę się nawet z tego, zamiar nasz dojrzeje,
Kwiat przed czasem rozwity, przed czasem opada.
Rycerze! niechaj żadna nie płoszy was trwoga,
Trzymamy w ręku życie nieszczęsnéj ofiary.
A ty, mały trefnisiu, śpiesz do astrologa,
Niech powie, jaki skutek odniosą zamiary.

AKT II.

SCENA I.

Teatr wystawia mieszkanie astrologa. Wśród sali stół zarzucony księgami; teleskopy w oknach obrócone na niebo.

ASTROLOG, sam.

Nicość nauki — gorzki owoc doświadczenia!
Myśleć, zgłębiać, i potém wszystkiemu nie wierzyć;
Dręczyć się, żeby okrąg swych marzeń rozszerzyć,
Czytać w gwiazdach! — sąż one księgą przeznaczenia?
Przeznaczenie!... szaleństwo walczyć z przeznaczeniem!
Ty, coś ręce zakrwawił, podnieś czoło blade!
Przeklinaj los, lecz przestań dręczyć się sumieniem,
Gwiazdy winne, że knułeś cudzą śmierć lub zdradę,
W kolebce byłeś takim jak dzisiaj zbrodniarzem,
Z pokarmu matki ssałeś dni strute zgryzotą!

Ty, co posiadłeś cnoty, umierasz nędzarzem,
Przestań się dręczyć — cnota twoja nie jest cnotą.
O! gdybyś w późnéj chwili, na śmiertelném łożu,
Uznał ten błąd — tę nicość cnoty bez zasługi.
Dręczyłeś się — i po co? po świata bezdrożu
Szedłeś samotny nędzarz... Jestże więc świat drugi?

SCENA II.

ASTROLOG, NICK.

NICK.

Jak się masz, ojcze?...

ASTROLOG.

Ojcze!... skąd to pokrewieństwo?

NICK.

Z głupstwa rosną nauki — a z nauk szaleństwo;
Jestem więc twoim synem, a te wszystkie księgi
Są mi rodzone siostry, bo z ciebie się rodzą.

ASTROLOG.

O nędzny! nie znasz nauk i badań potęgi!
Myśli twoje okręgu ziemi nie przechodzą.

NICK.

Więc mi pokaż kres dalszy — Ojcze! proszę ciebie.

Patrzy przez teleskop na niebo obrócony.

Cha! cha! cha!

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK, śmiejąc się.

Niebo!

ASTROLOG.

A na niebie?

NICK, spokojnie.

Nic!...

ASTROLOG.

Zasiane jest ono światy rozlicznymi.

NICK patrzy drugim końcem teleskopu zmniejszającym przedmioty.

Widziałem...

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK

Ziemię!

ASTROLOG.

A na ziemi?

NICK.

Nic...

ASTROLOG.

Mnie musiałeś widzieć?

NICK.

Byłeś oddalony...
Byłeś mały jak proszek, mądry astronomie.
Nie patrz na niebo, znikniesz w tych światów ogromie,
Ale patrzaj na ziemię, patrzaj z tamtéj strony,
Jak małą ci się wyda! Nauki! i sława!...
Tém lepszy jest teleskop, im bardziéj oddala.
Ale coś błazen króla na mędrca zakrawa,
A mędrzec króla...

ASTROLOG.

Błaznom rozprawiać dozwala.
Lecz z czémże tu przyszedłeś?

NICK.

Pyta mąż królowéj,
Jaki los czeka Rizzia?... Nie łam sobie głowy,
Przy mojéj się pomocy rzecz łatwo wysłowi,
Powiadam ci, że zginie — ty powiész królowi,
Że zginie...

ASTROLOG.

Precz mi z oczu! nie żądam pomocy.
Nieś to pismo królowi, w niém jest tajemnica;

Los Rizzia w jasnych gwiazdach czytałem téj nocy:
Wszystkie pobladły, srebrne zachmurzyły lica.
Precz mi z oczu.

NICK.

Lecz powiédz jeszcze, co mnie czeka

ASTROLOG.

Śmierć prędka...

NICK.

A po śmierci?

ASTROLOG.

Nie wiem...

NICK.

Do widzenia,
Równośmy mądrzy...

Odchodzi.

ASTROLOG.

Podłe jestestwo człowieka,
Kiedy głupstwem okrywa głębokie marzenia.

SCENA III.

ASTROLOG, PAŻ.

PAŻ.

Już wyszedł trefniś — dobrze. Na twoje wezwanie
Stawię się, mądry mistrzu.

ASTROLOG.

Słuchaj, paziu młody!
Czy ty kochasz królową?

PAŻ.

Skądże to pytanie?
Czy ja kocham królową? Jakież dam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jéj stopach — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiędła z jéj czoła?

Nieraz jéj twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonéj kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!

ASTROLOG.

Paziu! nim chwila przeminie,
Masz stanąć u królowéj i donieść jéj skrycie,
Że człowiek milszy dla niéj nad tron i nad życie
Zginie dzisiaj.

PAŻ.

Co mówisz? Botwel dzisiaj zginie?

ASTROLOG, z zadziwieniem.

Botwel? innego miałem w przestrodze na celu?
Paziu! ja nie myślałem wcale o Botwelu?

PAŻ, z rozpaczą.

Więc zdradziłem ją! Boże, w jakąż przepaść wpadłem,
Nie wierz mi! ona tego sobie nie wyznała,
I mnie się nie zwierzyła — z rumieńca odgadłem.
Jam zbłądził... Nie, Botwela nigdy nie kochała.
Nie wierz mi — niech cię prośba, rozpacz moja wzruszy,
Zatrzymaj wszystko w sobie, czcij honor królowéj!
Nie dziw się, całą duszą słuchałem twéj mowy,
Cóż dziwnego, że słowo wyrwało się z duszy?
O nieszczęśliwy paziu! Z serca mi wyrwałeś
Najskrytszą tajemnicę — zapomnij! zaklinam!

Daje astrologowi brylantową sprzączkę od kapelusza.

Weź tę sprzączkę — zapomnij!... Czy już zapomniałeś?
Ja nawet uraz moich prędko zapominam,
A ty byś nie zapomniał?

ASTROLOG.

Chodź tu, moje dziécię.
Czy myślisz, że nauki spodlić mogą starca?
Królowa mnie łaskami obdarza obficie,
Nie zasłużyłby na nie starzec i potwarca.
Zatrzymaj te brylanty, przebaczam, żeś dawał,
Nadtoś mię lekko sądził, za mało poznawał?

Patrz na komnatę, oto są królowéj dary,
Oto księgi bez ceny — mam złoto, pałace;
Kiedyś wdzięczność zachowam, z darów się wypłacę.
Patrz na te czarnym płynem nalane puhary,
W nich złoto rodzą mojéj sztuki tajemnice;
Takiego kruszcu z Peru Hiszpania dostaje.
Ja przed królową większe otworzę skarbnice,
Będzie w nich czerpać, będzie zakupywać kraje.

PAŻ.

Lecz któż ma zginąć?

ASTROLOG.

Rizzio! Rizzio, w jego serce
Godzą mnogie sztylety — na Rizzia pogrzebie
Jutro płakać będziecie; silni są morderce,
Wiem to z ust ludzkich, w gwiazdach czytałem na niebie.

PAŻ.

Ojcze, więc śpieszę.

Wybiega.

SCENA IV.

ASTROLOG sam, bierze jeden z puharów.

Tutaj są moje nadzieje.
Nie śmiem czar tych otworzyć — ha! kiedy otworzę,
Może mi dzisiaj w oczach złoto zajaśnieje?

Patrzy w puhar.

Nie, jeszcze nie ma — dzisiaj wcześnie, jutro może?
A więc czekać do jutra. Lecz na cóż mi złoto?
Spytaj się siebie, starcze, na co? na co sława?
Pierwszeństwo wynalazku — wytrwałość jest cnotą,
Wszak równych starań roli kosztuje uprawa?
Całe życie marzyłem, miałżebym nad grobem
Odkryć nicość marzenia? bezskuteczność sztuki?
Nie przeżyłbym odkrycia — nie — dziwnym sposobem
Wiążą się słowa pazia z pismem gwiazd nauki.
Królowa! Botwel! skądże razem dwa imiona?
Ona kocha Botwela? dziś nad jego głową
Zbiegły się razem Marsa, Saturna znamiona,
To znaczy... Otóż Botwel, zdziwi się gwiazd mową.

SCENA V.

ASTROLOG, BOTWEL.

BOTWEL, zamyślony.

Czemuż wszedłem w te progi? muszę być szalony?
Obaczyć przyszłość? zajrzeć w dno prawdy kielicha?
Przyszłości mi nie kryją nadziei zasłony,
Lecz przed śmiercią zasłona mgły tajemna, cicha;
Śmierć we mnie uśmiech budzi; zasłona odkryta
Może zgasi ten uśmiech?... I czegoż żądałem!
Tak, kto wie, co ten starzec z duszy mi wyczyta?
Może mi to odkryje, czego sam nie śmiałem
Dotąd odkryć przed sobą? przepaść mi odkryje;
Nad brzegiem się obudzę i w otchłań się rzucę.
Zgłębić przyszłość! niech tylko obecność przeżyję!
I czegoż tu przyszedłem? tak — wrócę się — wrócę.
Nie, już się stało, tak jest, stało się, zostanę.
Starcze, czytasz w przyszłości?

ASTROLOG.

Gwiazdami pisane
Zgłębiłem tajemnice.

BOTWEL.

Powiédz mi więc szczérze,
Czy wierzysz w twe wyroki?

ASTROLOG.

Wierzę, jak w śmierć wierzę.

BOTWEL.

Nigdy nie mylą?

ASTROLOG.

Nigdy.

BOTWEL.

Marność nauk świata!
Dziś rzeczywistość płonne zawiedzie rachuby.
Czy długo ja żyć będę?

ASTROLOG.

Trzy lata.

BOTWEL, ze wzgardą.

Trzy lata?
Kres nadto oddalony, błąd twój nadto gruby.
Trzy dni dla mnie za wiele — trzy lata? daremnie.
Widzisz mnie, astrologu, na wybladłéj twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda, nie patrz, co jest we mnie,
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mię zbrodnie, jest to sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony — zimny umrzeć muszę.

Pokazuje truciznę w kryształowém naczyniu.

Patrz — oto jest trucizna, a przeszkody — żadne;
Tylko stałość twych mądrych przepowiedzeń wzruszę?
Cóż, jeśli ją wypiję i u nóg twych padnę?
Od długich bolów krótkim uwolnię się bólem.
Umieram...

ASTROLOG, bierze go za rękę i prowadzi do stołu, gdzie leżą horoskopy.

Nie, żyć będziesz trzy lata, Botwelu.
Patrz, co pisały gwiazdy — będziesz królem...

BOTWEL.

Królem?
Co mówisz? będę królem! do takiego celu
Dążyć z nad brzegu grobu? miałem zasnąć w grobie.
Będę królem... Kląć ciebie? czy dziękować tobie?
Nie wiem... powiédz mi, starcze, powiédz, czy na tronie
Spokojniéj jest niż w grobie? ten wszystko pochłonie.
Może późniejsze życie gorzki owoc wyda?
I pocóż? poco ścigać tak znikomą marę?
Wypiję tę truciznę... nie, rozbiję czarę —
Ale poco rozbijać — może mi się przyda?
W taką drogę iść trzeba z obfitym zapasem...
Wszak nieraz we śnie złotą koronę widziałem?
Wygrałeś, astrologu! żyć będę!...

ASTROLOG.

Wygrałem.

BOTWEL.

Idę do celu... nie chcę umierać przed czasem.
Prowadź mnie, astrologu, w wysokie komnaty
I pokaż mi władnące moim losem światy...

Wychodzą.

SCENA VI.

Pokój królowéj, w głębi okno gotyckie.

MARYA, PAŹ.

PAŹ.

Zaraz przybędzie Rizzio.

MARYA.

Czemuż nie przybywa?
On mi jeden pozostał z przyjaciół tak wielu
I wkrótce zginie.

PAŹ.

Pani — tyś niesprawiedliwa,
Wspominając przyjaciół, wspomnij o Botwelu,
Paź nie śmié się przypomnieć, może nie ma prawa.

MARYA.

Mój luby, ty dorastasz — rozdzielisz się ze mną,
Wachlarz na miecz zamienisz, powoła cię sława.
Któż mi wtenczas rozjaśni tę pustynię ciemną?
Botwel?... lecz ja Botwela nie znam. O! mój drogi!
Ty płaczesz? paziu! paziu?

PAŹ.

Dziecinne łzy ronię,
Daruj mi — ja myślałem, że w twojéj obronie,
Na dworze pas pozyskam i złote ostrogi.
Nigdy mię nie budziła ze snu myśl rozdziału;
Teraz pierwszy raz czuję, że nastąpić może,
Już mi pół rycerskiego odjęła zapału.
Lecz, wszak Botwel rycerzem? przecież jest na dworze,
I mógłby jeszcze bliżéj, bliżéj być królowéj.

MARYA, zamyślona, jak echo.

Botwel... tak... mógłby bliżéj, bliżéj być królowéj.

PAŻ.

Był jednak blisko wczora, kiedy w dworzan kole
Towarzyszył ci, pani, na królewskie łowy;
Tajemniczy miał smutek wyryty na czole.
Potém, gdy cały orszak siadł na strojne łodzie,
Botwel stanął przy sterze, twarz jego pobladła,
Patrzał w głębinie wody, jak gdyby w téj wodzie
Widział jakie straszliwe, dręczące widziadła;
I coraz się nachylał, drżałem, nigdy w świecie
Takiéj myśli w człowieka nie widziałem twarzy;
I pojąć jéj nie mogę — dotąd mi się marzy
Jak sen jaki okropny.

MARYA.

O! niewinne dziécię!
Ja łatwo ją pojmuję... dzika myśl szaleńca.

PAŻ.

Królowo! wiatr, co sprzyjał téj wodnéj podróży,
Silniéj w żaglach zaszumiał, i z twojego wieńca
Rozkwitłe w jasnych włosach zerwał kwiecie róży.
Kwiat padł na wodne fale i z falą upłynął,
Zbudził się Botwel, zadrżał i na sługi skinął,
Łódź mu podano... usiadł samotny do łodzi
I ścigał kwiat zerwany... śledziłem go długo,
Aż zniknął we mgle.

MARYA, niecierpliwie.

Odejdź! odejdź, wierny sługo!
Lecz daj mi wachlarz, niechaj czoło mi ochłodzi...
Tak mi gorąco — odejdź! jest to czas pacierzy.

Paź odchodzi.

SCENA VII.

MARYA, sama.

Przenikliwe ma oczy ten paź — i nie wierzy,
Że miłość jest występkiem, w błędną wiedzie drogę.
Długo ją usypiałam, już uśpić nie mogę,
Będę widzieć Botwela... oddalę ze dworu.
Czyste zwierciadło skazić może lekkie tchnienie...

Co?.. ja jestem niewinna, lękam się pozoru?
Wszak zdawna mnie obarcza czarne podejrzenie,
Myślą, że kocham Rizzia... O bojaźń dziecinna!
Któż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie,
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie.
Wczoraj tak było... Dzisiaj nie jestem niewinna!
Kocham Botwela! kocham! Bóg mnie sądzić może.
Ciężko mi w téj koronie... francuska korona
Z lekszego była kruszcu... na chwilę ją złożę...

Zdejmuje koronę.

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona.
Ciężyłaś mi na czole, a twój połysk zgubny
Wielu, wielu przerażał i odstręczał wielu.
Teraz wolna... Nie — jeszcze cięży pierścień ślubny.

Zdejmuje pierścień.

O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu, Botwelu!
Przybądź! nie mam korony, i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy.
Jak mię zachwyca urok twéj posępnéj twarzy,
I ten uśmiech goryczy, ten mrok zamyślenia.
Precz ta myśl śmierci, śpiąca głęboko na czole,
Niech tę chmurę rozprószy uśmiech szczéry, tkliwy;
Długo w posępnych myśli obłąkany kole,
Będziesz jeszcze piękniejszy, gdy będziesz szczęśliwy.

SCENA VIII.

MARYA, RIZZIO.

RIZZIO.

Wezwałaś mię, królowo?

MARYA.

Bojaźnią dręczona.
Przyzwałam ciebie, Rizzio, w te skryte komnaty.
Jesteś w niebezpieczeństwie, bo rzucone kwiaty
W roli Duglasa, śmierci wydały nasiona.
Posłuchaj więc cierpliwie, mój błędny rycerzu,
Już nie możesz tu zostać. Przeciw mieczom wroga
Łatwo znaleść obronę w mieczu i w pancerzu,

Lecz grożą ci sztylety, śmierć zdradziecka, sroga.
Wierzaj mi, źle, kto wrogom ukrytym zawierza,
Musisz uniknąć ciosu, dziś rzucić te strony.
Dam ci ważne zlecenie do dworu Papieża,
Okręt gotowy... żaglów rozpięte zasłony.
Bądź zdrów!

RIZZIO.

Królowo moja! powtórz te rozkazy!
O! nie! nie! nie powtarzaj — nad brzegiem otchłani
Nie posłucham... choć ściągnę twój gniew, twe urazy,
Wszak śmierć cię nie urazi? nie zasmuci? pani!
Maryo! o! ja zostanę — przysięgam, zostanę!
Postanowienia żadna nie naruszy siła!
Śmierć sroższą mi wyrzekły twe usta różane,
Żeby choć głos był zadrżał, gdyś ją wymówiła...
Maryo! posłuchaj!...

MARYA.

Rizzio, chciéj mówić z królową,
Rozmawiałeś z kim innym.

RIZZIO.

I gdzież twa korona?
Nie widzę jéj na czole... kwiatem uwieńczona
Jesteś mi równa... śmielszą przemówiłem mową.
Daruj mi! ja myślałem!... myślałem, szalony!
Że ją umyślnie zdjęłaś dla mnie...

MARYA.

Źleś osądził.
Wszak wiesz, że ja się zwykłam modlić bez korony,
I teraz się modliłam.

RIZZIO.

Przebacz mi, jam zbłądził.
Lecz nie kładź jéj na czoło... czoło twe utrudzi,
I myśl jakąś posępną przykrywa żałobą.

MARYA.

Bez korony nie zwykłam przemawiać do ludzi.
Rozmawiam tylko z Bogiem — z Bogiem, albo —

Ciszéj, kładąc koronę.

Z sobą.

RIZZIO.

Śmiałość mi odebrała... więc dobrze... odjadę.

Staje w gotyckiém oknie i z udaną obojętnością mówi.

Dziś dzień taki pogodny... dobry do podróży,
Niebo czyste, błękitne, chmury lekkie, blade,
Pokazują mi drogę, lecz nie wróżą burzy.
Obacz, proszę, królowo, jak cicho na dworze.
Kwiaty w twoim ogrodzie odświéżone kwitną,
Tam góry Szkocyi barwą owiane błękitną,
Odległe jak marzenia; jak tam szumi morze!
Białą mgłą osłonione chwieją się okręty...

MARYA.

Rizzio! czemu tak zbladłeś?...

RIZZIO odwraca twarz od okna i zakrywa ją dłonią.

Tam żagiel rozpięty...
Patrzeć nie mogę...

MARYA.

Rizzio! tyś jak dziecko słaby!

RIZZIO.

O pani! pani! ty mi chcesz zachować życie!
A życie wszelkie dla mnie straciło powaby.
Wkrótce ten zamek w mgły się roztopi błękicie,
Będę stał na pokładzie... a morze podemną.
Ha! kto wie, gdzie zapłynę? w tłum świata się rzucę.
Zapomnienie już szatą okrywa mnie ciemną,
Coraz! coraz ciemniejszą! wszak nigdy nie wrócę?
Już mnie boleść głęboka strawiła i zmogła.
Pocóż mam wracać? poco? łzy, westchnienia tłumić?
Jedna tu była dusza, zrozumieć mnie mogła!
I ta nie zrozumiała — nie chciała zrozumieć!...
Odjadę więc samotny — niech będzie szczęśliwa!

MARYA, wzruszona.

Rizzio!

RIZZIO.

Powtórz tym głosem! powtórz moje imię!
Z dźwiękiem mowy głos duszy twojéj się wyrywa.

MARYA, zimno.

Rizzio, chciałam cię prosić, kiedy będziesz w Rzymie,
Proś odemnie Papieża, niech zamknięty w złoto
Przyśle mi chléb ze stołu Pańskiego.

RIZZIO, z oburzeniem.

Pobożna!
Gardzić, poniżać serce, zabijać jest cnotą,
Potém można się modlić? wszystko zgładzić można.
Żegnam cię...

MARYA.

Wszyscy losem jesteśmy miotani!
Bądź zdrów! Marya ci wiecznie pamięci dochowa.

RIZZIO.

Mamże odjechać?

MARYA.

Cóż to znaczy?

RIZZIO.

Przebacz, pani!
Ale twój głos był tkliwszym, smutniejszym niż słowa,
Pozwól mi dziś pozostać... jutro się oddalę.

MARYA, z ironią.

Zostań! zostań! dziś możesz pozostać bez grzechu,
Dziś bal na dworze, maski napełnią te sale,
Ja sama się ubiorę jak królowa śmiechu;
Przyjdź więc... tam nowe z nami będzie pożegnanie,
Przyjmiesz je, choć ze śmiechem, z ust śmiechu królowéj.

RIZZIO.

Pani! żegnam na wieki!

Odchodzi.

MARYA.

Raniłam go słowy,
Lęka się mego śmiechu, dłużéj nie zostanie.
Jedno słowo od pewnéj śmierci go wybawia,
Zawsze gorzkie lekarstwo, dobre skutki sprawia.

AKT III.

SCENA I.

Ogród. — Noc. — Wśród drzew i kwiatów widać pałac Holy Rood i kaplicę św. Krzyża. Okna pałacu oświécone wewnątrz. Księżyc świéci.

BOTWEL, sam.

Zatrzymał mnie ten starzec nad przepaścią zgonu,
On marzył — a jam płocho marzeniom zawierzył.
Nie żyć, albo być królem — dotąd już bym nie żył!
Czyliż się na krok jeden zbliżyłem do tronu?
Jestem, czém byłem — marnym łudzę się pozorem.
Może ja nadto prędko chcę stanąć u celu?
Ranne przepowiedzenie chcę sprawdzić wieczorem,
Dziś wcześnie — jutro będziesz na tronie, Botwelu.
Gwiazdo, z tobą związane przeznaczenie moje,
Lecz twój blask nadto słabo méj drodze przyświéca.
Może krew na téj drodze, świéć — krwi się nie boję.
Oto świętego Krzyża posępna kaplica,
I kiedyż się w niéj będą modlić za mnie? może
Wtenczas, gdy usnę w grobie, lub kiedy na tronie
W purpurę królów skryję zakrwawione dłonie,
Wtenczas modlić się będą? Oto na tym dworze
Tłum zalotników pełen nadziei, zapału,
Ja — jak nędzarz u progu... okna oświécone,
Cień się jakiś przesuwa po szybach kryształu,
Tak — to ona — królowa! poznałem koronę...
Bliżéj! bliżéj — o nieba! już mi sił nie stanie,
W oczach się snują dziwne gorączki kolory.
Gdyby mnie jaki człowiek obaczył w tym stanie,
Rzekłby z gorżką litością: Botwelu! tyś chory!
Idź do szpitala! słuchaj! ty jesteś szalony!

SCENA II.

BOTWEL, PAŻ.

PAŻ.

Szukam ciebie, Botwelu — wszystkie zwiedzam strony,
A ty w murach zamkowych, w królowéj ogrodzie?

BOTWEL.

Chciałem się tu orzeźwić przy wieczornym chłodzie!

PAŻ.

O! prawda, jak tu miło! w tym lesie topoli
Kwiaty milszą tchną wonią — i wszystko rozkwita.
Lecz najpiękniejsza róża w pałacu ukryta,
Chcesz ją widzieć?

BOTWEL.

Co mówisz! królowa zezwoli?

PAŻ.

Zezwoliła!

BOTWEL.

Widzieć ją! kiedy?

PAŻ.

Za godzinę.

BOTWEL.

Sama ci to mówiła?

PAŻ.

Spełniam jéj rozkazy.

BOTWEL.

O gwiazdo! świéć mi, gwiazdo! na morze wypłynę,
Niech łódź moję strzaskają wodokryte głazy,
Nie dbam o nic, zaczęły sprawdzać się wyroki.

PAŻ.

Panie! panie! rozpogódź ten smutek głęboki,
Strwożyć możesz królową tych nieszczęść widziadłem,
A cień twojego czoła na jéj czoło spadnie.

BOTWEL, z ironią.

Co? rozpogodzić czoło, paziu? to tak snadnie.
Idę, całą godzinę strawię przed zwierciadłem

To łatwo twarz ułożyć. Uśmiech gorzki twarzy
Nie jest owocem cierpień! igraszka dziecinna.
Twarz moja była niegdyś jak dziecka niewinna,
Będę się śmiał jak dziecko, co o świecie marzy.
O! paziu, łatwo zatrzeć na czole te rysy?
Tak jak na pergaminie zaloty pisane
Można przemazać! zetrzeć, nowe kłaść napisy.
Przemażę pismo czoła — zniknie przemazane.
Bywaj zdrów!

Odchodzi.

PAŹ.

Jak gorzkimi przeraził mię słowy;
Śpieszę teraz do Rizzia z rozkazem królowéj.

Wybiega.

SCENA III.

HENRYK, MORTON i LINDSAY. Wchodzą śpiesznie.

HENRYK.

Więc to prawda, Mortonie! Rizzio nam uchodzi?

MORTON.

Źle nam wróży ten odjazd, zbyt nastąpił nagle.
Już służba jego sprzęty przenosi do łodzi
I przeprawia na okręt pod francuskie żagle.
Trzeba śpieszyć — nie wiemy, jakie ma zamiary?
Pod lilijami Francyi bezpiecznie odpłynie.

HENRYK.

Co! miałżeby uniknąć zasłużonéj kary?
Nim się na okręt schroni, niech na brzegu zginie.

LINDSAY.

Śpieszmy więc!

HENRYK.

Czekaj! czekaj! niech dobrze rozważę.
Zanadto nas daleko zapędy uwiodły.
Czyliż sam we krwi zbiega dłoń królewską zmażę?
Na brzegu, gdzie tłum majtków, gdzie tłum ludu podły
Będzie wskazywał palcem... Jaka myśl straszliwa!
Będzie wskazywał, będzie urągał méj twarzy,

Jeżeli twarz pobledniе. Kto wie, co się zdarzy?
Rizzio opuszcza brzegi — niech sobie odpływa!
Jego trup zakopany — tu, blisko królowéj,
Więcéj mi będzie szkodził, niż sam Rizzio żywy,
Skoro się stąd oddali.

LINDSAY.

Panie! skończmy łowy!
Już prawie wpół dognany ów jeleń pierzchliwy.

HENRYK.

Nie, nie, niechaj odjeżdża.

MORTON.

Tak, niech z Bogiem płynie,
Niech po krajach rozszerza twoję sławę, panie,
Jeszcześ nie był dość znany francuskiéj krainie.
Harfiarz na dobrowolne skazany wygnanie
Da cię poznać Francuzom. Na królewskim dworze
Kadzić mu będą, prosić na królewskie sale,
Błagać o jego przyjaźń — pomocną być może.
On trzyma serce Maryi, trzyma rządu szalę,
A Henryk!

HENRYK.

Co chcesz mówić?

MORTON.

Że Henryk w tym kraju
Jest królem.

HENRYK.

Jestem królem! czy słyszysz, Lindsayu?
Co on śmie mówić?

MORTON.

Lindsay tym słowom zawierza.
Napiwszy się dowoli płochych kadzideł dymu,
Uda się może Rizzio do dworu papieża;
Ujrzysz go wkrótce w kraju — przyjedzie tu z Rzymu,
I kapelusz czerwony przywiezie na głowie;
Z twarzy bardzo podobny Rizzio do Wolseja.
Padniemy przed nim na twarz, a sam Darnlej powie,
Że już zemsty ostatnia zniknęła nadzieja.

HENRYK.

Przestań! już idę!...

Chcą wychodzić, w progu spotykają Duglasa.

SCENA IV.

HENRYK, MORTON, LINDSAY, DUGLAS.

DUGLAS.

Stójcie! już Rizzio odpłynął.

HENRYK.

Nieba! więc moja zemsta spełnić się nie może?
Jużbym się był nie wahał!... Pójdę po nad morze,
Każę okręt zatrzymać.

DUGLAS.

Już żagle rozwinął.
Jam winien! teraz na mnie mścijcie się, rycerze,
Oto piersi odkryte i miecz obnażony;
Ta krew warta krwi Rizzia. Jestem tak spodlony,
Że ludziom już nie wierzę, i sobie nie wierzę.
Sam chciałem przeciąć żywot tak podłéj osnowy,
Lecz kto wie? może marna zatrzyma mię trwoga.
Bałem się zabić Rizzia w obliczu królowéj,
Będę się bał zabijać siebie w oczach Boga.
Życie Włocha zostało na mojém sumieniu;
Myślałem, że ten harfiarz wierny przyrzeczeniu
Jutro jak rycerz bronią ze mną się rozprawi.
Ufajcie teraz ludziom? znoszę brzemię sromu,
Gdy szukam wyjść z tych nieszczęść ciężkiego ogromu,
Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział;
Któż mię przed okiem wzgardy na świecie zasłoni?
Przynajmniéj uciekając, gdyby był powiedział,
Że nie waszych sztyletów, mojéj zląkł się broni,
Możebym żyć mógł jeszcze.

SCENA V.

HENRYK, MORTON, LINDSAY, DUGLAS, PAŹ.

DUGLAS, chwyta za piersi wbiegającego Pazia.

Paziu! paź ten zginie!

Ja go zabiję... Pazia tak kocha królowa
Jak Rizzia.

Postrzegając pismo w rękach pazia, wyrywa je.

Cóż to znaczy? na tym pergaminie
Widzę jakieś skreślone niewyraźnie słowa,
Czytajcie...

PAŹ.

List — królowéj oddać mi kazano,
Nie czytajcie! nie macie prawa!

LINDSAY, biorąc z rąk Duglasa pismo.

Prawem siła.

Czyta.

„Dzięki tobie, królowo, żeś mi pozwoliła
„Wieczór z tobą przepędzić dzisiaj“ podpisano:
Rizzio.

DUGLAS.

Rizzio? Rizzio! czyś dobrze wyczytał?

LINDSAY.

W klasztorze
Czytać mię nauczono, pojąłem nauki,

HENRYK.

Więc Rizzio dziś ma wieczór przepędzić na dworze?
To pewno jaka zdrada, jakie włoskie sztuki?
Lecz nie — musiał pozostać, zmyliły nas czaty.
Lindsayu, zamknij pazia do mojéj komnaty,
Żeby nie zdradził, żeby nie mógł nam przeszkadzać.

PAŹ.

Żeby nie zdradził? od was nauczę się zdradzać.
Duglasie! wstyd ci wyrył znamiona na czole,
Daj mi miecz równéj miary, jak miecz przy twym boku,
A czarną zdradę we krwi obmyję potoku.

LINDSAY.

Paziu mój, jesteś dziecko!... O! młody sokole,
Ty jeszcze pierwsze pióra utracasz na wiosnę.
Pójdź ze mną.

PAŻ.

Pamiętajcie! ja kiedyś dorosnę.

Lindsay wyprowadza pazia.

DUGLAS.

Więc Rizzio zginąć musi!

HENRYK.

Kiedy?

DUGLAS.

Dzisiaj zginie!

HENRYK.

Gdzie?

DUGLAS.

Ty się wahasz jeszcze? gdzie? w tronowéj sali,
U nóg królowéj — niech go w szaty swe zawinie,
I tam go znajdzie jeszcze ostrze mojéj stali.

HENRYK.

Lecz w obliczu królowéj spełnić czyn tak krwawy,
To mnie od niéj na wieki! na wieki oddzieli!

DUGLAS.

Ha! więc idź i znoś brzemię wzgardy i niesławy,
Wzgarda nie ośmieliła, nic cię nie ośmieli.
Idź pełzać przed królową w udanéj pokorze,
Lecz wiédz — kobiéta kochać człowieka nie może,
Skoro śmiała nim gardzić.

HENRYK.

Gardzić? nigdy w świecie!
Dziś będę śmiałym... dzisiaj męstwa dam dowody,
Chodźmy więc po sztylety święcone w Lorecie,
Potém potajemnymi prowadzę was wschody.

Odchodzi z Duglasem.

MORTON.

Poszli — nie pójdę z nimi. Marya się nie dowie,
Że z zabójcami Rizzia i Morton był w zmowie.

Odchodzi w stronę przeciwną.

SCENA VI.

Pokój Maryi, jak w scenie VI. aktu II.

MARYA, sama, siedzi nad krosnami.

Sama jestem. Gdzież paź mój? dotąd nie powraca.
Czémże czas sobie skrócę? tak pomału płynie!
Najmilsza ta godzina, gdy mię zajmie praca,
Kiedy się kwiat na płótnie pod igłą rozwinie,
Gdy jak wiejska dziewica siądę za krosnami.
Lecz jak mało tych godzin, wiecznie! wiecznie w tłumie
Podejrzliwych, nieczułych; ich łzy nie są łzami,
Uśmiech nie jest uśmiechem, nikt mnie nie rozumie.
Gdybym tak oświécona blaskami klejnotów
Zeszła do niskiéj chaty, gdzie lud mój przebywa,
I spytała wieśniaka, czy królowa Szkotów
Jest szczęśliwa? odpowie: musi być szczęśliwa!
Byłem niegdyś w stolicy, widziałem pałace,
Widziałem oświécone okna jéj komnaty;
A ja nędzny do grobu skazany na pracę,
Mchem i zielem porasta strzecha mojéj chaty,
W pocie czoła uprawiam te skaliste góry;
Widziałem groby królów, na grobach marmury,
A prosty grób wieśniaka ciemny wrzos pokrywa:
Tak, królowa szczęśliwa — musi być szczęśliwa.

SCENA VII.

MARYA, RIZZIO.

RIZZIO.

Jakież mam składać dzięki? widzę cię, królowo!
U stóp twoich przepędzę ostatnią godzinę,
Każdą chwilę bym życia okupił połową.
Maryo! jakżem szczęśliwy! ja jutro odpłynę,
Ale to jutro, jutro, to kres zbyt daleki.
O pani! Maryo moja! tak się szczęściem łudzę,
Jak gdyby wieczór szczęścia miał trwać długie wieki.
O! kiedyż z zachwycenia, ze snu się przebudzę?

MARYA.

Serce mi ogarnęła tęsknota nieznana,
Wesołość nawet twoja smuci mię, przeraża.

RIZZIO.

Królowo! co ja powiem, niech cię nie obraża.
Zawsze bym tu pozostał do jutra, do rana,
Na jutro Duglasowi dałem przyrzeczenie,
Że się z nim widzieć będę, dotrzymałbym słowa.

MARYA.

Rizzio... to być nie może?

RIZZIO.

Zamiaru nie zmienię.
Ale to nadto smutna na dzisiaj rozmowa.
Pani! aż do szaleństwa jestem dziś wesoły,
O mojém oddaleniu myślałem z uśmiechem.
Słyszę! słyszę śpiew Tassa powtarzany echem,
Zda mi się, że już płynę na łonie gondoły
Czarnym wybitéj kirem, jak na łonie trumny;
Okna pałaców długim świécą się szeregiem,
Ścieląc po wodzie jasne światłości kolumny;
Łódź moja płynie szybko, płynie z fali biegiem;
A nademną, daleko, na błękicie ciemnym
Posępném światłem księżyc roztacza się złoty,
I w duszy czuję dzikie uczucie tęsknoty;
Dla serca trawionego ogniem niewzajemnym
Potrzeba takich cierpień, niech się karmi łzami.

MARYA.

O! Rizzio, serce twoje nie wesoło marzy,
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

RIZZIO.

Za mną wszystko zostało. Uśmiech mojéj twarzy
Jeśli kiedy rozkwitnie, prędko, prędko skona!
Można za szkłami różę rozkwiecić w jesieni,
Lecz jakże będzie smutna, blada, wysilona.
Ale poco się smucę? wszystko się odmieni!
Powrócę kiedyś! wrócę! czemużbym nie wrócił!
Czemu?... Świat jest przepaścią, kto się w przepaść rzucił,
Może nigdy nie wrócić... Nie, to niepodobna,
Ja będę kiedyś w Szkocyi, w tych samych komnatach,
Sala ta, co się smutkiem wydaje żałobna,

Zabrzmi znów wesołością, rozjaśnią się mury
Tłumem zamaskowanych dworzan w jasnych szatach.

MARYA.

O Rizzio! patrzaj! patrzaj na ten dwór ponury,
Tu niewinne zabawy lud grzechami zowie;
Szemrać będą dworzanie.

RIZZIO, z wzrastającą wesołością.

Szmer zgłuszą oklaski,
Połowa nawet dworzan może przyjść bez maski,
Gdy który spyta: „znasz mnie?“ każdy mu odpowie:
„Nie znam cię, masko“ ani zbłądzi w odpowiedzi.
Ten, kto się śmieje, zawsze płaczących zwycięża.
Młodzież francuska tłumem ten zamek odwiedzi,
Wtenczas szczęśliwy!...

Słychać szczęk broni.

MARYA.

Słyszysz! jakiś szczęk oręża?

RIZZIO.

O nie, to moja harfa wisząca na ścianie,
Tknięta powiewem wiatru, smutném jękła brzmieniem.
Harfo! przyjmuję z czuciem twoje pożegnanie,
Ty mnie jedna tak żegnasz, smutno i z westchnieniem.

MARYA, z niespokojnością.

Lecz gdzież się paź mój bawi?

RIZZIO.

Pani, rozjaśń czoło!
Niech ja zastąpię pazia. — Całe moje życie
Nie byłem tak szczęśliwy, szczęśliwy jak dziecię.

Siada na małym stołku pazia, u stóp Maryi.

Siądę przy twoich stopach... Jak mi tu wesoło!
Nie chciałbym teraz umrzeć.

MARYA.

O! co ci się marzy?
Umrzeć tak młodo, z sercem tak pełném nadziei.

RIZZIO.

Nadziei? chciałem na twéj wyczytać ją twarzy;
Czytałem wszystkie, wszystkie uczucia z kolei —
Nadziei tam nie było... Pani! nie chmurz lica,
Niech paź z twarzy królowéj gniewu nie wyczyta,
Paź dziecko, z wody chciałby dostać twarz księżyca...
Pani! piękny ci wieniec we włosach rozkwita,
Daj mi róż kilka.

MARYA.

Rizzio! na co ci te kwiaty?

RIZZIO.

We Włoszech, na ołtarzów święconym marmurze
Zawieszę ten dar drogi, nad złoto bogaty,
Pokazywać je będą, patrzcie! oto róże
Maryi Stuart Szkockiéj, anioła w koronie.

MARYA, dając mu kwiaty.

Nie odmówię twéj prośbie, lecz zamiaru bronię,
Weź te kwiaty, lecz kwiaty niegodne ołtarza.

Henryk wchodzi tajemnymi wschodami i staje za krzesłem Maryi niepostrzeżony.

RIZZIO.

Pani! jestem twym paziem — Paź ciebie zaklina,
Daj mu ten wachlarz, powiew twojego wachlarza
Ma jakąś woń czarowną, woń, co przypomina
To gór szkockich powietrze; nieraz w kraj daleki
Przyniesie zapach róży, co ciebie otacza,
Wtenczas zamknę na chwilę złudzone powieki,
Marzyć będę...

MARYA, z uśmiechem.

Królowa paziowi przebacza;
Rizzio nie śmiałby do niéj użyć takiéj mowy.
Paziu! czy mi nie zechcesz korony zdjąć z głowy?
Dobrze, żeś nie zapragnął purpurowéj szaty!
Dobrze, żeś na wachlarzu przestał.

Daje mu wachlarz.

RIZZIO.

Dzięki tobie!

SCENA VIII.

MARYA, RIZZIO, HENRYK, stojący zawsze za krzesłem Maryi, DUGLAS LINDSAY.

DUGLAS uzbrojony sztyletem, chwyta Rizzia za piersi.

Właśnie dziś rano trzymał i wachlarz i kwiaty,
Z kwiatami i z wachlarzem teraz legnie w grobie.

RIZZIO.

Królowo!...

MARYA, powstając.

Stój, Duglasie! skądże ta odwaga?
Ty w komnacie królowéj! czy gardzisz królową?
Stój! stój! Duglasie, odejdź! królowa cię błaga.
Nie!... mogę rozkazywać... precz! odpowiesz głową!
Rizzio! chodź do mnie.

DUGLAS.

Próżno wołasz go do siebie,
Duglas trzyma go w dłoni, nie uniknie zgonu.

Do Rizzia.

Módl się! za chwilę będziesz lub w piekle, lub w niebie.

MARYA.

Duglasie! precz stąd! precz stąd! splamisz stopnie tronu.
Pomyśl! próżno mnie będziesz błagał przy skonaniu,
Kat ci zerwie ostrogi i twarz splami dłonią;
W obliczu ludu zelży kat na rusztowaniu.

DUGLAS.

Próżno grozisz, królowo! wiesz, że władam bronią.
Skoro Duglas na zamku kaganiec zapali,
Zbiegną się zbrojne tłumy poddanych wasali.
Mam się lękać kobiéty? Po co wszczynać boje?
Na tym samym okręcie, na którym miał płynąć,
Odjadę w kraj Francuzów, wnet porzucam zbroję,
Mogę się w ten płaszcz jego jedwabny zawinąć,
Wezmę te strusie pióra, wezmę ten miecz złoty,
Podłego Włocha dobrze wyuczę się roli;
Wnet mię zgraja francuskich trefnisiów okoli,

Na dworze królów zdradne rozpocznę zaloty;
Będę pierwszym przy uczty zastawionym stole,
Wkradnę się w łaski możnych — harfiarzem zostanę...
Chyba mnie zdradzi kropla krwi na mojém czole,
Lub te szaty splamione, pióra połamane.
Giń, Włochu!... Nie, sztyletem nie mogę uderzyć,
Nigdy nie zabijałem sztyletem.

Odrzuca sztylet.

MARYA.

O Boże!
Duglasie! ach Duglasie! — nie, nie mogę wierzyć,
Żebyś ty go śmiał zabić.

DUGLAS.

Przekonam cię może,
Duglas, słowy zelżony, mieczem spełnia groźby.

MARYA.

Duglasie! nieszczęśliwa zniżę się do prośby...
Nigdy krwi nie widziałam!... widok mi nieznany!
Oddal — oddal odemnie te krwawe obrazy!

DUGLAS.

Chciałbym, żeby tu były zwierciadlane ściany,
Abyś śmierć jego mogła widzieć tysiąc razy!
Chciałbym, żeby jęk Rizzia echem powtarzany
Zabrzmiał, abyś go mogła słyszeć tysiąc razy!
Niechaj krew jego wsięknie głęboko w te głazy,
Niech zostawi na wieki zbrodni plamę ciemną.

Bierze od Henryka szpadę i przebija Rizzia.

RIZZIO.

Maryo! och! Maryo!... Boże, zmiłuj się nademną.
Och! och! och!...

Kona.

MARYA.

Rizzio!... Boże! zmiłuj się nademną.
Stójcie! błagam was — jeszcze jęknął, jam słyszała.
O! gdyby tu był Henryk!... Tak cicho jak w grobie,
Gdzież Henryk? Henryk! mąż mój!

HENRYK, nachylając się, cicho,

Jestem tu, przy tobie.

MARYA, odwracając się zwolna.

Był przy mnie? Henryk! mąż mój? Boże mój!

Pada na poręcz krzesła.

HENRYK.

Omdlała.

Wynieście jego zwłoki.

DUGLAS ponuro.

Przyszedłem zabijać,
Lecz nie wynosić zwłoki — wołajcie grabarzy.

Lindsay wyciąga trupa z sali i wraca.

HENRYK, do Duglasa.

Duglasie! straszna teraz bladość twojéj twarzy.
Czyliż męstwo rycerza zwykło tak przemijać?
Miałeś wdziać jego szaty?

DUGLAS.

Krwią czarną skalane?

HENRYK.

Ciebie dręczy zabójstwo?

DUGLAS, zbliżając się, patrzy Henrykowi w oczy.

Henryku! a ciebie?...
Słuchaj! i twoje ręce krwią Rizzia zmazane,
Ty zabiłeś człowieka! i wejdź teraz w siebie? ..
Czy miałeś jaki powód zemsty lub urazy?
A jesteś tak spokojny! patrz, jaka różnica,
Ja pomściłem się czarnéj na honorze skazy,
A jestem tak wzburzony! rozpogódź więc lica...
My się bardzo różnimy — idź teraz do łoża,
Będziesz miał noc spokojną — gdy się zbudzisz rano,
Życzę, aby na niebie powstająca zorza
Ujrzała twarz Darnleja jak dzisiaj rumianą.
Królowo! przebacz! przebacz! idę w kraj daleki,
Wygnaniec, zbójca podły, niosę piętno zbrodni.

Odchodzi.

LINDSAY.

Ci rycerze — imienia rycerzów niegodni.

HENRYK.

Słuchaj! Królowa wkrótce otworzy powieki,
Uciekajmy z téj sali.

LINDSAY.

Chodź! jedźmy na łowy...

HENRYK.

Lindsayu! ty znasz może uczucia królowéj?
Będzie mnie nienawidzić?

LINDSAY.

Zbądź niewczesnéj trwogi?
Chodź! chodź, królu! chodź ze mną, słyszę czyjeś kroki!

Wyprowadza gwałtem ociągającego się króla.

SCENA IX.

MARYA omdlona. BOTWEL.

BOTWEL.

Królowa — czy usnęła? sen nadto głęboki.
Skąd ta krew? po raz pierwszy wstępuję w te progi,
A już tu we krwi brodzę? Ktoś zbrodni dokonał,
Spełnił czyn tajemniczy, zbrodnię bez nazwiska...
Świateł przygasłych promień błękitnawy błyska,
Sztylety na podłodze? sztylety! — któż skonał?
Może król!..

MARYA.

Och!..

BOTWEL.

Królowa budzi się...

MARYA z pomięszaniem.

Duglasie!
Ach miéj litość!... gdzież jestem? Boże, jak tu ciemno.
Za późnom się zbudziła! tak jest! już po czasie...

Jestem przy tobie... Boże, zmiłuj się nademną!..
On był przy mnie, mąż, Henryk, był przy mnie — zabija

BOTWEL, z zadziwieniem.

Henryk zabijał?...

MARYA.

Może krew plami te szaty?
Widzę go — pod sztyletem w cierpieniach się zwijał...
Precz! precz! o łzo natrętna... Mamże płakać straty?
Mścić się potrzeba — drżyjcie! czyż krew płacić łzami
Krew za krew — drżyjcie! zemsta straszliwa nad wam
Już śmierć weszła do zamku, będą zbrodnie nowe.

BOTWEL.

Jakaż to straszna boleść przenika królowę?

MARYA.

Tyś Rizzia krwią zmazany?

BOTWEL.

O! nie, chyba własną...

MARYA.

Tyżeś to w téj godzinie? słuchaj! w jakim celu?
O! niech teraz te światła, te pochodnie zgasną!
Żeby mój wstyd ukryły... Kocham cię, Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona!

BOTWEL.

O Maryo! śmierć cię chyba wydrze z tego łona.
Czy żądasz zemsty? powiédz! zabójstwa? otrucia?

MARYA.

Nie, nic nie żądam — chodź przed ołtarz Pana,
Połączę z tobą dłonie, gdym serce złączyła.
Lecz nie, ta ręka z krwawą ręką powiązana,
On żyje jeszcze!... Boże! cóżem wymówiła!

Wyrywa się z rąk Botwela i ucieka.

SCENA X.

BOTWEL, sam.

On żyje jeszcze?... W dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie.
Myśl zemsty w niéj ukrytą jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza.
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiét łzami nie rozczula...
Chce, żebym myśl jéj odgadł? nie, ja nie rozumiem!
Aż mi powie: Botwelu! zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem.

AKT IV.

SCENA I.

Pokoje królowéj.

MARYA, BOTWEL.

MARYA.

Dziś jestem spokojniejszą, czystych modlitw władza
Usypia wszystkie troski i uśmierza bole;
Czas, cierpliwość najsroższe rany ułagadza.
Wszystko znieść można.

BOTWEL.

Wszystko?

MARYA.

Troski i niedolę...

BOTWEL.

I wzgardę?

MARYA.

Dosyć! dosyć zniosłam na kobiétę!
Jestem na tronie, ale z sercem zakrwawioném.

BOTWEL.

O Maryo! ty się nadto łudzisz blaskiem, tronem.
Ten tron, to proste deski szkarłatem przykryte;
Już zeń zdjęto szkarłaty, zasłano całuny;
Obejrzyj się, na tronie niedostaje truny.
Widziałem w kraju Franków, gdy król wielki skona,
Postać jemu podobną wnet z wosku utworzą,
Przykryją szkarłatami, na mary położą;
Dziwnie od martwéj twarzy odbija korona;
Przeraża ludzi wstrętem ta postać woskowa,
Ustrojona w klejnoty, przy trumny żałobie;
Nie obrażaj się, Maryo, lecz Szkotów królowa
Podobna do téj maski leżącéj na grobie.

MARYA.

Cóż uczynię?

BOTWEL.

Ha! módl się! przebaczaj!

MARYA.

Przebaczyć!
Komu przebaczyć?

BOTWEL.

Wszystkim.

MARYA.

Chciéj mi wytłómaczyć!

BOTWEL, się żegna.

Czego się żegnasz?

BOTWEL.

Pani! odmawiam pacierze,
Słyszę dzwon po umarłym.

MARYA.

Co? dzwon, po kim dzwony?

BOTWEL.

Po śmierci Rizzia.

MARYA.

Boleść zaledwo uśmierzę,
I modlitwą zagłuszę jęk w piersiach tłumiony,
Szatan budzi mię ze snu.

BOTWEL, patrząc przez okno.

Patrz, pani! tam zdala
Snuje się tłum pogrzebu, idą czarne cugi,
Płatna wymowa cnoty zmarłego wychwala;
A za trumną przyjaciół orszak smutny, długi,
Ale ten najwierniejszy, który w trumnie zaśnie.
Każdy, z domu wychodząc, trzymał świécę jasną,
Połowa już pogasła, inne teraz gasną,
Patrz! jedna jeszcze miga — i ta wkrótce zgaśnie;
Na chwilę mu ciemnego grobu nie oświécą,
I pamięć ich zagasa z tą gasnącą świécą.
Spij, Rizzio, wszyscy, wszyscy ciebie zapomnieli!
Czyż nie dosyć? zmówili wieczne odpocznienie.

MARYA.

Słuchaj! słuchaj! kobiéta na cóż się ośmieli?
Patrz, Botwelu! ten obraz wiszący na ścienie,
Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka,
Ściga za mną oczyma... Nie zniosę téj twarzy!
Patrz! za mną się obraca, wzrokiem mię przenika.
O! ten wzrok! nie jest dziełem ludzi i malarzy,
Na obraz szatan przeniósł myśl moję, sumienie,
I serce moje dręczy boleścią okrutną.

BOTWEL.

Cha! cha! więc ci niemiłe Darnleja spojrzenie?
Można obraz zasłonić.

MARYA.

Nie — rozedrzyj płótno!
Rozedrzyj je sztyletem — na co te obrazy?
Ja go mam w sercu.

BOTWEL.

Pani! spełnię twe rozkazy,
Czy będziesz spokojniejszą?

MARYA, niecierpliwie.

Spełnisz moje chęci?
Co wyrzekłeś?

BOTWEL.

Tak, zniszczę ten obraz Darnleja.

MARYA, z przytłumioném westchnieniem.

Obraz!

BOTWEL.

Tak chciałaś?

MARYA.

Prawda, wyszło mi z pamięci,
Chciałam zgonu obrazu. Na stronie.
Zniknęła nadzieja!
On mnie nie pojmie, ja się wyrzec nie ośmielę.

BOTWEL.

Pani! więc dziś się z tobą na wieki rozdzielę,
Przyszedłem cię pożegnać.

MARYA, z rozpaczą.

Co mówisz? mój drogi!
Dla nieszczęśliwéj cios to nazbyt! nazbyt srogi!
Nie wytrzymam!

BOTWEL.

O pani! mam zostać przy tobie?
Każesz mi zostać? jesteś królową, masz władzę.
Dziś więc grób mój przy Rizzia każę kopać grobie,
Przeciw sztyletom słaba obrona w odwadze.

MARYA.

Ty mi serce rozdzierasz — piekło teraz we mnie!
Zemścić się! zemścić! cóż mi teraz pozostaje?
Zemścij się!

BOTWEL.

Nad Duglasem mścić się! to daremnie,
Duglas z Lindsayem oba uszli w obce kraje.

MARYA.

Idź! szukaj ich! nie, zostań! zostań tu! miéj litość!
Chciéj mnie zrozumieć! błagam! czyliż duszy skrytość
Mam wyjawić słowami? choć wiem, że ta mowa
Sumienie mi obarczy, z echem nie upłynie.
Powinien zginąć!

BOTWEL.

Kto?

MARYA, długo pasując się z sobą.

On!

BOTWEL.

Kto?

MARYA.

Król!

BOTWEL.

Zginie!

MARYA.

O! ty jesteś jak echo, powtarzasz me słowa,
Ja chciałabym, ażeby bez echa skonały.
Lecz tak, już przeważyłam jednę stronę szali,
Tak, już się pierwsze węzły skrytości przerwały,
Daléj! daléj iść trzeba, idę daléj! daléj!
Nie wiem, gdzie zajdę? Słuchaj! jesteś taki blady,
Jakbyś mi chciał wyrzucać?

BOTWEL.

Królowo! ja zbladłem?
To może dawnych cierpień pozostały ślady.

MARYA.

Botwelu! niech twe czoło nie będzie zwierciadłem,
W którém czarność mych zbrodni czytam z przerażeniem.
Mamże twe świetne myśli przykryć zbrodni cieniem!
Zapomnij słów niebacznych! ja marzyłam we śnie;
Zapomnij o snach moich! nie zwierz ich nikomu!

BOTWEL.

Królowo! on dziś zginie.

MARYA, z przerażeniem.

Dziś? to nadto wcześnie!

BOTWEL.

Gdzie Henryk?

MARYA.

Niedaleko, w małym wiejskim domu.
Mówią, że chory.

BOTWEL.

Chory?... Chory umrzeć może.

Nie lękaj się, dziś Henryk pod sztyletem skona,
Oddalę podejrzenie, chorobą się złożę.
Lecz dopomóc mi trzeba. Jako wierna żona
Powinnaś go odwiedzić jeszcze dziś z wieczora,
Dasz mu w lekarstwie napój, co go uśpi w nocy.

MARYA.

O! to, czego ty żądasz, nie jest w mojéj mocy:
Ja mam go widzieć dzisiaj? widziałam go wczora,
Jutro mam widzieć trupem — widzieć dziś nie mogę!

BOTWEL.

Odwiedź go — zniszczysz wszelkie podejrzenia, trwogę,
Bez tego spać nie będzie, uchroni się zgonu.

MARYA.

Daj więc! daj mi ten napój — zejdę z mego tronu,
I przez tę noc straszliwą żaden z mych poddanych
Nie będzie równie podłym i występnym.

BOTWEL wyjmuje truciznę, którą pokazywał u astrologa.

Pani!
Oto napój wyjęty z ziół mi dobrze znanych.
Niech Henryk spełni do dna, choć może smak zgani,
Sen dla chorego w bolach wielką jest przysługą.

MARYA.

Więc Henryk gdy wypije?

BOTWEL.

Zaśnie...

MARYA.

Na jak długo?

BOTWEL.

Nie wiem...

Odwracając się.

Skoro napoju użyje królowa,
Mój sztylet niepotrzebny.

Do Maryi.

Królowo! bądź zdrowa!

Odchodzi.

MARYA, sama.

Uważałam go pilnie, przez rysy oblicza
Chciałam czytać aż w sercu, odkryć by cień zdrady.
Smutny był? twarz Botwela zawsze tajemnicza;
Blady był? wszak on zawsze posępny i blady.
Nie, to nie jest trucizna; i któż się nie wzruszy,
Powierzając kochance narzędzie otrucia?
Chybaby nie miał w sercu żadnéj iskry czucia?
Chybabym okiem duszy nie czytała w duszy?

Odchodzi.

SCENA II.

Teatr wystawia wnętrze wiejskiego domu, pomieszkanie Henryka.

HENRYK, NICK.

HENRYK.

Błąkam się jak wyklęty, słuszna kara boża,
Zbłąkana wyobraźnia blade widma roi,
Zgryzoty przy węzgłowiach stoją mego łoża.

NICK.

O! nie, przypatrz się, królu, tylko błazen stoi.

HENRYK.

Tak, błazen tylko, wszyscy już mię opuścili.
Oświécam widma bladą umysłu pochodnią,
Każdy kamień korony obciążyłem zbrodnią,
Ich ciężar głowę moję do grobu nachyli;
Przeważa mię korona.

NICK.

I ja równie błądzę.
Oto czapka w królewskich pokojach wytarta,
Dotąd na niéj zdobyte wieszałem pieniądze;
Wkrótce czapka od błazna będzie więcéj warta,
I wkrótce mnie samego ciężarem przeważy.
Nie trzeba nadto wielkich ciężarów na głowie,
Dość rozumu i głupstwa.

HENRYK.

Paziu! w twojéj mowie
Więcéj widać rozsądku, niż śmiechu na twarzy.

Ale gdy mnie widmami myśl drżąca otoczy,
Jak ich nie widzieć? ich wzrok serce mi rozkruszy.
Jak ich nie widzieć, Nicku?

NICK.

Panie! zamknij oczy...

HENRYK.

One nie przed oczyma — one w mojéj duszy!
Widzę je, tak jak ciebie; jak me własne cienie
Ścigają za mną.

NICK.

Panie! zagaś lampę w nocy,
Mnie nie ujrzysz przed sobą .. Zagaś twe sumienie,
Widm nie ujrzysz przed sobą...

HENRYK.

To nie w mojéj mocy!
Szalony jesteś! zgasić sumienie jak świécę?

Wpatrując się w głąb pokoju.

Patrz! tam stoi, w posępnéj ubrany żałobie,
Jak gdyby chciał wyjawić śmierci tajemnicę?
Milczący, krwawy, blady, woła mnie ku sobie ..
Wszak mu sztylety ciało rozdarły na ćwierci?
A on wstał z grobu świeży, jak z kołyski dziécię.

NICK.

O panie! Rizzio błaznów lubił całe życie,
Może więc przyszedł tutaj szukać ich po śmierci?
Dziwię się, że nie ze mną, lecz z tobą rozmawia,
Musisz być do mnie, królu, podobnym w téj chwili.

HENRYK, nie słuchając słów Nicka.

Precz! precz, Rizzio! twój widok serce mi zakrwawia.
Wszystko bym oddał, byle życie ci wrócili!
Nie obwiniaj mnie, odejdź, niech spokojny zasnę;
Ty może chcesz snu mego? spać nie możesz w grobie;
Więc i tam spać nie można?... Życie oddam tobie,
Lecz wróć mi sen! nie wracaj! życie oddam własne.
Twoje lica tak blade i ten wzrok rozwarty!

Śmieje się dziko z obłąkaniem.

Cha! cha! cha! to mi zmysły do reszty pomiesza.

NICK.

Ten cień lepiéj cię, królu, odemnie rozśmiesza,
Więc go przyjmij za błazna — nigdy moje żarty
Z ust twoich nie wyrwały tak szczérego śmiechu.

HENRYK.

Czego chcesz, Rizzio? krwawe wskazujesz mi szaty?
Może ciebie zabiłem skalanego w grzechu?
Powiédz mi? jestem królem! ja jestem bogaty!
Dam na mszę! powiédz tylko, ile mszy potrzeba?
Zakupię msze na tydzień, miesiąc, rok, wiek cały;
Choćbyś był zbójcą, modły przebłagają nieba,
Głos księży słyszeć będziesz w grobie już spróchniały.
Ha! jeszcze słychać harfę!

NICK.

Uspokój się, panie!
To przywidzenie strachu... Królowa tu zmierza...

HENRYK.

Królowa!... Jakież będzie nasze powitanie?
Zabije wzgardą, wzgarda jak sztylet uderza.

SCENA III.

MARYA, HENRYK, NICK.

MARYA.

Henryku! ja sądziłam, że cię tu zastanę
Wśród zgrai twoich dworzan! tyś samotny, blady,
Powiédz, czyś ty nie chory? oczy obłąkane,
Na twarzy widać jeszcze bezsenności ślady.

HENRYK, z rozpaczą.

O Maryo!

MARYA, przerywając.

Uspokój się! tyś chory, mój luby!
Połóż się, zaśnij, widać bezsenność ci szkodzi.

HENRYK.

O Maryo! jestem winien! winien Rizzia zguby!

MARYA, z udaną obojętnością.

Ja nie wiedziałam o tém, cóż mię to obchodzi?

HENRYK.

Ty mi przebaczasz? powiédz!

MARYA.

I cóż mam przebaczyć?

HENRYK.

Śmierć jego.

MARYA.

Czyję?

HENRYK, z przymuszeniem.

Rizzia...

MARYA.

Jużem zapomniała.

HENRYK.

Chciałem się uniewinnić, czyn mój wytłómaczyć,
Lecz ten Włoch nie wart, abyś o nim pamiętała.

NICK, do Henryka.

Włoch nie wart, abyś o nim pamiętał, Henryku.
Powtórzę ci te słowa, twoje słowa własne,
Gdy nie będziesz mógł zasnąć.

HENRYK, do Nicka.

Precz! precz, nędzny Nicku!

Do Maryi.

Przebaczyłaś mi, teraz już spokojny zasnę.

MARYA.

Trzeba sen sztuką zwabić, gdy od łoża stroni,
Przyniosłam senny napój, poznasz jego siłę.
Sen cię po nim skrzydłami lekkimi osłoni,
Zaśniesz jak małe dziecko, będziesz miał sny miłe.
Wmięszam go do lekarstwa.

HENRYK, do Maryi, która wlewa napój w czarę stojącą przy łożu.

Dzięki ci, królowo!

NICK.

Zadrżała, przed mém okiem nic się nie ukryje.

Do Maryi cicho.

Pani, podziel się z królem napoju połową,
Bo kto wie, gdy król twoje lekarstwa wypije,
Może ci się podobny napój w nocy przyda.

MARYA, spojrzała na Nicka i odwróciła się ze wzgardą.

O jakże trudna rola; lecz tak, kończyć trzeba!
Każde spojrzenie zdradzi, każde słowo wyda,
A myśl mnie już wydała przed obliczem nieba.
Oby się prędzéj! prędzéj! wyrwać z téj komnaty.

HENRYK.

O Maryo! czemu nosisz te żałobne szaty?

MARYA.

Tyś chory, chciałam przez to mój smutek wyrazić.

NICK, na stronie.

Więc na to szat potrzeba.

HENRYK, z czułością do Maryi.

Ja cierpię tak mało,
Zwiększono wielkość cierpień, chciano cię przerazić...
Teraz z mojéj słabości nic już nie zostało,
Skoroś mi przebaczyła.

MARYA.

Bądź zdrów!

HENRYK.

Jeszcze wcześnie!
Gdzie idziesz? zostań chwilę, jeszcze jedno słowo!
Wyznam ci szczérze, nieraz dręczę się boleśnie,
Nieraz cię obraziłem, przebacz mi, królowo!

Klęka przed nią.

Przebiegnij wszystkie chwile, któreśmy przeżyli,

Jeśli nas jaka w życiu czarna chwila dzieli?
Błagam cię! utrać pamięć téj nieszczęsnéj chwili.

MARYA, odwracając się z drżeniem.

Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnéj pościeli.
Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia;
Gdy jemu nie przebaczę, czy mi Bóg przebaczy?
Wstań, Henryku! o przebacz! przebacz mi wzajemnie.

HENRYK.

Ty błagasz przebaczenia? błagasz go odemnie?
Powiédz mi, jakie w tobie mam odpuścić winy?
Ja ci nawzajem serce do głębi otworzę.

MARYA.

Bądź zdrów — prędko mi z tobą ubiegły godziny.

HENRYK, z czułością.

Kiedyż się zobaczymy?

MARYA, drżącym głosem.

Nie wiem — jutro może?

HENRYK.

Ty mnie tak zimno żegnasz? czyliż świeże śluby
Przebaczenia, miłości, znikły między nami?

MARYA, całuje go w czoło.

Bądź zdrów!...

HENRYK, z przerażeniem.

Tak mnie zimnymi dotknęłaś ustami,
Dreszcz mię przebiegł.

MARYA, z gorzkim uśmiechem.

Ty jesteś w gorączce, mój luby.
Odchodzi.

SCENA IV.

HENRYK, NICK.

HENRYK.

O Maryo! mój aniele! Boże, dzięki tobie!
Nawróciłeś jéj serce, kocha mnie tak szczerze.

NICK.

Ty wierzysz temu, królu?

HENRYK.

Tak jest, wierzę! wierzę!
Rizzio jeden nas dzielił — Rizzio teraz w grobie.
Wszystko się odmieniło, już jestem szczęśliwy.
Czy widziałeś jéj uśmiech? uśmiech szczéry, tkliwy;
Z pogodném czołem przy niéj zasiądę na tronie.
Ciesz się! ciesz się, Duglasie! zyskam przebaczenie,
Ja ciebie moim płaszczem królewskim osłonię.
Ciesz się, mój wierny Nicku! zgasiłem sumienie,
Już nie o bladych widmach, lecz o szczęściu marzę;
Ciebie, Nicku, darami sowicie obdarzę,
Czapkę złotem napełnię, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Spraw mi żałobę.

HENRYK.

Po kim masz chodzić w żałobie?

NICK.

Spełń ten puhar, w nim znajdziesz lekarstwo królowéj,
A wtenczas błazen wdzieje żałobę po tobie.

HENRYK.

Precz! precz! jesteś podobny do piekielnéj jędzy!
Podły i podejrzliwy, kąsasz, trujesz jadem.
Precz! idź się błąkać, żebrać i umierać w nędzy!
Lecz nie, śmierć twoja będzie dla innych przykładem;
Obieraj rodzaj śmierci.

NICK.

Trudno mi obierać,
Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać,
Od wieków z nieprzerwanéj wypływa osnowy.
Chciałbym skonać pod mieczem, ale kat zawoła:
Nicku! gdzie twoja głowa? wszak ty nie masz głowy.
Cha! cha! nieprawdaż, królu, że to myśl wesoła
Nie mieć głowy. Więc węzeł założyć na szyję?
Lecz ja jestem tak lekki, sam wiatr mię utrzyma;
Nie, ja wisieć nie mogę, dla mnie śmierci nie ma,

Chyba — to śmierć najleksza, ten puhar wypiję.
Żądasz więc mojéj śmierci?

HENRYK.

Precz, straszna poczwaro!
Nędzny! takąż to wdzięczność niesiesz panu w darze?
Sumienie niech ci będzie zasłużoną karą.
Wyganiam cię ze dworu.

NICK.

Ja sam się ukarzę.

Wypija prędko puhar nalany przez królową.

HENRYK.

Co czynisz?

NICK.

Nic, wypiłem królowéj napoje;
Zasnę jak małe dziecko, będę miał sny miłe.

HENRYK.

Zadrżałem mimowolnie, lecz czegóż się boję?
On tylko zaśnie.

NICK.

Zasnę, gdy znajdę mogiłę!
I téj może odmówią.

Blednie, siada przy królu i głowę na dłoniach opiera.

Przed daleką drogą
Powrócę jeszcze myślą w rodziców mieszkanie.
Widzę tam, w końcu sioła, tę chatę ubogą,
Zczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie;
A przy obrazie lampa, pies wrót chaty strzeże,
Nad chatą dąb spróchniałe podnosi konary.
O Boże! widzę, widzę — tam mój ojciec stary
Na progu pług naprawia i mówi pacierze.
Oto matka ze łzami usiadła do przędzy,
Śpiewa pieśń, jak przy mojéj kołysce śpiewała.
O! któżby! któżby sądził, że pod dachem nędzy
Urodzi się istota, co się będzie śmiała.

HENRYK.

Pierwszy raz wpadasz, Nicku, w tak czarną tęsknotę;
Ty byłeś tak wesoły.

NICK.

Tak, byłem tułaczem.
Któżby przyjął do domu płaczącą sierotę:
Panowie mogą smutek głosić jękiem, płaczem,
Nędzarz śmiać się potrafi — potrzebuje chleba.

HENRYK.

Powiédz! co ci jest, Nicku! ten napój! o Boże?
Może jaki raturek?

NICK.

Już mi nic nie trzeba.
Słuchaj, królu! z dzieciństwa chowany na dworze,
Służyłem za igraszkę — śmieli się dworzanie,
A ja widziałem wzgardę w ich śmiechu... Na Boga!
I ja też miałem serce! tak jak pies u proga,
Jak twój pies się do ciebie przywiązałem, panie.
Wiedząc, jako śmiech rzadko królom towarzyszy,
Chciałem, ażeby zawsze towarzyszył tobie;
Teraz król już mojego głosu nie usłyszy,
Chyba się będzie jeszcze śmiał na moim grobie,
I dzwonki mu przypomną dzwony na pogrzebie.

HENRYK.

On umiera! Królowo, okropna to zdrada!
Nicku! Nicku! i cóż mam uczynić dla ciebie?
Oczy twoje ściemniały i twarz śmiercią blada.

NICK.

Królu! zawieś na czapce kilka sztuk pieniędzy,
Odeślij ją rodzicom. Złotem się pocieszą,
Może pocieszą, może poratują w nędzy;
A czapkę w niskiéj chacie na ścianie zawieszą,
I będzie im niekiedy przypominać syna;
Niech matka, przędąc pod nią, tę pieśń przypomina,
Którą niegdyś w kołysce śpiewała nademną.
O Boże! jak mi słabo — jak mi w oczach ciemno.

HENRYK.

Nicku! ty mnie rozczulasz! patrz, łzy moje płyną.

NICK.

Królu! nigdy nie byłem łez twoich przyczyną,
Czemuż wesołość moja z życiem obumiera?

HENRYK.

O nie śmiéj się! ten uśmiech smutny, wymuszony,
Do głębi mię przenika, serce mi rozdziera.
Umierasz za mnie, wierny, wzgardą nagrodzony.

NICK, wesoło.

Nagródź mi. Wybierz cztérech najuczeńszych ludzi,
Niech niosą trumnę błazna, niechaj głupstwo noszą;
A gdy się każdy dobrze ciężarem utrudzi.
Tylko ciężarem głupstwa — po kraju ogłoszą,
Że Nick umarły więcéj waży niż Nick żywy.
Tyś się uśmiechnął, panie! o jakżem szczęśliwy!
Chciałem cię jeszcze widzieć z uśmiechem na twarzy.
Przebacz mi, panie, wszystko, zamykam powieki,
Już cię widzieć nie będę — tak mi się coś marzy,
Tak słabo...

HENRYK.

Nicku!

NICK.

Żegnam! żegnam cię na wieki!

HENRYK.

Przyjacielu mój! synu!

NICK, podnosząc głowę, z obłąkaniem.

Synu! któż mię woła?
Czy to mój ojciec? — Próżno! tak ciemno dokoła,
Już was widzieć nie mogę — muszę was porzucić!
Och! zostawcie mi miejsce, przyjdę tam do chaty,
Odpocznę — ja myślałem zawsze do was wrócić.
O matko! matko moja! daj mi inne szaty,
Matko! jak mi źle było na świecie. Och!

Pada u nóg króla i kona.

HENRYK.

Skonał!...
To przyjaciel ostatni! żono tkliwa, czuła,
Patrz! to twój senny napój téj zbrodni dokonał,
Tyś go otruła... myślisz, żeś męża otruła?
Nie, Henryk żyje, tylko został sam na ziemi,

Sam został — wszystko jedno, jakby zasnął w grobie.
Gdyś mnie pocałowała, piekło było w tobie,
Dla tego całowałaś ustami zimnymi...

Bierze lampę i oświéca nią twarz Nicka.

Zobaczę go raz jeszcze... Jak twarz jego zbladła!
Zsiniałe usta — twarde usłał sobie łoże.
O nieba! iskra z lampy na twarz mu upadła,
Szalony! ja ją gaszę — on jéj czuć nie może,
Nic już nie czuje... Skończył. Tu rozpacz daremna!
Trzeba się gdzie uchronić przed zdradą kobiéty.
Ujść przed nią — gdzież uchodzić? w około noc ciemna;
Może tu koło domu ukryte sztylety?
Czegoż się nie do dopuszczą? na co nie odważą?
Nie ma większéj poczwary na ziemskiém przestworzu.

Po chwili.

Zostanę tu! obaczę z jaką jutro twarzą
Przyjdzie szukać zmarłego męża na tém łożu.
A twarz jéj uda bladość — może ubielona?
Może jęk jéj usłyszę za drzwiami komnaty,
Pewna jest mojéj śmierci, wprzód nim się przekona,
Czy ja umarłem! będzie płakać mojéj straty.
Wtenczas ją jedném! jedném spojrzeniem zabiję.

Stawia lampę u głów Nicka.

Więc Bóg czuwa nademną i od śmierci strzeże.
Postawię przy nim lampę, całunem nakryję,
Będę nad zmarłym w nocy odmawiał pacierze.
Tak samotny przy zmarłym i w noc taką ciemną,
Sam jeden... Boże! Boże! zmiłuj się nademną.

AKT V.

Teatr wystawia salę gotycką. W głębi wielki hebanowy krucyfix, przed nim zawieszona lampa srebrna. Noc. Przez okna wpada blask księżyca.

SCENA I.

MARYA, PAŹ.

MARYA.

Paziu! wszak już wybiła godzina północy?

Pogaś wszystkie pochodnie, zasłoń okna sali,
Nikt wiedzieć nie powinien, że ja czuwam w nocy.

PAŻ, gasi pochodnie i pokazuje na lampę przed krucyfixem.

Czy i tę lampę zgasić?

MARYA.

Lampa niech się pali.
Jéj blask mię przed obcymi zdradzić nie powinien,
Chyba przed Bogiem zdradzi, ale boskie oko
I w cieniach nocy widzi winnego.

PAŻ.

Któż winien?

MARYA.

Czy król wypił lekarstwo? zasnąłże głęboko?
W Botwelu powolnego znalazłam mściciela;
Gdzież się on dotąd bawi?

PAŻ.

Widziałem Botwela;
Błąkał się w zacienionéj drzewami ustroni,
Koło wiejskiego domu, gdzie Henryk przebywa.

MARYA.

Widziałeś! miałże sztylet?

PAŻ.

Żadnéj nie miał broni
Ale twarz jego była blada i straszliwa.

MARYA.

Jakże nagle czas płynie! jak straszna odmiana;
Teraźniejszość zatruła! przyszłość zatruć może!
Niedawno w kraju Franków, na królewskim dworze,
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana;
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.
A dziś.

PAŻ, przynosząc zwierciadło.

Dzisiaj, królowo, spojrzyj w to zwierciadło,
Czy mogłaś być piękniejszą?

MARYA.

O! tyś mię obraził,
Pokazując w zwierciedle moję twarz wybladłą.

PAŻ.

To może blask kryształu oczy twoje raził?
Lecz tu ciemność głęboka, jedna lampa płonie...
Czy ci przykre to światło? ja lampę zasłonię...
Pani! ty mię przerażasz! coraz bardziéj blada;
Czémże ten czarny smutek serca rozweselę?
Lubisz powieści? oto ciekawa ballada,
Dotąd krąży śpiewana między szkockim gminem.
Pozwól, królowo! milczysz? a więc się ośmielę...
Posłuchaj! stara matka tak rozmawia z synem:

Królowa siedzi zamyślona, paź dziecinnym głosem mówi następującą balladę.

Synu mój! synu! czemu od rana
Jesteś tak smutny? twarz obłąkana,
Miecz krwawą splamiony skazą?
O matko! syn twój zabił sokoła,
Dla tego dzisiaj twarz niewesoła,
Dla tego we krwi żelazo.

Synu mój! synu! po twym sokole
Nie miałbyś takich zgryzot na czole
I miecz nie taki czerwony?
O matko! matko! zabiłem konia!
On mię tak szybko nosił przez błonia,
Z wiatrami biegał w przegony.

Synu mój! synu! źleś się obronił,
Możebyś po twym koniu łzy ronił,
Bladości inna przyczyna?
O matko! matko! ojca zabiłem!
Bladością zgryzot czoło splamiłem,
I we krwi ojca — miecz syna.

Synu mój! synu! po takim czynie
Gdzież się obrócisz? w jakiéj krainie
Schronisz się, synu mój miły?

O matko! matko! na świata kraniec
Pójdę wzgardzony, tułacz, wygnaniec,
Spokojnéj szukać mogiły.

Synu mój! synu! idź w obce strony!
Lecz cóż zostawisz dla dzieci, żony,
Pod obce uchodząc nieba?
O matko! matko! niech na nich spada
W dziedzictwie nędza, pod próg sąsiada
Niech idą, niech żebrzą chleba.

Synu mój! synu! w czarnéj żałobie
Została matka, i cóż po sobie
Zostawi matce zabójca?
O matko moja! o matko miła!
Przekleństwo tobie! tyś mnie namówiła,
Żem zabił ojca.

MARYA obudzona nagle z zamyślenia.

Przekleństwo? co? przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — coś wyrzekł? ojca! męża! króla!
Paziu, czyś do mnie mówił? twoich przekleństw siła
Zabija mnie!...

PAŻ.

Ballada smutna, mnie rozczula
A ciebie przeraziła?... Dziś cierpi królowa.

MARYA.

Paziu mój! kto ci w usta włożył takie słowa?
Ty mnie przeklinasz! kto cię nauczył przeklinać?
Jam dotąd przed tym paziem czarny zamiar kryła,
Nie śmiałam go przerazić, nie śmiałam wspominać.
Przekleństwo! tak, przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — to Botwel mówi do mnie, Boże!
To Botwel mówi!

PAŻ.

Pojąć nie mogę przyczyny,
Czém ją mogłem obrazić?

MARYA.

On pojąć nie może?
A właśnie mię przeklinał, wyrzucał mi winy.
Dziecko, jeszcze tak młode, a tak się ukrywa.

PAŹ.

Królowo, oto Botwel w te progi przybywa.

SCENA II.

MARYA, PAŹ, BOTWEL.

MARYA, wpatrując się w Botwela.

Botwelu!... Cóż to? milczysz?

BOTWEL.

Czas wszystko odkryje,
Czas złym jest powiernikiem...

MARYA.

Botwelu!... On — żyje?...

BOTWEL.

Żyje? nie wiem, królowo — dotąd już mógł skonać...

MARYA.

Co? więc zaczętéj zbrodni nie mogłeś dokonać?

BOTWEL.

Nie widziałem dziś króla...

MARYA.

Więc żyć będzie?...

BOTWEL.

Zginie...
Może już zginął?...

MARYA.

Jakto? ty go nie widziałeś?...

BOTWEL.

Aleś ty go widziała...

MARYA.

Czyż wzrokiem jedynie
Mogłam go zabić?...

BOTWEL.

Możeś chciała?

MARYA.

Nie, ty chciałeś!
Lecz ja zabić nie mogłam wzrokiem... O Botwelu!
Jeżeliś na mnie liczył, uchybiłeś celu,
Tak, jedynie obłudy zmazałam się grzechem...
Ja się do niego śmiałam...

BOTWEL, szyderczo.

Zabiłaś uśmiechem,
Dosyć, żeś go zabiła... Nie badaj, królowo,
Teraz potrzeba zgładzić naszéj zbrodni ślady;
Król głęboko zasypia — lecz pod jego głową
Siarka z saletrą zdradne usłały posady.
Daj mi pochodnię.

MARYA.

Luby! dziś miesiąc na niebie,
Na co ci światło?

BOTWEL.

Umarł... pogrzebać go trzeba...
W gruzach własnego domu Henryka pogrzebię...

MARYA.

Lecz on żyje!...

BOTWEL.

Więc żywy uleci do nieba...
Pod jego domem mina burząca spoczywa
I czeka iskry... Ognia! ognia!

MARYA.

Nieszczęśliwa!
Cóż uczynię?...

BOTWEL, z wzrastającą gwałtownością.

Daj ognia!...

MARYA.

Ciebie gruz przywali!...

BOTWEL.

Ognia!...

MARYA.

Zgasły pochodnie...

BOTWEL, pokazując lampę.

Tam lampa się pali,
Posłuży mi...

MARYA.

Tam moja domowa kaplica...

BOTWEL.

Paziu! daj mi tę lampę...

MARYA.

To lampa z ołtarza!

BOTWEL.

Nieraz kościelna lampa pogrzebom przyświéca,
Wszakże idę na cmentarz, grzebać wśród cmentarza...

MARYA.

Czyliż nigdy ucieczki nie szukałeś w Panu?
Patrz! przy świetle téj lampy błyszczy krzyż ze spiżu
I Chrystus hebanowy — on cierpi na krzyżu!
Zdaje mi się, że zbladło to czoło z hebanu!
On widzi nasze myśli, słyszy każde słowo..
Boże!...

Klęka przed ołtarzem.

BOTWEL.

O śmierć Henryka modlisz się, królowo?
Wysłuchane modlitwy... Może w téj godzinie
Henryk kona...

MARYA, zrywając się z przed ołtarza.

Co mówisz? Henryk teraz kona?
A ja się modlę?

BOTWEL, zdejmując lampę.

Śpieszę, niech ślad zbrodni zginie.

MARYA.

O Botwelu! Botwelu! to lampa święcona...

BOTWEL.

Wróci! wróci przed ołtarz, choć ją we krwi zmażem.

MARYA.

Lampa przed ołtarz wróci we krwi?

BOTWEL.

Marna trwoga!
Jeśli po zbrodni staniesz przed obliczem Boga,
Lampa po zbrodni może świécić przed ołtarzem:
Lampa, to tylko marne rąk naszych narzędzie,
I mniéj Boga przerazi, bo mniéj winną będzie.

MARYA.

O Boże! cóż uczynię w udręczeniu srogiém?

BOTWEL.

Czytaj książkę modlitwy.

MARYA.

Tak ciemno w téj sali!...

BOTWEL, z szyderstwem.

Więc udawaj, że czytasz, udawaj przed Bogiem!
Jeśli Bóg nie pochwali, człowiek cię pochwali.
Niejeden powie: patrzcie! ma świętość anioła!
Ta kobiéta przed śmiercią już świętą zostanie,
Promień światłości wkrótce wystrzeli z jéj czoła;
Patrzcie! ona się modli za męża skonanie...
O Maryo! porzuć trwogę i płoche przesądy,
Jeżeli Bóg ma sądzić? już zapadły sądy;
Bądź spokojną! ta lampa zdjęta z przed ołtarzy
Przeważonéj już szali daléj nie przeważy.
Żegnam cię!...

MARYA.

Stój, Botwelu!

BOTWEL.

Bądź zdrowa!

MARYA.

Zaklinam!
Stój — już Darnleja wszelkich uraz zapominam.

BOTWEL.

Lecz wahać się nie możesz.

Odchodzi.

SCENA III.

MARYA, PAŻ.

MARYA.

Poszedł... Nie wstrzymałam...
Czuję, że mogłam wstrzymać... Czarne moje serce!
Mogłam go jedném słowem wstrzymać — i nie chciałam.
Niech teraz dla nas ślubne rozścielą kobierce...
O! nie! nie dla mnie szczęście. Paziu, powiédz szczerze,
Ja okropną być muszę?...

PAŻ.

Pani! jesteś blada.

MARYA.

Klęknij tam, przed ołtarzem, mów za mnie pacierze...

Paź odchodzi przed ołtarz, lecz niespokojny patrzy na królową.

Na moje oczy jakiś sen trudzący spada,
Marzę i czuwam... barwę przybrały marzenia...
Tron i świateł tysiące... ja siedzę na tronie...
Teraz wszystko ciemnieje... w purpurze, w koronie
Idę — o Boże! Boże! to mury więzienia..
Któż mnie wtrącił w te mury, żywą zamknął w grobie.

W około jeszcze wiernych przyjaciół drużyna,
Dla czegoż płaczą? czemu ubrani w żałobie?
I ksiądz nademną czarne grzechy przypomina,
Jakież grzechy?... dzisiejszą noc... dzisiejsze zbrodnie!...
Teraz... wszyscy odeszli, kapłan się oddala,
Wchodzę do jakiéjś sali? to tronowa sala.
Posępnym blaskiem płoną tysiączne pochodnie,
Na moim tronie obca zasiadła kobiéta...
Boże! sala tronowa, a kirem wybita?
Zamiast kwiatów, ubrana w żałobne cyprysy...
Klękać mi każą — poco?... modlić się do Boga?
Ach!!!

PAŹ, przybliżając się.

Pani! w tych marzeniach widzę główne rysy
Przepowiedzeń dziwacznych twego astrologa.

MARYA.

Lecz czemuż w téj godzinie stają mi na myśli?
Umysł je przybrał w jasne obrazu kolory,
Postaci ich odbija, wszystkie twarze kréśli.

PAŹ.

Pani moja! masz umysł obłąkany, chory.

MARYA.

Czy nic nie słyszysz, paziu?

PAŹ.

W koło głuche cisze,
Tylko echo pałacu słowom odpowiada.
Tylko wiatr gałęziami modrzewiów kołysze,
I przez gotyckie okna blady księżyc pada.

MARYA.

Co? księżyc świéci? jaka blada przy księżycu
Musi być twarz Botwela? Na ponurém licu

Głęboki zamysł zbrodni uśpiony spoczywa;
Za nim księżyc na trawie długie kładnie cienie;
Błąka się — w dłoniach lampy ognisko ukrywa,
Aby jéj nie zgasiło silne wiatru tchnienie...
O! tak, bogdajby zgasła! wróci z twarzą ciemną,
Lecz przynajmniéj nie ujrzę zbrodni na téj twarzy.
Nie, nie, lampa nie zgaśnie, sam wiatr ją rozżarzy.
Henryk zginie!... O Boże! zmiłuj się nademną!

Po chwili, z wzrastającém przerażeniem.

To Rizzia! Rizzia słowa! Czyż ta noc wróciła?...
Patrzcie — on się w te szaty królewskie otula...
Nigdy krwi nie widziałam!... szat mi nie splamiła...
Stój, Duglasie! Patrz, paziu! patrz tam za mnie, w cieniu,
Czy tam kto stoi za mną?...

PAŹ.

Kto?

MARYA.

Nie ma tam króla?...

PAŹ.

To mara utworzona w twojém przywidzeniu...

MARYA.

Słyszysz, powtarza: — jestem! jestem tu przy tobie!
Jest przy mnie? tu w téj sali, jeszcze w takiéj porze?
Lękam się spojrzeć za mnie... powinien spać w grobie
A on jest teraz przy mnie! Nie, to być nie może!
Lecz jeszcze czas! O paziu! on żyje! król żyje!
Śpiesz! zatrzymaj Botwela, śpiesz, mój paziu drogi!
O paziu! ty zadrżałeś? z radości? czy z trwogi?
Śpiesz! śpiesz! ja nieszczęśliwa! on króla zabije...
Na miłość Boga! Śpiesz się...

PAŹ.

Botwel nie posłucha.

MARYA.

Prawda... Nieś mu odemnie, nieś ten pierścień złoty...
Wszak jeszcze czas! czas jeszcze. Wszędy cichość głucha.
Nie, król umrzeć nie może, nie zniosę zgryzoty.

PAŻ.

Śpieszę...

Biegnie do drzwi, lecz nagle chwieje się i drży u progu.

MARYA.

O Boże! Boże! Śpiesz, mój paziu miły!
Czegoż czekasz?...

PAŻ.

Królowo moja! nie mam siły,
Tak mi słabo...

MARYA.

Śpiesz, paziu!...

PAŻ.

Już idę, królowo!
Już idę! idę!.. Och! Och!...

Pada.

MARYA.

Paziu! drogie dziecię!
Paziu! przemów, mój drogi! przemów jedno słowo!
I miałżeby on umrzeć, umrzeć w wieku kwiecie?
Nie... on umrzeć nie może.

PAŻ, słabym głosem.

Te bole przeminą...
Senny jestem... Królowo, kochasz mnie?

MARYA.

Jak syna!
Paziu! obudź się, drogi! weź tę kroplę wina,
Może ciebie orzeźwi?

PAŻ, drżącym głosem.

Już piłem dziś wino...
Maryo moja! och! och! och!...

Kona.

MARYA.

Paziu! moje życie!
Paziu mój! wołam, budzę, a on się nie budzi?
Boże! za moje zbrodnie skarałeś to dziécię!
Powiew zbrodni koło mnie już zabija ludzi,
A mnie zabić nie może, jak niegodną kary.

Klęka na stopniach przed krucyfixem.

Boże! błagam cię! przyjmij mnie na twoje łono,
Przywykłam spokojności szukać na dnie wiary.
Na cóżeś moje czoło uwieńczył koroną?
Na cóż mię szata ziemskiéj wielkości okryła?
Blask marzenia już zniknął, gdym tę noc przeżyła!

Słychać wybuch miny.

Ach!!!

Po chwili zrywa się i biegnie do okna.

Widzę! widzę! kłęby dymu i płomieni,
A tam, w czarnych obłokach, jakiś duch straszliwy
Ulatuje do nieba, chmurzy się i mieni;
To Henryk! Henryk! ja go poznałam — nieżywy!...

Odwraca się od okna i znów cofa się z przestrachem.

I tu znów Henryk! Henryk przedemną w téj sali!
Widziałam go przed chwilą, był blady i chory,
A teraz takie jasne na licu kolory,
Jakby żył jeszcze — oko płomieniem się pali...
Precz! precz odemnie! szukasz ślubnego pierścienia?
Oto go masz! już odejdź — nie jestem twą żoną.
Ach Henryku! Henryku! nie masz ty sumienia!
Dręczyć tak duszę tylu mękami dręczoną!..
Ach zlituj się nademną — jestem nieszczęśliwa!
Chcesz może widzieć moje udręczenia, nędzę,
Patrz na twarz moję — z oczu strumień łez nie spływa;
Lecz ja cierpię, przysięgam! nie wierzysz przysiędze?
Wszak jeszcześ słowom moim ufał przed godziną.

SCENA IV.

MARYA, BOTWEL.

BOTWEL, wchodzi ze zgaszoną lampą.

O Maryo! uchodź! uchodź!

MARYA.

Patrz! patrz!... tam przedemną.

BOTWEL.

Tak, widzę, na podłodze krwi strumienie płyną...
Krew Rizzia.

MARYA.

Nie, nie widzę krwi, w sali tak ciemno,
Ale w ciemnościach widzę postać martwą, bladą.
Zdradę króla czarniejszą zmazaliśmy zdradą,
Musiałam mu przebaczyć, on mi nie przebaczy!
Patrz tam!

BOTWEL.

To paź nieżywy.

MARYA.

Boże! paź nieżywy!...
Botwelu, co to znaczy?...

BOTWEL, z dzikim śmiechem.

Cha! cha! co to znaczy?
Wiedział o naszéj zbrodni... umarł...

MARYA.

Nieszczęśliwy!
O! Botwelu! Botwelu! nie jesteś aniołem!
Inny stworzyłam obraz niegdyś w mojém sercu,
Precz! precz odemnie, zbójco z tém wybladłém czołem!

BOTWEL.

Chodź ze mną!

MARYA.

Gdzie?

BOTWEL.

Odpoczniesz na ślubnym kobiercu...
Teraz idźmy się błąkać... słyszysz te okrzyki?
To lud nas ściga mściwy... wkrótce motłoch dziki,
Uzbrojony, napełni królewskie pokoje.
O Maryo! uchodź! uchodź!

MARYA, odstępując od niego z przerażeniem.

Ja się ciebie boję!

BOTWEL.

Serca zbrodnią skalane zbrodni się nie boją,
Słuchaj! otrułaś króla, jesteś moją!

MARYA.

Twoją?...
O! nie, Botwelu! ty mię skłonisz do szaleństwa.

BOTWEL.

Straszne okrzyki ludu w tę noc zbrodni ciemną.

MARYA.

Cóż w tych okrzykach słyszysz? co słyszysz?

BOTWEL.

Przekleństwa.
Chodź, Maryo! uciekajmy! chodź zemną! chodź zemną!

1830.

MAZEPA.

TRAGEDYA

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

KRÓL JAN KAZIMIERZ.
MAZEPA, dworzanin króla.
WOJEWODA.
AMELIA, żona Wojewody.
ZBIGNIEW, syn Wojewody z pierwszego małżeństwa.
CHMARA, CHRZĄSTKA } dworzanie Wojewody.
KASZTELANOWA.

Pokojowi królewscy, szlachta, ludzie Wojewody, ksiądz, itd.

Scena w zamku Wojewody.

Z księgozbioru
No.....
Seminarjum Państw.
dla naucz. rel. mojż.
w Warszawie

AKT I.

SCENA I.

Sala oświécona jak na bal.

WOJEWODA, ZBIGNIEW, potém KASZTELANOWA.

WOJEWODA.

A przy moździerzach trzymać zapalone lonty.
Waść mi, panie Zbigniewie, synu, zajrzyj w kąty,
Czy wszystko jak potrzeba na królewskie gody?

Do wchodzącéj kasztelanowéj.

Mościa kasztelanowo, mam wielkie powody
Cieszyć się, że cię widzę w zdrowiu i w świeżości.

KASZTELANOWA.

Jakże mi pięknie zamek wygląda waszmości,
Co lamp! co pozłotowin! — A gdzie aści żona?

WOJEWODA.

Dotychczas nie gotowa i nie przystrojona —
A to mój syn zastąpi ją tu przy asindźce.
Pójdę tymczasem z wieży zajrzeć na gościńce,
Czy się już król nie toczy po drodze lipowéj.
Zbigniewie, atentuj się waść kasztelanowéj
I baw jaśnie wielmożną.

KASZTELANOWA, do Zbigniewa.

Waść przyjeżdżasz z Padwy?

ZBIGNIEW.

Nie, mościa dobrodziéjko, już z wojska.

KASZTELANOWA.

Doprawdy?

Waść w wojsku?

ZBIGNIEW.

Tak, rotmistrzem zostałem pancernym.

KASZTELANOWA.

Strzeż mi się waść, bo zaraz zostaniesz niewiernym,
Płochym uwodzicielem, jak wszyscy rotmistrze.

ZBIGNIEW.

Broń Boże!

KASZTELANOWA.

Masz oczęta, co się błyszczą bystrze,
Ale coś trochę mgliste i afekcyonalne.
I cóż to jest waćpanu... ot, w pancerz cię palnę
Wachlarzykiem i wszystko serduszko wyśpiewa.
Mówże mi co o Włoszech asińdziéj.

Słychać zgiełk za sceną.

WOJEWODA.

Cholewa!

Panie Cholewa, co tam za wrzask? Panie Chmara!
Mości Chrząstko! czy wszystkich dyabli wzięli? — Wiara!
Szablice dzwonią, trzeba iść pacyfikować.

Wychodzi.

SCENA II.

ZBIGNIEW, KASZTELANOWA, PAN CHRZĄSTKA wchodząc innymi drzwiami.

CHRZĄSTKA.

Gdzie Wojewoda?

KASZTELANOWA.

Chciéj nas waść zainformować,
Co to za krzyk?

CHRZĄSTKA.

Zdarzenie, mościa dobrodziéjko,
Bardzo smutne.

KASZTELANOWA.

A powiédz że?

CHRZĄSTKA.

Bryka za bryką
Wjechała na dziedziniec, mościa dobrodziéjko.
Z tych bryk wysiadło szlachty, panów co niemiara.
Jednych prowadził pan marszałek ziemski Szczara,
Lubomirszczyk zajadły, rokoszanin, śmiałek;
Drugim pan Olgopolski przywodził marszałek,
Babińcowym nazwany, bo trzyma z królową.
Zeszli się, mościa pani, przed bramą zamkową
Owi dwaj marszałkowie, a każdy jak patron
Caudy swéj przyjacielskiéj, *amicus* i matron.

KASZTELANOWA.

Proszę waćpana, nie leź w łacinę jak w błoto.

CHRZĄSTKA.

Obu więc tym marszałkom przeciwnym szło o to,
Który z nich krok najpierwszy ma mieć do przedsienia;
Lecz jako oba grzeczni, więc bez ubliżenia
Jeden drugiemu, oba, mając czapki w rękach,
Nuż się kłaniać, we dwoje giąć się, jak na mękach;
Próżno obu łysiny mroził księżyc chłodny,
Jeden krzyczał: niegodny — i drugi: niegodny!
I byłyby na wieki trwały te respekta,
Gdyby jeden z baczących na te kontrefekta
Jezuickiéj grzeczności nie był krzyknął z brzucha:
A weźże, panie Szczara, krok i nakryj ucha.
Co słysząc Olgopolski, jak piorun z obłoku
W bramę — co widząc, równie *accelerans* kroku
I pan Szczara uczynił. — Waćpani się spytasz,
Co się stało? Jak razem wstąpili w korytarz,
Tak i razem ugrzęźli, brzuch z brzuchem, nos z nosem;
Próżno ich szlachta częstym szturchańcem i głosem
Podżega i na dalsze zaprasza pokoje —
Nie mogą — więc myśl wzięto *seccare* na dwoje
Zaciętych *inimicos*, więc błysnęły szable.
Jako więc w ciasnym porcie dwa wielkie korable,
Które *fortunam* niosą przed burzliwym gromem...

WOJEWODA za sceną.

Rozbić mur, niechaj wejdą Ichmoście wyłomem.
Panie Chmara! rozwalić mur.

KASZTELANOWA.

O! krotochwila.

Chrząstka wychodzi.

SCENA III.

ZBIGNIEW, KASZTELANOWA, wchodzi AMELIA.

KASZTELANOWA.

Cóż to jest za dziéweczka? Ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma; na głowie bez żadnego fiocha.

ZBIGNIEW.

To, mościa dobrodziéjko, jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Ta młodziutka? To jeszcze dziecko!

Do Amelii.

A proszę cię,
Bądźże mi przyjaciółką, moje piękne dziécię.
Uważaj mię jak swoję. — Cóż? jaka ty ładna!
A to, panie Zbigniewie, cud! z sąsiadek żadna
Nie wyrówna. Nie płoń się, staréj wolno mówić.
Trzeba ci było muszek wiosennych nałowić,
Oberwać im skrzydełka i upstrzyć twarzyczkę.
Nadto białą we włosach zatknęłaś różyczkę,
Nadto białą. To jeszcze dziéciątko niewinne.
Panie Zbigniewie, czy masz respekta powinne
Dla takiéj młodéj matki? jakże wy z nią razem?
To dziwnie, waszeć mi się zdajesz zimnym głazem,
Atentujże się wasze téj młodziutkiéj matce.

Do Amelii.

Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce:
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca.
Cóż — czy cię nudzi staréj gawęda bez końca?
Powiem ci coś miłego: tu z królem przybywa
Pan Mazepa.

AMELIA.

Któż to jest?

KASZTELANOWA.

Jakto, nieszczęśliwa!
Ty nigdy nie słyszałaś o panu Mazepie?

AMELIA.

Nie, mościa dobrodziéjko.

KASZTELANOWA.

Ja ciebie oślepię,
Jak ci zacznę o złotym mówić sowizdrzale,
A może twoje czyste serduszko rozpalę
Ogniem nieugaszonym. — Obaczysz go sama.
Serce jego otwarte jak przejezdna brama,
Jedna wjeżdża, a druga wyjeżdża za wrota.
Spojrzenia jego nakształt kowalskiego młota,
Ciągle w biédne serduszka uderzają, tłuką
Na miazgę. Niech to będzie asiądźce nauką.

Walą z dział.

AMELIA.

O Boże, król!

KASZTELANOWA.

Nim wejdzie, mamy czasu dużo,
Tam na ganku pan Pasek z powagą papużą
I z wielkim stał papierem — ba! to mówca śliczny,
Przygotował dla króla wiersz makaroniczny.
O czém że ja mówiła, mościa dobrodziéjko?
Ha, — otóż paź Mazepa — jeszcze mu czuć mléko
Pod nosem, a już o nim tyle rzeczy plotą.

SCENA IV.

CIŻ SAMI. Mazepa włazi oknem nie widziany przez aktorów.

KASZTELANOWA.

Wystaw ty sobie, co to za sowizdrzał! co to
Za urwis ten Mazepa.

MAZEPA na stronie.

Ba, tu o mnie mowa.

KASZTELANOWA.

Wystaw sobie, co to jest za przewrotna głowa!
Co to za wróg niewieści! Węża wziął za godło.
Paź kochanek włosami kazał wypchać siodło.

MAZEPA, kłaniając się kasztelanowéj, nagle.

Fałsz, mościa dobrodziéjko, proszę nie dać wiary.

KASZTELANOWA.

Jakże tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Z księżycem przez szpary.
Lecz w czas przychodzę bronić własnego honoru.

KASZTELANOWA.

Lecz jak tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Jak motylek dworu
Przez okno, mościa pani.

KASZTELANOWA.

Ba, kłamcy masz minę;
Okno wysokie.

MAZEPA.

Z włosów mam różnych drabinę.

KASZTELANOWA.

Z włosów kochanek?

MAZEPA.

Tak jest?

KASZTELANOWA.

Lecz czemuż przez szyby
Nie przez drzwi?

MAZEPA.

Bo we drzwiach jest pan Pasek, niby
Cerber z trzema głowami — krew się w żyłach ścina,
Co jedna skończy mówić, to druga zaczyna.
Myśląc, że to się nigdy nie skończy — uciekłem.

KASZTELANOWA.

Już ja widzę, że waćpan ten dom zrobisz piekłem,
Że tu waćpan przez okno wniesiesz niepokoje.

MAZEPA.

Skądże tak zła opinia?

KASZTELANOWA.

Ja bardzo się boję
Waszéj niestateczności. — Niech nas Bóg ochrania.
Waszeć nigdy nie możesz być bez zakochania;
Lecz tutaj wartoby się rozkochać ze skruchą.
Jak się zakochasz, to mi powiesz w kim na ucho,
Ja stara cię nie zdradzę.

MAZEPA z ręką na sercu.

Paź aśćkę przekona.

SCENA V.

CIŻ SAMI, KRÓL, WOJEWODA i wiele szlachty.

WOJEWODA.

Oto jest, najjaśniejszy panie, moja żona,
Która ci się pokornie do kolan uniży.
A to — kasztelanowa Robroncka ze Spiży.
A to mój syn jedynak, twéj potencyi sługa.

KRÓL.

Cóż to? paź tu?

MAZEPA.

Oracya była bardzo długa,
Nie chciałem się rozczulić, wnet mi oczy mokną,
Wszedłem przez okno...

KRÓL.

Strzeż się wylecieć przez okno.

MAZEPA.

W szczęśliwsze pozwól, królu, ufać horoskopy.

KRÓL do Wojewodziny.

Pani, racz mi dać rękę. — Te ogniste stropy
Prawdziwie empirejskim zdają się obłokiem,
A ty, wojewodzino...

Kończy do ucha komplement.

WOJEWODA.

Za królewskim krokiem,
Mości panowie, proszę — proszę — bardzo proszę.

Wychodzą wszyscy, oprócz Mazepy, na dalsze pokoje.

SCENA VI.

MAZEPA sam.

O! dziwny świat! ten młody rotmistrz, przy macosze
Tak cudownéj, a zimny jak lód się wydaje,
Gdy ja, ledwom ją ujrzał, już mi serce taje...
Już chciałbym albo żyć z nią, albo umrzéć dla niéj.
Mościa kasztelanowo, o! zgadłaś waćpani,
Że tu przyjdzie w miłości zapisać się wiecznik.
Zacznę jak słońce, może skończę jak słonecznik,
Ona mi będzie serce obracać oczyma.

Wojewoda wchodzi.

WOJEWODA.

Cóż to — czy mój stół żadnych względów nie otrzyma,
Proszę, wielmożny panie, nie pogardzaj strawą.

Mazepa kłania się i odchodzi.

SCENA VII.

WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Panie Chmara, w ogrodzie czy od lamp jaskrawo?

CHMARA.

Już się palą.

WOJEWODA.

Wyłamać zaraz tę przegrodę.
Niech król zobaczy dobrze w zamku Wojewodę.
Niechaj mu będzie jasno — cóż — wyjąć tę ścianę.

Ludzie wyjmują ścianę w głębi teatru, pokazuje się ogród iluminowany.

To pięknie? Czy tam wszystkie rozkazy wydane?
Czy włość pije, mospanie, czy upiekli wołu?

CHMARA.

Wszystko, panie.

Wchodzi p. Pasek.

PAN PASEK.

Jegomość król wstaje od stołu,
Już kazał sobie podać z nalewką miednicę.

WOJEWODA.

Panie Pasek, każ urżnąć polskiego muzyce.

Rozchodzą się w różne strony, wojewoda idzie do króla.

SCENA VIII.

Muzyka gra poloneza. — Król wchodzi w pierwszéj parze, prowadząc Wojewodzinę. — Za nim paź Mazepa z kasztelanową, potém opodal Zbigniew z jakąś panią. — Wojewoda na końcu.

KRÓL do Amelii.

Pani Wojewodzino, to królewskie gody.
Jeśli wola, pójdziemy kołem przez ogrody?

AMELIA.

Sługa waszéj królewskiéj mości.

KRÓL.

Proszę w ślady.

Polonez wychodzi do ogrodu.

KASZTELANOWA, przechodząc, do Mazepy.

A waćpan się już kochasz?

MAZEPA.

Już.

PIERWSZA Z PAŃ do Zbigniewa.

Jak waszmość blady.

ZBIGNIEW.

Mościa pani, zapewne takim byłem wczora.

Wychodzą. Polonez wraca z ogrodu. Król puszcza rękę Wojewodziny, wszystkie pary rozłączają się.

KRÓL.

Wielmożne panie, proszę iść same, gąsiora.
A teraz nowym wszystkich wyborem zaszczycić.

Kasztelanowa bierze rękę Króla — inne panie wybierają tancerzy — Amelia zostaje na przodzie sceny, a paź z boku — polonez cały wychodzi — i bal przenosi się do sal dalszych.

SCENA IX.

AMELIA, MAZEPA.

MAZEPA na stronie.

Udało mi się żadnéj ręki nie uchwycić
I zostać z nią sam na sam... Piękności cudowna!
Owiała mię przy tobie trwoga niewymowna,
Jak w miejscu świętém.

AMELIA do siebie.

Tak mi coś na sercu smutno!

MAZEPA na stronie.

Niespokojnością jestem dręczony okrutną.
Jak tu zacząć?

Do Amelii.

Czy wolno panią prosić w tany?

AMELIA.

Niech pan wybaczy.

MAZEPA.

Więc nie?

AMELIA.

Nie.

MAZEPA.

Głosek twój szklany
Wyuczył się harmonii od leśnych słowików;
Oczy twoje z błękitów całe i z promyków

Od gwiazd się nauczyły być tak błękitnymi,
I tak zawsze, tak prosto zlatywać ku ziemi.
Pozwól mi głos usłyszeć i zobaczyć oczy,
Bo pomyślę, żeś gniewna. Ty drżysz? Nikt nie wkroczy,
Wszyscy za królem ciągną po zamku. My sami.
O! to kraj dziwny! tu są niebianek ustami
Róże zamknięte, nie chcą otworzyć się całe...
Widzę na ustach uśmiech... Muszę oczy śmiałe
Odwrócić, bo mię twoich brwi mignienie zgubi.

AMELIA.

Nie wiem, czy waszmość wiejską prostotę polubi,
Ale muszę mu wyznać, że ta jego mowa
Wcale mi się nie zdaje...

MAZEPA.

Bywaj pani zdrowa,
Jeślim obraził...

AMELIA.

O! nie.

MAZEPA.

Idę — i w łeb strzelę.

AMELIA.

Tak żartować!

MAZEPA.

Bynajmniéj — jak sobie podchmielę,
Gotów jestem na wszystko, idę pić z rozpaczy.

AMELIA.

A potém?

MAZEPA.

Potém pani z okna mnie zobaczy
Strzelającego sobie w łeb.

AMELIA.

Pan stroi żarty.

MAZEPA.

Cóż mam robić na świecie? co? — czy grać drużbarty,
Albo z królem odmawiać litanije smętne?
Ot — nie mam już w nic wiary, serce moje mętne —

Ciebie bym jeszcze, pani, wziął za spowiednika,
Boś podobna do świętéj — ty słuchasz słowika,
A ja mam więcéj, pani, z tobą do mówienia.
A ty mnie słuchać nie chcesz.

Do siebie.

Już się zarumienia,
Dobry znak.

Głośno.

O! niebieska, bądź świętą osobą!
Tylko mi się ty pozwól spowiadać przed sobą;
Ja mam wiele na sercu ciążącéj spowiedzi.
Pod oknem twém pewnie jaki ptaszek siedzi
I przez całą noc śpiewa piosnkę nieudolną;
Czyliż mi dziś słowika zastąpić nie wolno?
Czy to gniew twój obudzi?

AMELIA.

O, Boże! o, Boże!

MAZEPA.

Jam się rozpytał dobrze o wszystko we dworze.
Wiem, że twój balkon brzozą płaczącą okryty,
Lilijami ubrany.

AMELIA.

Pan nie jesteś skryty,
Gdy się do roli szpiega przyznajesz tak snadnie.

MAZEPA.

Tak, jestem bez honoru.

AMELIA.

Pan tu w przepaść wpadnie
Ja mam obrońcę, ja tu będę obroniona.

MAZEPA.

Lecz pani będziesz tego żałować, kto skona.

AMELIA.

Próżne słowa, tak błaho nikt życia nie traci
I bez żadnéj nadziei.

MAZEPA.

W twéj drżącéj postaci
Wiele dla mnie nadziei.

AMELIA.

Żadnéj nie ma — żadnéj.

Odchodzi.

SCENA X.

MAZEPA, potém KASZTELANOWA.

MAZEPA.

Już się jak rybka wędki uchwyciła zdradnéj,
Przysięgnę, że się z okna dziś do mnie wychyli.
Resztę uczyni dyabeł.

Wchodzi Kasztelanowa.

KASZTELANOWA.

A gdzież to wy byli,
Mój panie dworzaninie? z kim się to gwarzyło?

MAZEPA.

Z nikim, wielmożna pani.

KASZTELANOWA.

Serduszko się wpiło
Jak kleszcz! Ja ci coś powiem — jestem tu na oku.
Widziałam, jak was Zbigniew wypatrywał z boku;
Strupiałbyś, panie paziu, gdybyś go zobaczył,
Bo tak wyglądał jak trup. — Żeby waszmość raczył
Podać mi do powozu rękę.

MAZEPA.

Już cię tracę,
Mościa kasztelanowo?

Daje rękę i wyprowadza kasztelanową.

SCENA XI.

ZBIGNIEW i WOJEWODA, który przez cały ciąg sceny wyprowadza gości z czapką w ręku i kłania się nisko.

ZBIGNIEW.

Serce mi kołace,
Jakbym miał omdleć. — Tutaj stała nieruchoma —
On gadał do niéj, trwoga w niéj była widoma.
O czém on do niéj mówił? jakimi wyrazy?
Ona się odwróciła, widziałem, dwa razy,
Jakby z niespokojności — trzebaż mi się było
Pokazać? — Ten dom będzie paziowi mogiłą.

WOJEWODA.

Gasić światła! Król się pan ma ku spoczynkowi.

Wychodzi.

ZBIGNIEW.

I niktże mi tu z duchów litosnych nie powie,
O czém oni gadali. Nie, ja spać nie będę;
Pójdę, aż się tych myśli dręczących pozbędę,
Ukołysany nocną cichością w ogrodzie.
Jeśli usłyszy — ona mię pozna po chodzie
I przypomni, że jestem na świecie. O! męka.

Wychodzi.

SCENA XII.

Inny pokój w zamku.

KRÓL, WOJEWODA z pochodnią, MAZEPA, POKOJOWI KRÓLEWSCY.

KRÓL.

A niechże waszmość przecie przedemną nie klęka.

WOJEWODA.

Król się pozwoli rozzuć.

KRÓL, podnosząc go z ziemi.

Waść zanadto czyni,
Prosimy cię, zostaw nas nocnéj monarchini

Dyanie, co w te szyby zamierzchłe zagląda,
Sam się ku spoczynkowi miéj; Morfeusz żąda
Ofiary po ofierze Bachusa.

Wojewoda kłania się i odchodzi.

Bóg z wami.

Pokojowce królewscy odchodzą.

SCENA XIII.

KRÓL, MAZEPA.

KRÓL.

Podaj mi brewiarz. Niebo iskrzy się gwiazdami.
Ave Maria gratias plena. — Mazo!

MAZEPA.

Panie!

KRÓL.

Czy wiesz acan, gdzie tutaj śpią moi dworzanie?

MAZEPA.

Na lewo.

KRÓL.

A pan zamku?

MAZEPA.

Nie wiem.

KRÓL.

Toś kiep.

MAZEPA.

Zgoda.

KRÓL.

Ave Maria. — Nie wiesz, gdzie śpi wojewoda?

MAZEPA.

Nie wiem.

KRÓL.

Toś wielki dureń.

MAZEPA.

Już drugi raz słyszę.

KRÓL.

A ty gdzie śpisz?

MAZEPA.

Ja nie śpię.

KRÓL.

A cóż robisz?

MAZEPA.

Piszę

Dzieje twe, miłościwy panie.

KRÓL.

Sowizdrzale,

Historyografie.

MAZEPA, na stronie.

Bogdajś pękł ex-kardynale.

KRÓL.

Co waść mruczysz?

MAZEPA.

Nic, wiersze.

KRÓL.

Ba, ja się założę,

Że ty masz jaką schadzkę po nocy.

MAZEPA.

Być może.

KRÓL.

Ja wiem pewnie. Waść gadał już z wojewodziną.

MAZEPA.

Chwaliłem przed nią waszę królewską mość.

KRÓL.

Ino

Mów prawdę. Waść ją będziesz widział dzisiaj jeszcze?

MAZEPA.

Jak tylko serce moje gdziekolwiek umieszczę,
To mi król miłościwy wnet zajrzysz.

KRÓL.

Nie zajrzę
Bynajmniéj.

MAZEPA.

Wnet przeszkadzasz mi, królu...

KRÓL.

A dajże
Mi święty pokój, głupcze! tak mi trąbisz w uszy,
Że aż uciekam...

Bierze na siebie płaszcz Mazepy zostawiony na krześle, i kapelusz Mazepy kładzie na głowę.

MAZEPA.

Królu! to mój płaszcz.

KRÓL.

Bez duszy!
Chcesz, żebym dostał febry, bez płaszcza, po rosie.

MAZEPA.

Król miłościwy wszakże masz swój.

KRÓL.

Co? młokosie,
Chcesz, żeby mnie po nocy, w królewskiéj odzieży,
Poznało zaraz całe wojsko nietoperzy
I oddawało winne królewskie honory?
Cóż, Mazo, waść nie jesteś na gorączkę chory;
Jeśli mnie płaszcz zarazi czém, to głupstwem chyba.
Czekaj tu waść.

Wychodzi do ogrodu.

SCENA XIV.

MAZEPA, sam.

Niech dyabli wezmą tego grzyba!
Jemu to w pazia płaszczu po księżycu chodzić,
I pod oknami marznąć — i niewiasty zwodzić!

Ortodoxus! przeklęty Ortodoxus! ckliwy!
Wszak jeszcze wczora włos mu wyrywałem siwy;
Poczekaj! drugi raz mię nie złapiesz tak snadnie.
Dalibóg, że mu w moim płaszczu bardzo ładnie,
Gotowa jeszcze okno otworzyć.

SCENA XV.

KRÓL wraca ze szpadą dobytą, ranny w rękę, MAZEPA.

KRÓL.

Nędzniku!

MAZEPA.

Królu!

KRÓL.

Zdrajco bezczelny.

MAZEPA.

Skądże tyle krzyku?

KRÓL.

Waść mię posłał na zgubę.

MAZEPA.

Ja?

KRÓL.

Zbójcę nasadził.

MAZEPA.

Przysięgam, miłościwy panie...

KRÓL.

Waść mię zdradził...

MAZEPA.

Co widzę? Najjaśniejszy pan masz krew na dłoni!

KRÓL.

Wytłómacz się, urwisie! Niech się waszeć broni,
Będziesz waść ukarany. — Ledwom dał dwa kroki,

Jakiś olbrzym wypada, jak sosna wysoki,
Z szablą dobytą — i wnet, nuż rąbać na ślepo;
Krzycząc, podły Mazepo! tchórzu ty Mazepo!
Nie będziesz ty mi więcéj po księżycu łaził.

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

On mię nie obraził,
On waści lżył — a mnie co do tego, mospanie?

MAZEPA.

Lecz on ranił królewską dłoń — i znak zostanie.

KRÓL.

Bogdajeś pękł! — to wszystko ja cierpię za waści.

MAZEPA.

On widział, że król, jego uchodząc napaści,
Zostałeś ranny?

KRÓL.

Widział... krew ciekła z oszczepa,
A mój ludojad krzyczał: jaki tchórz Mazepa,
Ranny już, a z pod szabli jak łajdak uchodzi.

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

A cóż to mi szkodzi,
Że ktoś waści nazywa tchórzem?

MAZEPA.

W żaden sposób...

KRÓL.

Injurye takie zawsze należą do osób,
Do których wymierzone są i do nazwiska.

MAZEPA.

Lecz jutro, miłościwy panie, krew odzyska
Swoje prawa.

KRÓL.

Co? jakie krew odzyska prawa?

MAZEPA.

Jutro nazwisko tchórza weźmie ręka krwawa.

KRÓL.

Co ty mówisz?

MAZEPA.

Racz o tém pomyśleć raz drugi.

KRÓL.

Idź waść i obudź moje pokojowe sługi.
Pakować się — ja jutro wyjeżdżam przed słońcem.
Przeklęta noc!

MAZEPA.

Przeklęta noc!

KRÓL.

I koniec końcem
Wyjedziemy.

MAZEPA.

I koniec końcem, wyjedziemy.

KRÓL.

Ten zabójca rozpapla...

MAZEPA.

Nie musi być niemy.

KRÓL.

Przeklęta noc!

MAZEPA.

Injurye należą do osób...

KRÓL.

Co ty mruczysz?

MAZEPA.

Ot! panie, wynalazłem sposób,
Aby tu zostać jutro.

KRÓL.

Ba! to rzecz ciekawa?

MAZEPA

Jutro nazwisko tchórza weźmie ręka krwawa.

KRÓL.

No, i cóż? jakże waszeć mój honor obroni?

MAZEPA, bierze szpadę króla i sam siebie w dłoń rani.

Oto mi, królu, patrzaj, krew trysnęła z dłoni.

KRÓL, ściskając go.

Dziecko moje kochane.

MAZEPA.

Cóż jest w téj zadzierce!
Jabym się może, królu, dla niéj ranił w serce.

AKT II.

SCENA I.

Galerya z arkadami otworzonymi na ogród.

KRÓL, WOJEWODA.

KRÓL.

Mój mości wojewodo! to rzecz nie do wiary,
Paź napadnięty.

WOJEWODA.

Niech mię położą na mary,
Jeśli ja co rozumiem, Najjaśniejszy Panie,
W téj gmatwaninie.

KRÓL.

Niech to już tak i zostanie.
A waszeć, wojewodo, nie wdawaj się w śledztwo.

WOJEWODA.

Co? Miłościwy panie, moje tu ślachectwo
Na szwank jest wystawione, assasynium w domu.

KRÓL.

No, przecież się nie stało wielkie zło nikomu,
Paź tylko przywileju wietrznika nadużył
I oberwał, mospanie, to, na co zasłużył;
Dobrze mu tak, niech ładném się oczkiem nie wabi.
No — cóż tak, wojewodo, dumasz?

WOJEWODA.

Wabik babi,
Ten paź, może się strasznie oparzyć. Mopanek
Niechaj się strzeże, niech tu nie szuka kochanek.
Mój dom nie jest...

KRÓL.

I cóż tak drzesz pas złotolity?

WOJEWODA.

Więc pazik szukał tutaj po nocy kobiéty?

KRÓL.

Wojewodo, ja nie wiem.

WOJEWODA.

Miłościwy panie,
Pozwól mi — pójdę — ranne zastawić śniadanie.

KRÓL.

Dajem wam wszelką wolność.

Wojewoda odchodzi.

SCENA II.

KRÓL sam.

Ten starzec zazdrosny,
Jakże taki charakter w starych ludziach sprosny!
Jaki śmieszny! Rwał wąsa i rozdzierał pasa,
A wszystko więził w sobie, i krwi tylko krasa
Wyszła mu na policzki starością zwiędniałe.
Wstrząsał się, jakby dźwigał na ramionach skałę;

Widziałem, jak mu błysła źrenica czerwona,
Gdy wyrzekłszy, kobiéta, w myśli dodał: żona.
Oj wojewodo, tak mi wyglądałeś wasze,
Jak Radziejowski, gdy jadł ze Szwedami kaszę.
Cóż to? wojewodzina?

SCENA III.

KRÓL, AMELIA.

AMELIA.

Panie miłościwy!
Przyszłam ze skargą.

KRÓL.

Jakżem dumny i szczęśliwy.

AMELIA.

Królu, widzisz mię jeszcze drżącą z przelęknienia,
Wielką zniosłam obelgę — twarz mi opłomienia,
Mówić nie mogę. Niech król w lice mi nie patrzy.

KRÓL.

Któżby chciał na tych licach kwiat oglądać bladszy,
Kiedy jesteś tak cudnie piękną, gdy się płonisz.

AMELIA.

Królu, ty mię obronisz — ufam, że obronisz,
Jeśli mię nie chcesz widzieć, panie, pod mogiłą.
Twój dworzanin mnie zelżył, panie.

KRÓL.

Jak to było?

AMELIA.

O tak, królu, jak zwykle, dziś, o słońca wschodzie
Szłam na mszę. Pan Mazepa mnie spotkał w ogrodzie,
Na wązkiéj kładce, zewsząd okrytéj drzewami,
Ukląkł — jam się bladością okryła i łzami,
Lecz nie chciałam się cofnąć, by nie zdradzić strachu;
Począł mówić, że poznał mię po róż zapachu,
Że mu wschodzące słońce powiedziało o mnie;
Zawstydzona, ile że ubrana mniéj skromnie,

Bom nie myślała, że mnie kto z ludzi nadybie,
Musiałam spuścić oczy i w rzeczułki szybie
Wołać rybek na pomoc i prosić o radę.
Gdy ten bezczelnik, lica moje widząc blade,
Rozumiał, że mię z barwą zarazem różaną
Odleciał wstyd — i z trwogi na kładce zachwianą
Zatrzymał tak, że usta uczułam na twarzy.

KRÓL.

O! szatan!

AMELIA.

Więc się, panie, zawstydzona skarży.
Ufam, że się król ujmiesz za sprawą kobiéty.

KRÓL.

Osądź go sama.

AMELIA.

Jakto! ja mam sądzić — nie ty?
Królu, ty w naszym domu.

KRÓL na stronie.

Przeklęty paziku!

Do Amelii.

Pani, w naszym kodexie jest zbrodni bez liku,
Lecz takiéj nie ma zbrodni, ani kary na nią.

AMELIA.

Królu! powiédz mu, że on domu tego panią
Zhańbił, że podłe serce mu w piersiach uderza,
Ani serce Polaka, ni serce rycerza;
Powiédz mu, że my biédne kobiéty się bronim
Wzgardą — więc ja pogardzam i zapomnę o nim.
Że choćbym nierządnicą była — nie skorzysta,
Bo jeszcze ja dlań będę za dumna, za czysta.
Powiédz mu, że nikogo nie mając za stróża,
Mogłabym mieć mściciela, lecz mam go za tchórza,
I wzgarda moja litość urodziła we mnie.
Ale mu powiédz, królu, że zrobił nikczemnie,
Powiédz i wypędź, niech go nie widzę przed sobą.

KRÓL.

Czemuż winienem, pani, że z twoją żałobą
Do mnie przyszłaś?

AMELIA.

Sądziłam, że króla przytomność
Nie wstydzi...

KRÓL.

O! szczęśliwy król, któremu skromność
Zawierza i w całém się zdaje zaufaniu;
Szczęśliwy cię oglądać po świeżém spłakaniu,
Jeszcze cichymi łzami żalu brylantową.
O! nie płacz, ja ukarzę pazia — daję słowo,
Ukarzę — i nie ujrzysz go więcéj przed tobą.
Teraz o innych rzeczach pomówimy z sobą,
Piękna wojewodzino — o zakład, że zgadnę,
Jak masz imię; być musi imię smętne, ładne,
Jakże twe chrzestne imię?

AMELIA.

Amelia.

KRÓL.

Bóg z nami!
Słowik téj nocy ciągle pod mymi oknami
Śpiewał to imię, jam spał i słyszał po trosze:
Teraz już z serca tego słowika nie spłoszę,
Piękna Amelio! i tak więdnąć tu odludnie?
Ten zamek nad jeziorem położony cudnie,
Ale smętny jak moje we Francyi więzienie.
Te okna, te arkady, te lipowe cienie,
Ale tu całe życie prawie przeżyć trudno.
Amelio, czy ci w zamku tym czasem nie nudno?
Czy nie żądasz odmiany, tu dnie smutne płyną,
Jabym w tym zamku umarł już, wojewodzino.
To więzienie jak moja francuska wieżyca.
Ach! było i tam dziéwczę tak jasnego lica
Jak ty, pani — tak w każdém ujęciu okrętna,
Które mi wtenczas miła — a dziś jest pamiętna.
Jesteś od niéj piękniejsza, lecz podobna trochę,
Ty jesteś smutna, tamto dziéwczę było płoche,

Nieraz oszukiwała więzienia pachołków,
I list z kraju przyniosła w bukiecie fiołków.
Dziś woń fiołków zawsze mi ją przypomina.

AMELIA.

Jakże się nazywała ta biédna dziewczyna?

KRÓL.

Klaudya.

AMELIA.

Więc kochała i umarła z żalu.

KRÓL.

Wdową jest po marszałku dzisiaj d'Hopitalu.

AMELIA.

Zapomniała? zdradziła?

KRÓL.

Odmieńmy rozmowę.
Dziś, gdy mię gryzą kolce korony cierniowe,
Cóżbym nie dał, by dawne powróciły lata,
Gdy chleb spleśniały przy mnie, w oknach była krata,
A serce kochające przy sercu mi biło.
O! pani, jakże teraz samotnemu miło
Znaleść tak piękną smętnych uczuć powiernicę,
Takie dwie łzy, dwie takie w oczach błyskawice,
Co z gniewnym ogniem niosą razem przebaczenie;
Takie słyszeć nad własną niedolą westchnienie,
Tak białą dłoń i miękką mieć do łez otarcia.
Tron i koronę rzucić, bez przyjaciół — wsparcia
Opuścić kraj, gdzie ludzie są w sercach zatruci,
Rzucić wszystko, z tą jedną, co nigdy nie rzuci.

AMELIA.

Mogęż odejść?

KRÓL.

O! pani, zostań — jedna chwila.
Ty nie wiesz, że w téj chwili los mój się przesila,
Że mi korona spada z głowy, co się schyla
Przed tobą, czarodziejko.

AMELIA.

Mogęż odejść, panie?

KRÓL.

O! dumna, raz niechętnie dałaś całowanie
Czołu pazia — lecz teraz spotkasz...

AMELIA.

Już mi widne...

KRÓL.

Czoło w koronie...

AMELIA.

Zimne...

KRÓL.

Dokończ...

AMELIA.

I bezwstydne.

Odchodzi.

SCENA IV.

KRÓL, WOJEWODA.

WOJEWODA, spotykając odchodzącą Amelię.

Co to jest? Do swych aśćka idź apartamentów.

KRÓL.

Cóż tak srogi?

WOJEWODA.

Mościwy Panie, bez wykrętów,
Coś mi dziś we łbie jęczy pogrzebowym dzwonem,
Krew co się lała, leży pod żony balkonem.

KRÓL.

Co? pazik taki śmiały?

WOJEWODA.

Królu, proszę o to:
Wypraw ty mi z zamczyska tę laleczkę złotą,
Wypraw ją — bo już, Panie Miłościwy, ranna,
To jak się dotknę, stłuc się gotowa jak szklanna;
Ja żony nie podzieram, to święta kobiéta.
Lecz ten paź, on się czegoś tu, królu, dopyta.

Ja ciebie może, panie miłościwy, nudzę,
Lecz powiadam, jeśli chcesz mieć w dalszéj usłudze
Twojego dworzanina, to go wypraw prędzéj,
On się tu może zgubić jak worek pieniędzy:
Złoto wabi, on cały złoty — toć ukradną,
Wypraw go, mciwy panie, ma figurkę ładną,
Ja się o niego boję.

KRÓL.

No, mój wojewodo,
Widzę, że w tobie ta krew, to nie szafran z wodą.
Cieszę się, żeś mi jeszcze czerstwy i ognisty.
Przyślij mi pazia, zaraz mu napiszę listy
I wyślę do Warszawy.

WOJEWODA.

A ja mu dam szkapę.

Odchodzi.

SCENA V.

KRÓL, potém MAZEPA.

Ja zgrzeszyłem jak dziecko, a paź weźmie w łapę;
To i dobrze, on w moich zamiarach przeszkadza.
A jak widzę, to mnie tu on haniebnie zdradza
I sam pięknie przy własnéj patronuje sprawie.
To i dobrze, z listami pazika wyprawię,
Zostanę sam, a pomoc mi rychło przybędzie.

Wchodzi Mazepa.

Nastraszyłeś mi waćpan przed czasem łabędzie.
Próżno spuszczasz oczęta i przygryzasz wargi,
Były tu na waćpana, gapiu, różne skargi;
Wywędrujesz mi stąd precz, z listami do żony.
Do gabinetu za mną.

Wchodzi do pokoju bocznego.

MAZEPA.

Proszę, jaki słony
Mój ortodoxus, nigdy tak źle nie zaczynał.

KRÓL, za sceną.

Za mną do gabinetu wać. .

MAZEPA.

Dyabeł kardynał.

Wychodzi za królem.

SCENA VI.

ZBIGNIEW wchodzi.

Tu wszedł paź, już go nie ma, zaczekam tą razą.
Niechaj nas po dniu zimne rozsądzi żelazo.
O! zabić go! a potém zabić się samemu.
Cóż jest w téj cichéj śmierci okropnego? czemu
Lękamy się téj ziemi, co nam czoło plami,
I snu z założonymi na piersiach rękami?
Śmierć, innéj nie ma drogi przedemną — o Boże!
Gdyby mi kto powiedział wczora, że być może
Jaki człowiek na ziemi, z sercem ludzkiém w łonie,
Śmielszy, niż róża listkiem kryjąca jéj skronie,
Bliższy jéj ust, niż swojski jéj kanarek złoty,
Szczęśliwszy niż powietrze, niż owe istoty
Muszki wieczorne, którym ja zazdroszczę co dnia,
Ach, nie wiem... wczoraj mi się zdawała to zbrodnia
Dotknąć jéj twarzy... dzisiaj możebym szalony...
Tak więc ten, co się pali sam — żar zapalony
Ciska na serca drugich i winien pożogi,
Która człowieka wali losowi pod nogi
Zimnym — zwalanym trupem...

SCENA VII.

WOJEWODA, ZBIGNIEW.

WOJEWODA.

Waść tu czekasz kogo,
Waść widzę porysował marmury ostrogą.
Cóż to jest za rysunek — trupia głowa — synu!
Waszeć mi chcesz się rąbać? wstyd, to człowiek z gminu:

Takiego wojewoda pod kijem zatłucze...
Posłałem Chmarę — ja go respektu nauczę...
Melka niewinna, że krew pod oknem — niewinna,
Lecz z paziem, co ją sądził ścierką — to rzecz inna.
Pod kijami odszczeka, już posłałem Chmarę.
Zostaw to wszystko waszeć na to czoło stare.
Czy ty myślisz, że matka o tém nie wiedziała?

ZBIGNIEW.

O! na to ja przysięgnę.

WOJEWODA.

Panu Bogu chwała,
Że mi nadarzył świętą kobiétę za żonę.
Czy waść uważał, miała oczęta czerwone
Od płaczu?

ZBIGNIEW.

Bo też każde posądzenie boli...

WOJEWODA.

Posłałem ludzi — będą przy wielkiéj topoli
Koło karczmy na tego czatować gałgana.

ZBIGNIEW.

Lecz jak się król pan dowie?

WOJEWODA.

Króla mam za pana,
Ale nie w moim domu.

SCENA VIII.

Ciż sami. KRÓL i MAZEPA wychodzą z bocznych drzwi.

KRÓL.

Mości wojewodo,
Paź jedzie do Głuchowa, potém z naszą zgodą
Powraca do Warszawy, rzecz ukartowana.
Pozwólże mu waścine uściskać kolana,
I każ mu spuścić mosty.

WOJEWODA.

Niech odjeżdża zdrowo.
A odemnie niech przyjmie szablę turkusową,
I rumakiem murzynem nie gardzi na drogę.
Koń ten bystre ma oczy i lotną ma nogę.
Oby waści szczęśliwie niósł przez nasze pola
Do szczęśliwego celu.

MAZEPA.

Jeśli wasza wola,
Przyjmuję oba dary — piękny upominek,
Dobra szabla, a jeszcze lepszy koń murzynek;
I bodajby to koń był, co kędyś po lesie
I po łąkach aż na tron pazika zaniesie,
Jak to już wywróżyła cyganka przed laty.

KRÓL.

A lećże mi po łąkach, paziku skrzydlaty,
Wspomnij o mnie na tronie i bądź mi aljantem.
A teraz, wojewodo, chodźmy alikantem
Pić za szczęśliwą podróż tego pretendenta
Do korony.

Do Mazepy.

Niech waszeć o listach pamięta.

Odchodzi z wojewodą.

SCENA IX.

MAZEPA, ZBIGNIEW.

ZBIGNIEW, dobywając szabli.

Mości panie, do szabli.

MAZEPA dobywa szabli.

Wiem, co się to znaczy.

ZBIGNIEW.

Strzeż łba.

MAZEPA.

Mości rotmistrzu, jestem syn kozaczy,
Bić się umiem, lecz wcale nie czuję ochoty
Tłuc ojca turkusówką w syna pancerz złoty;

Ani wojewodzica, co jak róża młody,
Zabiwszy, uciec z zamku koniem wojewody.
Wreszcie i to waćpanu w pokorności ducha
Wyznaję, że mnie teraz poruszyła skrucha,
Że się wstydzę téj w zamku odegranéj roli;
Więc jeżeli szanowny pan Zbigniew pozwoli,
Ścisnąwszy się jak bracia, rozjedziemy w zgodzie.
Czar był jakiś w tym zamku, w księżycu, w ogrodzie,
Co mię obłąkał, ogniem zapalił, miłością;
Czar trwa i mnie uniża teraz przed waszmością,
I szczérym mnie afektem ku niemu zapala.
Cóż mówisz na to waszmość? czy serce pozwala?
Czy od proponowanéj jest dalekie zgody?
Wierzaj mi, wrzućmy nasze zatargi do wody
I bądźmy przyjaciółmi.

ZBIGNIEW.

Drwisz? czy jesteś tchórzem?

MAZEPA.

Każdy swego honoru powinien być stróżem.
Zdaj to na mnie; potrafię zniżyć się bez szwanku.

ZBIGNIEW.

Waść zmykałeś téj nocy.

MAZEPA.

Księżyca kochanku,
Czy pewny jesteś, że ja przed waścią umykał?

ZBIGNIEW.

Mój Boże! jak wąż z bolu pod żelazem ksykał,
Zdejm rękawiczkę, krwawe masz na ręku znamię.

MAZEPA.

Pewnyż jesteś, że twoje żelazo i ramię
Temu winne, mospanie, że mam krew na ręce?

ZBIGNIEW.

Wykręcasz mi się podle.

MAZEPA.

Lecz się nie wykręcę.
Co? Oto moja ręka — tak, dalibóg krwawa,
Lecz nie waćpan ją zranił.

ZBIGNIEW.

Ba! to rzecz ciekawa!

MAZEPA.

Mospanie, jak nabierzesz znajomości świata,
Poznasz, że nieraz cześci albo krwi utrata
Potrzebną jest *ut salvat* miłe nam osoby.
Waćpan jeszcze przez żadne nie przeszedłeś próby.
A jednak w tym się właśnie waść znajdujesz razie,
Że nie tak na odwadze szumnéj, na żelazie
Honor najdroższéj tobie osoby spoczywa,
Jako na roztropności — to sztuka prawdziwa
Serce mieć pełne ognia, zimne jak lód lice,
I do grobowca z sobą zanieść tajemnicę.

ZBIGNIEW.

Żadnych takich tajemnic nie mam do ukrycia.

MAZEPA.

Więc może ja się mylę. — Każdy ma do picia
Kielich mniéj więcéj gorzki; a ja się lituję
Nad tym, co się codzienną męką serca truje.
Zdjął mię smutek, gdym ujrzał w chmurach ciemnych losu
Dwie istoty cierpiące bez jęku, bez głosu,
Ciche, co mając serca od Chrystusa krwawsze
Mówią: niestety! dodać zmuszeni: na zawsze!
Jestem dziecko; lecz takie widząc przeznaczenie,
Szczére i wielkie w sercu uczułem cierpienie
I litość — i poświęciłbym siebie.

ZBIGNIEW.

Za kogo?

MAZEPA.

To moja tajemnica.

ZBIGNIEW.

Do szabli!

MAZEPA.

Tak srogo?

ZBIGNIEW.

Serce wydrę...

MAZEPA.

Dla czegoż pobladłeś jak chusta? —
Pewien mi pocałunek wiecznie zamknął usta.

ZBIGNIEW.

Kłamiesz jak pies!

MAZEPA.

Koniecznie?

ZBIGNIEW.

Do szabli, mospanie!

MAZEPA.

Ha! kochasz ją...

Biją się, — Zbigniew końcem szabli rozdziera i wyrzuca listy królewskie, które paź był schował przy piersi.

ZBIGNIEW.

Dostałeś.

MAZEPA.

Waść lepiéj dostanie.

Mazepa wytrąca pałasz z ręki Zbigniewowi i obala go na kolano.

ZBIGNIEW.

Korzystaj z losu, przepędź mi sztychem przez kości.

MAZEPA, podnosząc go.

Zbigniewie! proszę teraz drugi raz waszmości
O braterstwo i przyjaźń. Daj zemście spoczynek.
Użyłem słów wabiących gniew i pojedynek,
Abym poznał, czy wasze jest jednym z tych ludzi,
Który się w domu ojca szpiegowaniem trudzi,
I odejmuje pokój starca włosom siwym;
Czy waść jesteś szlachetnym, ale nieszczęśliwym.
O! tak, szczérze waszmości chcę być teraz bratem...

Zbigniew rzuca się w objęcia Mazepy.

Zbigniewie mój, z tym biédnym kłócący się światem
Walką wrącego serca, mój drogi! szlachetny!
Ty mi się podobałeś; ty w tym zamku, świetny
Jak rycerz dawnych czasów, ująłeś mi serce;
Słuchaj! twój pożar jeszcze w maleńkiéj iskierce,
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił.
Aniś ty jeszcze w niczém skalał się, przewinił,
W jéj szafirowych oczach twoja bogobojność
Zostawiła anielskość dotąd i spokojność;
Lecz to nie potrwa wiecznie, to nie potrwa długo...
Wierzaj mi, ty być musisz twego losu sługą,
Bo nie możesz być panem; nie, to niepodobna.
Zostaw ją tu — jak róża kwiatami ozdobna
Niech się błyszczy i cicho na słońcu przekwita.
Lecz ty uciekaj! ciebie już skrzydłami chwyta
Straszny duch ognia, tobie uciekać potrzeba,
Wierzaj mi, są miłoście bez gwiazd, Boga, nieba,
Te wkrótce zetrą serce na proch — tak go znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą,
Tyle razy w sen cichy ogłupienia wtrącą,
Że wreszcie źródło wspomnień na wieki zamącą —
To się i z tobą stanie. Jedź ze mną, Zbigniewie.
Jak dwa motyle w wichru kręcone powiewie,
Przelecimy przez okna otworzone dworu,
Gdzie gapie, a w kontuszach różnego koloru,
Jak ćmy głupie obsiadły starą Francuzicę.
Przewrócimy ten cały stary świat na nice,
Brzękiem, śmiechem, szyderstwem napełnimy salę.
Jak mi serce zagaśnie, to je znów zapalę
Przy ogniu twego serca — a jak ogień boski
I w tobie zamrze — wtenczas żadne łzy i troski
Już nie wrócą, i będziem śpiewali *victoria*.
Widzisz, moje kazanie gorzkie jak cykorya,
Wycisnęło ci z oczu łzy, drogi Zbigniewie...
I cóż?

ZBIGNIEW.

Pojadę z tobą...

MAZEPA.

Dziś przy wielkiém drzewie
Koło karczmy zaczekam na cię do północy.

ZBIGNIEW.

Nie tam — jedź inną drogą...

MAZEPA.

Co? czy tam Rakocy
Stoi z wojskiem?

ZBIGNIEW.

Nie pytaj, bo mi wstyd wyjawić.

MAZEPA.

Więc potrafię się w bliskiém miasteczku zabawić
Grą w kości, choćby z jakim wojakiem ciemięgą.

ZBIGNIEW.

Czekaj tu, ja ci każę klacz osiodłać tęgą,
Wtenczas wiatr nie doścignie.

MAZEPA.

Idź, chłopaku szczéry.

Zbigniew odchodzi.

SCENA X.

MAZEPA, sam.

Panie Mazepo! teraz wasze innéj cery —
Co się z twoją złoconą zrobiło maszkarą?
Mówiłeś jak ksiądz — próżno dyabeł krzyczał: *haro!*
Ty brnął w cnotę jak w błoto, ani dbał o siebie...
Dwa dni tego humoru, a umrę, i w niebie
Będę siedział po uszy. — Ba — lecz bies powróci.

Podnosi listy królewskie z ziemi.

A ha! królewskie listy... Ten król mi coś czmuci.
Dalibóg! szablą pieczęć przecięta na dwoje —
Schowam — ja się téj szelmy ciekawości boję;
To mój wróg — ba! lecz pieczęć na dwoje złamana.
Tylko troszeczenieczkę...

Zaziera w listy.

„Proszę waszmość pana"
Do Głuchowskiego pisze komendanta...

Przebiega list oczyma.

Nieba!
Ukartowane wszystko na rapt jak potrzeba,
Ortodoxus chce porwać żonę wojewodzie!
Daléj — tu widać jakiś przypisek na spodzie —
Czy ja ślepy? czy bielmo mi na oczach leży?

Czyta.

„Pana Mazepę zaraz zasadzić do wieży,
„I strzec aż do dalszego z nim rozporządzenia.“

Chowa listy.

Ach, panie ortodoxus! co? mnie do więzienia?
A młodziutką starego żonę w twoje łapy?...
Więc ty myślisz, że wszyscy, włącznie ze mną, gapy?
Że w twoich sidłach muszki uwikłane zginą?
Téj nocy muszę widzieć się z wojewodziną.
Jéj tylko mogę wyznać tę dziecka ciekawość;
Czegoż się lękam? — Moja zwinność, lotność, prawość
Wszystko ocali. — Będę ją widział téj nocy...
Mam jéj honor i własną śmierć we własnéj mocy,
Z tém się zgubić nie można.

SCENA XI.

ZBIGNIEW wraca, MAZEPA.

ZBIGNIEW.

Koń czeka gotowy.

MAZEPA.

Do widzenia.

Wychodzi.

ZBIGNIEW sam.

Skończona rzecz! ugiąłem głowy
Przed nieszczęściem — skończona ze mną rzecz — zginąłem.
Gdyby wiedzieć, że człowiek smutny jest aniołem,
Że co tu niespokojnych miłości uniknie,
To będzie miał u Boga. Mój cień wkrótce zniknie,
I w téj krainie więcéj o mnie nie usłyszą;
Ale po latach wielu z jaką straszną ciszą

Trumny się starych ludzi w jednym lochu schodzą,
Jakby się nigdy z sobą nie znały, i płodzą
Robactwo obrzydliwe. Patrząc na te kości,
Ktoby wtenczas przypomniał ludziom o miłości,
Odebrałby śmiech dziwny trumien w odpowiedzi
I odszedłby jak głupiec z mistycznéj spowiedzi —
Czas jest rozgrzeszycielem. — O! jakże tym błogo,
Co swe gryzące wiecznie serce przeżyć mogą.

SCENA XII.

ZBIGNIEW zamyślony. — Widać AMELIĄ zbliżającą się po drugiéj stronie arkad. — KSIĄDZ idzie za nią. — AMELIA staje przed Zbigniewem i uderza go lilią po twarzy.

AMELIA.

Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic! głowa mi cięży jak ołów.

Amelia daje Zbigniewowi liliję, lecz ksiądz, stojący za nią, wyrywa kwiat z ręki Amelii i mówi srogo.

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilija jest kwiatem aniołów.

AKT III.

SCENA I.

Pokój wojewody. — WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Więc paź jest tu, w ogrodzie?

CHMARA.

Widziałem na oczy...

WOJEWODA.

Zdejm wacan strzelbę, spróbuj czy zamek odskoczy.
Czemu waść patrzysz na mnie? co? zbierz acan ludzi,
Ale cicho, niech się król jegomość nie zbudzi.

Idź — z ludźmi bądź w ogrodzie.

Chmara wychodzi.

Panie! Chryste Panie!
Oto rzecz! w zamczysku moim polowanie
Na gacha mojéj żony! Chryste! Jezu Chryste!
A dajże tym umarłym światło wiekuiste!
Pomrą! piekielnie pomrą!

Wychodzi zbrojny.

SCENA II.

Mieszkanie wojewodziny. — Okno otwarte na balkon — z jednéj strony alkowa zasłoniona firankami.

MAZEPA włazi oknem.

Wszystko śpi w zamczysku.
Żadnego po komnatach szmeru ani błysku.
Doskonale! to pokój kobiécy. Gdzież ona?
Może jeszcze w ogrodzie chodzi zamyślona,
Może u swoich niewiast?

Pokazując na alkowę.

Może tam uśnięta.
Co robić? czy tam zajrzeć? — Alkowo przeklęta!
O! najniebezpieczniejsza z zasadzek alkowo!
Za tą zasłoną lekką, wiotką, purpurową,
Ona śpi snem różowa, cicha. — Dyable! dyable!
Jak ty mnie dręczysz...

Zaziera w alkowę i wraca.

Pusta. — Przysięgam na szablę,
Że nie miałem złéj myśli ruszając firanek.
Cóż robić?... Ona przyjdzie... skryję się na ganek,
A na wachlarzu kilka słów do niéj napiszę...

Pisząc.

Odeślij twe niewiasty — jestem tu...

Rzuca wachlarz.

Co słyszę?
Kroki dwóch osób... mury te dla mnie fatalne!
Ha! jeśli mnie odkryją tu, w łeb sobie palnę.

Wchodzi do alkowy i zasłania firanki.

SCENA III.

AMELIA, ZBIGNIEW.

AMELIA.

Więc to ostatnie twoje ze mną pożegnanie?

ZBIGNIEW.

Tak, moja matko.

AMELIA.

Słyszysz słowików śpiewanie?
Chce mi się płakać — biédna ja! biédna!

ZBIGNIEW.

Dla czego?

AMELIA.

Nie wiem! ja na tym świecie nie pragnę niczego,
A jednak ja nie jestem szczęśliwa. Ja nie wiem,
Co mi jest. Siedząc teraz z tobą pod modrzewiem,
Zdało mi się, że jakaś okropna godzina
Dzwoni w nocném powietrzu. — Wczoraj moja sina
Szpileczka turkusowa, którą mam po matce,
Złamała się — to mała rzecz! — lecz na okładce
Książki od nabożeństwa zapisałam sobie
Ten dzień, jak zły dzień. — Boże! skądże przyszło tobie
Odjeżdżać?... ty mi nigdy nie mówiłeś o tém.
Zostanę sama!... Lecz ty odjeżdżasz z powrotem?

ZBIGNIEW.

Nie, matko.

AMELIA.

Nie — więc nigdy tu już nie powrócisz?

ZBIGNIEW.

Nigdy! nigdy już! nigdy!

AMELIA.

Żałośnie mi nucisz,
Jak szpaczek, co jednego nauczony słowa,
Nie rozumie i gada...

ZBIGNIEW.

O matko! bądź zdrowa!

AMELIA.

Chodź tu! klęknij mi wasze — cóż tak nieserdecznie
Żegnasz się? — i ty mówisz, że się żegnasz wiecznie!
Ja ciebie nie rozumiem. Chodź! czoło waszmości
Okropnie zimne.

ZBIGNIEW klęka przed nią.

Matko! o matko! litości...

AMELIA.

Milcz! milcz! ja cię rozumiem! tak padłeś przedemną,
Waćpan przedemną strasznie upadłeś. Bóg ze mną!
Ja waćpanu nie mogę nic, prócz łez, ja sama
Cierpię. — Idź waść.

ZBIGNIEW.

Litości!

AMELIA.

Prócz łez... Jaka plama
Dla mojéj czystéj duszy tak z waćpanem gadać,
Jak gdybym rozumiała. Nie chcę o nic badać...
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła.
Nie bój się, my niewinni; Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja pana żegnam wiecznie — ja jestem uboga,
Nie mam co dać mu prócz łez. — To ciebie nie splami,
Że schylona nad tobą obleję cię łzami;
Ty będziesz je pamiętał, te łzy. Proszę! proszę!
Proszę te łzy pamiętać... i o mnie. Ja znoszę
Wielkie męki, lecz proszę źle nie myśleć o mnie,
Bo to, co teraz mówię, mówię nieprzytomnie,
Bądź zdrów!

ZBIGNIEW, chce wstać i mdleje.

Ciemno mi w oczach...

AMELIA.

Słyszysz! ktoś nadchodzi.
O! wstań! o! wstań... to ojciec nasz!

Do wchodzącego wojewody.

Niech pan dobrodziéj
Ratuje — twój syn leży mi u nóg zemdlały.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA do ludzi za sceną.

Pilnować drzwi i okien. — Jeszcze honor cały.
Mój syn tu był na straży.

Do Amelii.

Czyś ty jego struła?

AMELIA.

Ja?

WOJEWODA.

Ty bez cześci.

AMELIA.

Mężu!

WOJEWODA.

Waćpaniś tu czuła
Gacha w komnacie; czarów użyłaś na dziecko.
Wszedł i omdlał.

AMELIA.

Co waćpan mówisz?

WOJEWODA.

O! zdradziecko
Umiesz ty się wykręcać, czarna ohydnico.
Panie Chmara! synowi memu pod nos świécą,
Czy żyje?

CHMARA.

Dycha, panie.

WOJEWODA.

Wynieść do ogrodu

ZBIGNIEW, przychodząc do zmysłów.

Gdzie jestem? co to znaczy? ojciec!

WOJEWODA.

Bez wywodu,
Panie synu! nie kryj się waćpan, ja świadomy
Całéj rzeczy. — Bogdajby mnie trzasnęły gromy!
Bogdajbyśmy obadwa legli od pioruna...
I ta winna! ta sądna! ta przebiegła kuna!
Ta... ta ścierka!

ZBIGNIEW.

Ach! ona, mój ojcze, niewinna.

WOJEWODA.

Nie... ona jest, jak mówią, kobiéta uczynna,
Nic więcéj, ona tylko się...

ZBIGNIEW.

Ojcze! na Boga!

WOJEWODA do Amelii.

Jak mi waćpani płaczesz! jak cię trzęsie trwoga?
Ha! bo też tu się stanie z nami rzecz okropna.
Waćpani mi tu byłaś bardzo nieroztropna!
Waćpaniś prowadziła źle twe ceregiele,
To teraz będą kiry i trumny w kościele;
Przygotuj się waćpani, bo to sprawa czarta.
O! jaka ty na czole ze wstydu wytarta!
Innaby już mi do nóg padła cała długa
I całowała stopy.

AMELIA.

Ja waszmości sługa,
Ale jestem niewinną.

Zbigniew pada do nóg.

WOJEWODA do Zbigniewa.

Ty śmiesz prosić za nią?

ZBIGNIEW.

Nie, ja sam jestem ..

WOJEWODA, przerywając.

Tak, ty — z twoją matką panią
Złączyliście się ..

ZBIGNIEW.

Ojcze!

WOJEWODA.

Przeciw starca głowie,
Aby ją okryć hańbą — niech ci Bóg da zdrowie;
Wybrałeś się tu dobrze z protekcyą, wasze.

ZBIGNIEW.

Ojcze! choćbyś miał piorun, to ja go zagaszę
Krwią moją i sam jeden tę winę odkupię.

WOJEWODA.

O! synu krwi wężowéj! synu — zimny — trupie!
Bez duszy — i ty żadnym gniewem się nie palisz?
Czy twoje młode kości naruszył paraliż?
Czy serce tylko twoje tknięte paraliżem?

ZBIGNIEW.

Ojcze! te słowa dla mnie są boleści krzyżem —
Reszta będzie bez męki. — Syn z pokorą czeka.

WOJEWODA do Amelii.

Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka.

AMELIA.

Ja?...

WOJEWODA.

Patrzcie na nią teraz, patrzcie! jak się chwieje,
Ona tu wnet omdleje.

AMELIA.

Nie — ja nie omdleję.
O! Matko Boska! bądź ty ze mną w téj godzinie.

WOJEWODA.

Przysięgam, że waćpani gach jak mucha zginie,
Panie Chmara, poszukać w alkowie.

AMELIA, zatrzymując Chmarę.

Stój, wasze!
Pierwéj w tych piersiach srogie utopcie pałasze,
Nim dotkniecie firanek — a ty słuchaj, mężu.

WOJEWODA.

W twoim pokoju człowiek jest — kobieto! wężu!

AMELIA.

Zbigniewie! nie ma w moim pokoju nikogo.

WOJEWODA.

Da się to widzieć.

ZBIGNIEW.

Ojcze! nim postąpisz nogą,
Pomyśl, co robisz! tu się rzecz okropna stanie...
Ja wierzę — i ty musisz wierzyć — o! mój panie!
O! mój ojcze! ty wierzysz? nieprawdaż?

WOJEWODA.

Rufianie?

ZBIGNIEW.

O! mój ojcze!

WOJEWODA.

Dla czegoż ty się z pasyonatem
Droczysz — i stoisz tutaj — i jesteś mi katem?...
Dla czegoż ty jéj wierzysz? o godzino sromu!
Waść by mnie teraz wtrącił do szalonych domu?
A jednak ja mam zmysły wszystkie dobrze zdrowe.
Panie Chmara! każ ludziom tę straszną alkowę
Zrewidować — tam nie ma okien; nie uciecze,
Tu go waćpani kozak za włosy wywlecze,
Będziesz ssać jego rany i całować w usta,
Położysz się na piersiach — lecz pierś będzie pusta,
Bo ją mu z piersi serce jak oko wyłupię.
Ja waćpani pozwolę potém spać przy trupie,
Jeśli nie będziesz chciała, przywiążę jak sukę.
Ja dam niewiernym żonom okropną naukę,
Będą o niéj pamiętać aż Polski nie będzie.
Waćpani będziesz słynąć w sławnych ścierek rzędzie,
Mną będą straszyć dziatwę. — Hej, iść pod kotary!

Ludzie zawołani przez Chmarę chcą iść do alkowy. — Zbigniew staje u wejścia, dobywa szabli.

ZBIGNIEW.

Ojcze, każ im się cofnąć, bo pójdą na mary.
Bo ja tu ich nie puszczę.

WOJEWODA sam daje krok wprzód.
Zbigniew dobywa pistoletu i przykłada sobie do piersi.

On ze mną zaczyna.

ZBIGNIEW.

Stój, ojcze! bo na progu tu wstąpisz w krew syna.

WOJEWODA.

A to dyabeł zacięty!

AMELIA.

Zbigniewie! Zbigniewie!
Odsłoń firanki, ja wiem, że twój ojciec nie wie,
Co ja cierpię, lecz niech się przekona oczyma.
Oczy są jego sercem, on innego nie ma;
Gdyby miał, ulitowałby się tysiąc razy.

Do wojewody.

O! Panie! ja niewinna! ja bez żadnéj zmazy,
Lecz patrzaj, co ty robisz tu z sercem kobiéty?
Patrz! twój syn do ust kładzie pistolet nabity;
On nie może wytrzymać udręczenia mego,
On się chce zabić, panie.

WOJEWODA.

A wiesz ty dla czego?
Do ust włożył pistolet i za śmiercią dyszał?
Bo tam za sobą szelest człowieka usłyszał,
Bo ja aż tu słyszałem.

AMELIA.

Ten starzec mię łamie!
Zbigniewie! tyś nie słyszał nic? ten starzec kłamie.

ZBIGNIEW, jakby pasując się z sobą i wpadając w obłąkanie.

Nie, ja nic nie słyszałem — nic — to rzecz skończona,
Tam nikt nie wejdzie. Piersi Chrystusa czerwona
Siedmią ranami, tam nikt nie wejdzie — o! Boże!

Idzie ku Amelii.

Matko! — macocho.

Cofa się ze wstrętem i znów wraca przed alkowę.

Ojcze, ja się tu położę
Jak pies i nikt nie wejdzie, miéj litość nademną.
Ojcze! o! ja omdleję, słabo mi i ciemno...
Ja omdleję drugi raz. Ta scena mię dręczy!
Ojcze! syn ci na duszę nieśmiertelną ręczy,
Że tam nie ma nikogo, czy ci nie dość na tém?
Ojcze! o! będzie ze mną tak jak z moim bratem,
Którego ty zabiłeś przed laty niechcący.
Patrzaj, ja cały blady, patrzaj, cały drżący,
Ja słabnę — jeszcze chwila, a serce mi pęknie.

AMELIA do wojewody.

Litości, panie! niechaj twa zaciętość zmięknie,
Ja bardzo cierpię.

WOJEWODA ponuro.

Chciałbym uwierzyć w waćpanią.

Zdejmuje ze ściany krucyfix.

Przysięgniesz na krucyfix?

ZBIGNIEW.

Ja przysięgnę za nią!
Ojcze! co myślisz? kazać przysięgać kobiécie?
Ja sam oto na moje nieśmiertelne życie,
Na tym krzyżu obiedwie położywszy ręce,
Przysięgam. Usta kobiét są jak niemowlęce,
Ich straszliwymi słowy nie potrzeba mazać.
Mój ojcze, daj krzyż, ludziom już można rozkazać,
Aby odeszli.

Na stronie.

Cóż to? i ona się zbliża?

AMELIA.

Ja przysięgnę.

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELIA.

I cóż?

ZBIGNIEW cicho do ucha Amelii.

Matko — precz od krzyża.

AMELIA kładzie rękę na krucyfix.

Na Chrystusowe rany i na matki duszę,
Na wycierpiane teraz krzyżowe katusze
Przysięgam, że niewinnie byłam posądzona,
Niech wam tak Bóg odpuści.

ZBIGNIEW.

Ojcze! rzecz skończona.

WOJEWODA.

Ha?

ZBIGNIEW.

Wszak przysięgła?

WOJEWODA.

Amen.

ZBIGNIEW.

Ojcze, idźmy razem,
Ja sam jestem — jak senny!

WOJEWODA.

Chmara! idź z rozkazem,
Niechaj mi tu mularzy przyśle budowniczy.

Chmara odchodzi.

ZBIGNIEW.

Cóż to jest?

WOJEWODA.

Król Jegomość tutaj sobie życzy
Kaplicę mieć pod bokiem, więc trzeba mularzy.

ZBIGNIEW.

Ojcze! tobie coś patrzy okropnego z twarzy.

WOJEWODA.

Ja, mospanie, spokojny. Na Chrystusa rany,
Spokojny jestem starzec. Choćby teraz w tany,

Tak mi wesoło, tak mię ta przysięga cieszy.
Gdyby nie to, że śmierci się kościotrup śpieszy
I już stoi nad głową, śmiałbym się na gardło...
Lecz, mości panie, serce już we mnie umarło;
Śmierć się dotknie i kości na proch się rozsypią...
Cyt, cyt, cyt — czy słyszałeś? jakieś buty skrzypią,
Czemu waść drżysz?

ZBIGNIEW.

Już późno, ojcze, już poranek...

Wchodzą mularze i Chmara.

WOJEWODA.

Zamurować alkowę, nie tykać firanek.

ZBIGNIEW.

Mój ojcze, ta niewiara...

WOJEWODA.

A waść mojéj żonie
Wierz, przysięgła na krzyżu, to ja teraz bronię,
Abyś ją waść o krzywą posądził przysięgę.
Zamurować! Na piekieł czerwonych potęgę
Zaklinam się, że nigdy tam nie zajrzą ludzie.
Tam leży tajemnica, tam żeńskiéj obłudzie
Jest zamknięta rzecz czarna, dręcząca — tam kara!
Tam po ciemnościach z głodem tłukąca się mara,
Tam letargnik żyjący swego ciała strawą
Ze szklanymi oczyma, z gębą wyschłą, krwawą,
Gryzący ręce. Patrzcie, jak ten mur podrasta.
Otóż to z sercem prawie kamiennem niewiasta,
Żona, co dba o siebie, o honor kobiécy,
Zabójczyni zrobiona nagle z nierządnicy.
Synu! Co wacan myślisz o swojéj macosze?

Podczas tych słów, mularze już część wejścia zamurowali. Amelia, która stała zamyślona, rzuca się do nóg wojewody.

AMELIA.

Panie! mój mężu...

WOJEWODA.

Aśćka mi rozkazuj.

AMELIA.

Proszę,
Pozwól mi, nim alkowę zamurują...

WOJEWODA.

Aha!

AMELIA.

Ja muszę tam wejść, mężu!

WOJEWODA.

Już aśćka się waha,
A przysięgłaś!

AMELIA.

Ja muszę tam wejść, nim dokończą.

WOJEWODA.

Jak waćpanią Bóg złączy — ludzie nie rozłączą.
Gotowi zamurować.

ZBIGNIEW, na stronie.

Dzień sądu prawdziwy.

AMELIA, pokazując na alkowę.

Panie, tam jest...

WOJEWODA.

Ha — jest kto? i cóż?

AMELIA.

Tam jest żywy...

ZBIGNIEW na stronie.

Kto? czy tam król?

AMELIA.

Konterfekt méj nieboszczki matki.

WOJEWODA.

Na Boga ran siedmioro, wybieg bardzo gładki!
Precz od kolan! a wy tam spieszniéj z tą robotą.
Rozwiedziemy się, pani; tę obrączkę złotą
Odbierzesz, cudzołożna żono, w konsystorzu.
A teraz mi acani utoniesz jak w morzu.
Pod klucz serce, nie będziesz mnie więcéj hańbiła.

CHMARA.

Panie, mur dokończony.

WOJEWODA.

Zamknięta mogiła.
Na murze krzyż napisać.

ZBIGNIEW znajduje wachlarz rozłożony, na którym był Mazepa o swojém przyjściu napisał. Czyta i chowa wachlarz.

O! nieba, co widzę.

WOJEWODA.

Chodź stąd waćpani, nie płacz, ja z łez próżnych szydzę,
Precz stąd wszyscy, tu będzie królewska kaplica;
A za ołtarzem straszna, trupia tajemnica,
Między tobą, niewierna, a piekłem chowana.
O! straszliwa to ściana! bolesna to ściana!

Do Chmary.

A wy, co tam byliście tego muru bliscy,
Milczcie. *Et requiescat in pace!* I wszyscy
Precz stąd.

Wychodzą wszyscy. Wojewoda ostatni żonę za rękę na pół omdlałą wyciąga.

AKT IV.

SCENA I.

Pokój ciemny — okno jedno z kratami — Amelia sama, potém Chmara.

AMELIA.

Z wszystkich nędz — najstraszniejsze ludzkie zapomnienie.
O! jak posępnie błyszczą księżyca promienie!
Już druga noc, jam ani godziny nie spała.

CHMARA, wchodząc z wody dzbankiem i z chlebem.

Czy pani będzie jadła?

AMELIA.

Nie.

CHMARA.

Pani płakała?

AMELIA.

Nie. Czy nikt się nie pytał ciebie, panie Chmara,
Jak ja się mam?

CHMARA.

Nikt, pani.

AMELIA.

I nikt się nie stara
Za mną? nikt się nie wstawia? Czy jegomość w zdrowiu?
Powiédz, że tu od tego na dachu ołowiu
Zimno mi, ja mam febrę.

CHMARA.

Czy przysłać doktora?

AMELIA.

O! nie, jeszcze nie jestem ja śmiertelnie chora,
Tylko mi zimno. Czy tu ksiądz nie przyjdzie do mnie,
Ksiądz spowiednik?

CHMARA.

Pan się dziś rozgniewał ogromnie
Na panicza, godzinę się kłócili z synem.

AMELIA.

Ach!

CHMARA.

Panicz się za księdzem ujął kapucynem,
Lecz bardzo było trudno dojść do ładu z panem,
Wreszcie zezwolił. Oto chleb i woda z dzbanem,
Niech się pani posili, wszystko dobrze będzie.
Przypomniały dziś panią panu dwa łabędzie,
Co przypłynęły po żer aż pod okno szklane,
Pan je chciał spłoszyć.

AMELIA.

Moje łabędzie kochane.

CHMARA.

Pan je chciał spłoszyć, nawet już ze strzelby mierzył,
Ale pan Zbigniew ręką po lufach uderzył

I nabój poszedł na wiatr. Jegomość już wzdycha;
Wczoraj ledwo przy stole wziął się do kielicha,
Nie mógł dopić i ryknął jak lew — wstał od stołu
I chciał odbić alkowę... ba — pańskiemu czołu
Coś cięży, coś dolega — wstyd samego siebie.
Ja go znam — on się prędzéj pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu, to panisko dumne,
Ja go znam; taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.
Ja go znam, to dotkliwy jest pan na honorze.

AMELIA.

Panie Chmara, acana słowo wiele może.
Proś acan jegomości i nalegaj na to,
Aby zajrzał w alkowę.

CHMARA.

Juściż, całe lato
Nie przejdzie tak, wypłynie na wierzch tajemnica,
Ale teraz nie można.

AMELIA.

Czemu?

CHMARA.

Tam kaplica,
Gdzie był pokój imości, ołtarz gdzie alkowa,
Królisko się tam ciągle z brewiarzem chowa.
Wpadł w religijny afekt i sprowadził popów
Unitów.

AMELIA.

Panie Chmara, zbierz ty kilku chłopów.
Pójdź w nocy, każ rozwalić mur, pan się przekona,
Że niewinną posądził, że ja wierna żona.
Ty nawet panu wielką uczynisz przysługę.

CHMARA.

Ale, pani, tam człowiek jest — ja w tę framugę
Zajrzałem, stał tam blady jak trup.

AMELIA.

Matko Boska!
Czy to jest urok jaki! Panno Częstochowska!
Czy jaki zły duch ludziom tym pokazał lice.
Człowieku, ty widziałeś szatana źrenice,

Błyszczące się w ciemności po nad mojém łożem.
Idź precz! idź, jesteś kłamcą.

Chmara wychodzi.

SCENA II.

AMELIA sama.

O! gdyby tym nożem
Można się przebić i być spokojną i zasnąć!
Nie, nie, nie mam odwagi — ja muszę zagasnąć
Zwolna, wypiwszy do dna ten kielich goryczy.
Cóż to? słychać po wschodach znów krok tajemniczy?
Ktoś idzie, ksiądz zapewne.

SCENA III.

AMELIA, ZBIGNIEW wchodzi zakapturzony, w księdza habicie.

AMELIA rzucając się ku niemu.

To anioł z obłoków.
Zbigniewie, jam poznała szelest twoich kroków!
To ty!

ZBIGNIEW.

Precz! precz! — zdaleka odemnie.

AMELIA.

Co słyszę?
To musi być kto inny.

ZBIGNIEW odsłania twarz.

To ja.

AMELIA.

Gniew kołysze
Twoją wiotką postacią jak znikomym cieniem.
I z czémże ty przyszedłeś do mnie?

ZBIGNIEW.

Z potępieniem.

AMELIA.

Za cóż ty mię potępić chcesz? Ty cały drżący.

ZBIGNIEW.

Przyszedłem cię potępić jak umierający,
I przekląć — i przed tobą trupem się położyć,
Lecz pierwéj przekląć.

AMELIA.

Skądże ci mnie biédną trwożyć!
Dla czego ty przeklinać mnie masz? Wszak ty jeden
Nie masz prawa przeklinać.

ZBIGNIEW.

O! tu mi był Eden.
Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia,
Hymnem anielskim twoje tłumione westchnienia,
Twoja dusza połową méj duszy weselszą;
Nie mówiłem ci tego, pókiś była bielszą;
Teraz ty czarna, ciebie już słowa nie splamią,
Choćbym powiedział: kocham — oczy twoje kłamią,
Serce twoje jest brudne, usta twoje drżące
Zdają mi się tak na mnie oddychać gorące,
Że mi się czoło pali i więdnie. O! matko,
Zdaleka stój. Przyszedłem się na twoję gładką
Twarz zapatrzeć i ludzkiéj piękności urągać.
Nie śmiéj już po mnie żadnéj przysięgi wyciągać,
Bo już nie mógłbym przysiądz, żeś nie jest fałszywą;
Chociaż ty mnie przysięgać nauczyłaś krzywo,
Ja ciebie teraz czegoś nawzajem nauczę.
Chodź tu, powiem na ucho. Utnij włosy krucze,
I powieś się, lub — słuchaj, zakryj twarz włosami,
Bo się nie płonisz.

AMELIA.

Zbigniew!

ZBIGNIEW.

Ty mię raz już łzami
Oszukałaś, więc oszczędź sobie teraz mdłości,
O! jak ja tę kobiétę kochałem! — litości!
O! jak ja tę kobiétę kochałem!

AMELIA.

Zbigniewie.

ZBIGNIEW.

Ktoby myślał, że ona nic o żądzach nie wie!
Ja sam myślałem, głupi! Teraz dobrze pomnę,
Jakie mi ona nieraz uściski nieskromne,
Jakie gorące usta na czole mi kładła.
Drżę cały, kiedy myślę — i tego widziadła
Nie mogę teraz wygnać z pamięci, nie mogę!
Śmiała się ze mnie w duchu! Chodź, dam ci przestrogę:
Nie kochaj się ty nigdy w człowieku cnotliwym,
Bo to jest miłość długa i głupia, i żywym
Nie przystoi; lecz musi być wreszcie wyśmianą.

AMELIA.

Jakżem się ja za niego modliła dziś rano!

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELIA.

Czy wiesz ty, co do mnie mówiłeś, Zbigniewie?

ZBIGNIEW.

Czy ty go bardzo kochasz?

AMELIA.

Kogo?

ZBIGNIEW.

O! żarzewie
Piekielne! ona pyta kto? — wiesz! twój kochany!
Wiesz, o! ten podły... o! ten tchórz, zamurowany.
Czy ty go bardzo kochasz? mów! mów! klnę się duszą,
Że się rączęta twoje w moich rękach skruszą,
Jeśli nie powiesz — wyznaj, nie potrzeba szlochać,
Ty zamurowanego musisz bardzo kochać,
Bo ty myślisz, że się on poświęcił za ciebie?
Kłamstwo! omdlał ze strachu, to tchórz, jak Bóg w niebie!
To tchórz, ze strachu omdleć musiała gadzina.
Ale gdy się obudził, to ciebie przeklina,
To pierś drze, i przeklina; ręce w piersiach broczy,
Ot i chciałby tę swoję krew ci rzucić w oczy,
Tu, gdzie te łzy po czystym migają lazurze.
On cię przeklina, ręce swe krwawi na murze,

Potém je niesie do ust z głodu i krew pije,
Ten człowiek teraz przekleństwami żyje.

Zamyśla się.

Ona go będzie wiecznie kochać umarłego...
To sęk, jak wydrzeć marę z pamięci... bez tego
Zemsta się jak skorpion własnym jadem chłoszcze.

Ze smutkiem i skargą.

Amelio! o Amelio! chodź tu! ja zazdroszczę
Tamtemu człowiekowi i zawiść mię dręczy...
Amelio! ja jęczałem, jak on teraz jęczy,
Jak on, patrzaj! pogryzłem z bolu ręce obie,
Ja mu będę zazdrościł spokojności w grobie
Tak, jak teraz zazdroszczę męczarni i głodu...
Daj mi ten nóż... to serce chce zimnego lodu,
Obaczysz, jak ja umiem kochać, cierpieć, konać,
Daj nóż! Ja ciebie muszę, kobiéto, przekonać,
Że gdybyś mnie kochała, to jabym był godny
Nawet miłości wiecznéj.

AMELIA.

Stój! nóż nadto chłodny,
Ja ci go mojém sercem rozdartém ogrzeję;
O! jak ten człowiek straszny! — serce we mnie mdleje.
Zbigniewie! czy ty pewny, że tam był kto taki?

ZBIGNIEW rzuca jéj wachlarz.

Patrz!

AMELIA.

Wachlarz mojéj matki.

ZBIGNIEW.

Czytaj! tam są znaki,
Po których ja poznałem, że był.

AMELIA.

Chryste Panie!
Prowadź ty mnie, przed królem uczynię wyznanie.
Prowadź mię! ja niewinna, lecz tam człowiek kona.
Potém umrę ze wstydu i w twoje ramiona

Upadnę skonać. — Ty mię uwierzysz niewinną.
O! przed królem ujrzycie wy mnie teraz inną,
Ja was tam dobrze wszystkich i ciebie przekonam,
Ja wam opowiem wszystko, co wiem, potém skonam.
To może wy się przecie zmiękczycie litością.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, WOJEWODA.

Waćpani masz przed królem stanąć jegomością
Ze mną! Rzecz się odkryła.

Wyciąga za sobą żonę.

ZBIGNIEW.

Bronić ją! niewinna!

Zrzuca habit księdza i wychodzi.

SCENA V.

Pokój jak w trzecim akcie przemieniony na kaplicę. — KRÓL stoi na stopniach ołtarza. — Kilku KSIĘŻY. Potém WOJEWODA, AMELIA, potém ZBIGNIEW.

KRÓL.

A! to, święci ojcowie, jakby powieść gminna,
Mury jęczą — trudno tu strachom nie dać wiary...
Coś mi się bardzo kręci wojewoda stary.
Żona jego zniknęła — może tu zamkniona.

Wojewoda wchodzi z Amelią.

WOJEWODA.

A ot mi, królu, zmartwychwstała żona.

KRÓL.

Lecz tam jęk słychać było, przeniknął mi kości.
A, panie wojewodo, gdzie jest syn waszmości?

WOJEWODA.

Nie wiem!

Wchodzi Zbigniew.

A ot i Pan Bóg zesłał mego syna.

KRÓL.

To rzecz dziwna! Ojcowie święci, to kraina
Zaczarowana — duchy wywołane stają.
Mury te, wojewodo, dziwne rzeczy tają,
Rozkazujemy zaraz tę ścianę rozwalić.

WOJEWODA.

Wolałbym, miłościwy panie, zamek spalić,
Za mur ten nie zajrzawszy — lecz gdy taka wola...
Panie Chmara, rozbić mur... Panie Chmara, hola!
Krzyknij mi tam na ludzi, niechaj przyjdą z młoty.
Lecz, miłościwy panie królu, ten skarb złoty
Będzie należeć do mnie... cały skarb cacany —
Bo to skarb przez małżonkę moję pochowany.

KRÓL.

Rozbić mur.

Ludzie rozwalają mur, jeden z księży wchodzi do alkowy.

Cóż tam?

KSIĄDZ.

Jakiś człek bez zmysłów leży.

KRÓL.

Wynieść go tu!

WOJEWODA.

Lecz, królu, on do mnie należy.

SCENA VI.

CIŻ SAMI, MAZEPA wyprowadzony z alkowy przez księdza.

KRÓL.

Co to znaczy? mój własny paź — to pan Mazepa.

WOJEWODA.

Fortuna mi, jak widzisz, królu, daje ślepa
Twego pazia za trupa.

KRÓL.

Ocucić go winem.
Na Boga! Wojewodo, z twoim panem synem
Odpowiecie przed sądem i przed trybunały!

WOJEWODA.

To mi więc, mości królu, jest krok nazbyt śmiały
Zabić cudzołożnika?

KRÓL.

Rzecz się ta wyświeci...
Gościnny mi się wcale zdaje dom waszeci!
Panie Mazepo, cóż się waćpanu wydarza?

MAZEPA.

Mości królu, wychodzę z pod tego ołtarza
Jak Lazarus, rzecz całą jak była odsłonię,
A przynajmniéj, że honor téj pani obronię,
Która niewinnie męża posądzenie znosi.
Potém paź, kogo trzeba pokornie przeprosi,
A komu trzeba — mignie pod oczy żelazem.
Wyprawiony przez ciebie, panie mój, z rozkazem,
Wziąwszy za nadrę listy, groźby i odprawę,
Musiałem tu załatwić honorową sprawę...
W pojedynku zaś owym, przez traf oczywisty,
Przeciwnik mi otworzył szablą twoje listy,
A ja w otwarte, jak paź ciekawy...

KRÓL.

Mazepo!

MAZEPA.

Listy te były takie, żem się tu na ślepo
Wrócił do zamku. — Króla chcąc uniknąć twarzy,
Wkradłem się do ogrodu, nie spotkałem straży,
I długo ważąc w myślach owego wieczora,
Kogoby w mojéj biédzie wziąć za protektora,
Albowiem mnie to srogie groziło więzienie,
Wpadłem, bo tak nieszczęsne chciało przeznaczenie,
Do pustego pokoju téj pani. — Wtém słyszę,
Ktoś nadchodzi — osób dwie — kilka słówek piszę
Na wachlarzu jéjmości o prezencyi własnéj,
Potém z trwogi do ciupy téj wpadam niejasnéj
I zapuszczam firanki. — Moja dotąd wina! —
Z wojewodzicem była to wojewodzina.
Jużem chciał łeb wychylić jak ryba z niewoda,
Gdy oto wpada z ludźmi zbrojny wojewoda,

Krzyczy, grzmi, wietrzy — zwietrzył mnie za tą firanką;
Już miałem wyjść i moją szabelką acanką
Drogę sobie otworzyć i wrota kozacze...
Lecz słucham — ona, panie miłościwy, płacze;
Ona, kiedy mąż wrzeszczy i tupce ciemięga,
Na krzyżu mu najświętszym Chrystusa przysięga,
Że mnie w alkowie nie ma. — Jakże tu wyjść było?
Przysięgła — jam się kurczył i serce mi biło:
Już myślałem, że burzę przeczekam bez szwanku.
Wtém wojewoda ludzi zawołał z krużganku...
Przyszli — ja słucham — włosy mi wstają na głowie,
Każe mnie kamieniami zawalić w alkowie...
Walą głazy — ja słucham — stosują do węgła...
Lecz jakże było, królu, wyjść? — ona przysięgła!
Téj kobiécie by nigdy wtenczas nie wierzono...
Nie wyszedłem. Lecz jakże drżało moje łono,
Gdy usłyszałem już mur rosnący przedemną.
Zamurowali... Ciszę uczułem podziemną..
W oczach stanęły różne młodości obrazy,
Wyciągnąłem przed siebie ręce, czuję głazy
Zimne, nieporuszone .. zacząłem żałować,
Że się tak marnie dałem żywcem zamurować...
I zdjął mię strach, o głodzie pierwsza myśl nadbiegła;
Gdzie zajrzę, ciemność; czego się dotknę, to cegła.
I zdjął mię strach i strach mi był bratem do końca.
Nie wiem, wiele tych godzin minęło bez słońca,
Jużem się rezygnował na wszelkie boleści,
Wtém słyszę, coś nademną jęczy i szeleści;
Szukam, przebiegam ręką drżącą czarne ściany,
Znalazłem... to kanarek był zamurowany
I zdychający z głodu. — Te skargi piskłęce,
Trzepiotanie się jego, gdy konał na ręce,
Taką mię zdjęły zgrozą, że padłem bez ducha.

KRÓL.

Byłbyś tam waszeć zamarł, jak w bursztynie mucha,
Gdyby nie ja. — Nad czémże dumasz, wojewodo?
Nie widzimy, aby to było z jaką szkodą
Waścinego honoru, że ten świszczypała
Zmartwychwstał.

WOJEWODA.

Co?

KRÓL.

Ta rzecz się przez omyłkę stała.
Paź mówi prawdę, mógłbym pokazać te listy,
A obaczyłbyś waćpan, że miał zamiar czysty,
Że pragnął owszem honor waściny ocalić.

WOJEWODA.

Na Boga! To mnie, królu, na nic się nie żalić?
Być ukontentowanym, z hańbą zostać wiecznie...
Nie prawdaż?

KRÓL.

Ja tu hańby nie widzę.

WOJEWODA.

To grzecznie
To, miłościwy panie, dowód twojéj łaski...
Więc ty hańby nie widzisz? Ja stawiam zatrzaski
Na wilka, a złowiłem wróbla i czyżyka;
Pokój chcę zamurować — i cudzołożnika
Zamurowałem. — Smutny to wypadek, panie! —
A teraz niech się ze mną wola boska stanie;
Ale ja tego pazia już mam i nie puszczę.

KRÓL.

Co? i ty śmiesz?...

WOJEWODA.

Gdy jeleń wejdzie w moję puszczę
To, mości królu, jeleń mój, ja dobrze strzelam.
Ja tu was teraz starą męką rozweselam.
Śmiéjcie się! i ty, żono, śmiéj się, pókiś żywa...

KRÓL.

Cóż to za zemsta w starym twarda i straszliwa!

MAZEPA.

Chodzi mi o tę panią, co u waszéj mości
Nie znajduje obrony, ani też litości...

Któż poczuje tu obelgom na zęby wydana?
Oto miłościwego mi zaklinam pana,
Aby temu, co powiem, chciał dodać powagi
Królewskiém przyzwoleniem. Oto jest miecz nagi,
Na tym pałaszu honor niewiasty spoczywa:
Kto śmie ją lżyć, niech szabli z jaszczuru dobywa,
Ja żądam sądu Boga.

KRÓL.

Zezwalamy z żalem.

WOJEWODA, dobywając szabli.

Chodź się bić!

KRÓL.

Ty sam, starcze?

WOJEWODA.

Ja będę rywalem
Tego gacha, co broni niewiernicy sprośnéj;
A jużby też był Pan Bóg bardzo nielitośny,
Gdybym ja go nie zabił.

ZBIGNIEW.

Ojcze, zdaj to na mnie;
Lecz jeżeli ja zginę, to wtenczas przynajmniéj
Uwierz ty w jéj niewinność... Niechaj żyje błoga,
Krwią ludzką od potwarzy broniona przez Boga.
Przyrzekasz mi? tu boski cios nie może minąć...
Przyrzekasz mi?

AMELIA do wojewody.

Nie pozwól mu iść, on chce zginąć.

WOJEWODA.

Precz! on zwycięży — a ty...

Odpycha ją.

No, synu, do szabli!
Zbigniewie! ot mi teraz szepcą jakby dyabli,
Że ty się pomścisz za mnie. Czy czujesz to w sobie?
Jeżeli nie, to zostań.

ZBIGNIEW.

Nie myślę o grobie!
To za wcześnie, za wcześnie. Cóż, panie Mazepo,
Co się tak mamy rąbać i może na ślepo
Przy księżycu, albo li przy pochodni blasku;
Proponuję broń palną. Miejsce w bliskim lasku...
Czekam na pana.

MAZEPA.

Chodźmy!

ZBIGNIEW.

A ha, mości panie!
Nim się tu z nami wola Pana Boga stanie,
Jako rycerz osoby, któréj cześci bronisz,
Warto, że się jéj kornie do kolan ukłonisz,
Że ciebie i obrończą broń pobłogosławi...

WOJEWODA.

Paź przed nią?...

ZBIGNIEW.

Jeśli winna, to pazia odprawi
Z błogosławieństwem zguby... Bóg winnym nie sprzyja.

Mazepa klęka przed Amelią, która stoi nieruchoma.

WOJEWODA, do Amelii.

Słyszysz! Błogosławieństwo waćpani zabija,
Błogosław go! Cóż, martwa jak kamień, daj rękę!

AMELIA, wyrywając rękę Wojewodzie.

Czemu mnie waćpan ciśniesz?

Błogosławiąc Mazepę.

Na Chrystusa mękę,
Bądź błogosławiony. A tamten? a drugi?...

WOJEWODA.

Tamtego błogosławił ojciec... Hej! niech sługi
Wyjdą w las z pochodniami; poświęcić synowi.

ZBIGNIEW.

Niech nikt nie idzie za mną.

WOJEWODA do Zbigniewa.

Zamorduj! — strach mrowi
Przenika mnie... Zamorduj! — mierz w serce głęboko.

Zbigniew całuje ojca w rękę i daje znak Mazepie. Wychodzą oba.

SCENA VII.

CIŻ SAMI, prócz Zbigniewa i Mazepy.

KRÓL do Wojewody.

Osłupiałeś mi coś waszmość — w ziemię wlepił oko.
Pomyśl, jeszcze czas cofnąć tych szaleńców obu.

WOJEWODA.

Już nie czas, moja krzywda domaga się grobu...
Już nie czas, mości królu! Wszak tam winny padnie.
A mój syn... ot mi czoło ni trochę nie bladnie;
Mój syn przeciwko mojéj cześci nie zawinił.
Niesprawiedliwość by to sam Pan Bóg uczynił,
Gdyby mój syn nie wrócił. Cyt, proszę o ciszę;
Proszę... o wielką cichość...

Chwila milczenia, słychać strzał z pistoletu.

KSIĄDZ.

To sąd Boga.

WOJEWODA.

Słyszę. —
To mój syn strzelił... drugi nie strzela. Nie strzeli...
Już mu się czoło śmierci okropnością bieli,
Już serce pękło... leży u stóp mego syna.
Bądź pochwalony, Boże! Twoja to przyczyna,
Najświętsza Panno, ciebie moje serce sławi!
Jakże się nad tym trupem mój syn długo bawi...
To dziwnie, strzał był tylko jeden mego syna,
A po nim już ogromna ubiegła godzina —
Trup musiał umrzeć .. czemuż tu nie widać mego...

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, MAZEPA wchodzi z pistoletem w ręku i staje przy królu.

WOJEWODA.

Gdzie jest mój syn? gdzie syn mój? Gdzie mój syn? Dla czego
Wy tacy bladzi? — W imię przenajświętszéj Panny
Co to jest? — Pokaż mi piersi twoje?

Biegnie do Mazepy i rozdziera mu żupan na piersiach.

Nie ranny!...
Mój syn zabity! — Chłopiec mój zamordowany!!!

Wali się u stóp króla twarzą do ziemi.

KRÓL.

Nie ruszać go, nie mówić nic, bo takie rany
Same się muszą goić — i łzy mają swoje.

WOJEWODA.

Gdzie moje dziecko! ja chcę widzieć dziecko moje!

Wychodzi.

KRÓL.

Iść za nim!

Jeden z księży wychodzi za Wojewodą.

SCENA IX.

CIŻ SAMI, prócz Wojewody.

KRÓL do Mazepy.

Czy się wszystko odbyło z honorem?...

MAZEPA.

Nie pytaj, najjaśniejszy panie; on był wzorem
Szlachetności i wdzięku, śmierć miał bardzo smutną.
Zajmij się ty jéj losem; patrz, blada jak płótno,
Posąg, który się trzyma strętwieniem boleści...
Jéj ducha anioł teraz podnosi i pieści...

A ona mu rozpaczy ciszą odpowiada.
Patrzcie, powraca stary, wraca mara blada...
Nie zatrzymujcie, idzie obłąkany, puśćcie!

SCENA X.

CIŻ SAMI, WOJEWODA wraca niosąc w ręku chustę zbroczoną.

WOJEWODA.

Oto me łzy i syna mego krew na chuście.

AMELIA z obłąkaniem postępuje ku niemu.

To dla mnie.

WOJEWODA rzuca jéj w twarz chustkę krwawą.

Masz ją w oczy.

AMELIA.

A!... A!...

Pada na wznak omdlała.

KRÓL.

To dzień sądny!

WOJEWODA.

Królu! proszę na pogrzeb, a będzie porządny...
A ty mi, panie, wszakże nie odmówisz, sądzę,
I ten paź także. U wrót zasunąć wrzeciądze!
I ten paź także... Czarną wywiesić chorągiew...
Tokaju z beczek zaraz utoczyć do stągiew,
Będzie stypa...

KRÓL, na stronie.

On, widzę, mię tu więzi gwałtem.

WOJEWODA.

Dla oszczędności, grzebać będziemy ryczałtem.

AKT V.

SCENA I.

Sala w zamku, WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Czy syn już w trumnie?

CHMARA.

W trumnie już panicz spoczywa.

WOJEWODA.

Czy moja żona jeszcze nie umarła?

CHMARA.

Żywa,
Ale już jéj nie długo.

WOJEWODA.

Teraz, panie Chmaro,
Cokolwiek się tu stanie z moją głową starą,
Waćpan mię nie opuścisz?

CHMARA.

Przysięgam na krzyżu.

WOJEWODA.

Więc ty widziałeś wojsko kwarciane w pobliżu?

CHMARA.

Jadąc po trumnę, wojsko spotkałem i działa.
Tu szli.

WOJEWODA.

Stąd o dwie mile?

CHMARA.

O dwie.

WOJEWODA.

Bogu chwała,
Dosyć mam czasu. Król chce wyjechać koniecznie,
Ja króla puszczę; lecz paź tu zostanie, wiecznie,
Choćby mi spadł łeb siwy. Idź, czekaj rozkazu.

Chmara wychodzi.

Proszę, nie zapłakałem jeszcze ani razu,
Tak mi ta zemsta wszystkie łzy w oczach wypiekła.
Lękam się tylko, by mi już z rąk nie uciekła.

SCENA II.

WOJEWODA, KRÓL ubrany jak do podróży, MAZEPA — kilku pokojowych królewskich.

KRÓL.

Mój wojewodo, z naszą by to chęcią było
Nad twojego chłopaka zapłakać mogiłą,
Bo to nam i pancerny tęgi wojak ubył.
Zaprawdę, że to smutna rzecz! on wczoraj tu był,
Śmiał się z nami, rozmawiał, dziś już gdzieś przed Bogiem,
A na nas tu spogląda z litością, i głogiem
Nazywa róże świata. To rzecz jest głęboka,
Kiedy tak nagle młodość nam schodzi z przed oka
I wynosi swe wszystkie za ten świat nadzieje.
Dziwnie, że się i kiedy człowiek głośno śmieje,
Będąc na takim świecie; lecz cóż robić z dolą!
Stary mój druhu, jak ci te rany przebolą,
Zapraszamy cię do nas, do stolicy, w gości.
Dalipan, że mi smutno rzucać dom waszmości,
Ale są interesa Rzeczypospolitéj
I te mnie bardzo naglą.

WOJEWODA.

Pogrzeb nie odbyty
A ty, panie, wyjeżdżasz?

KRÓL.

Wierzaj, wojewodo,
Że gdyby to nie było z wielką kraju szkodą...

WOJEWODA.

Ot — na co próżno gadać, miłościwy panie,
Ty wyjeżdżasz; lecz syna mego kat zostanie.

KRÓL.

Na Boga! mości panie, na co?

WOJEWODA.

By zdał sprawę.

KRÓL.

Cóż to? czy waszmość sądną chcesz postawić ławę?
A niechże się coś waszmość na króla ogląda,
Czy waszeć męki, czy waść krwi człowieczéj żąda?
Na Boga! a to może, gdy mi pryśniesz w oczy,
I waćpana się głowa po trumnie potoczy.
Śmiałżebyś tutaj zrobić rokoszową próbę?
Czy waść myśli uwięzić królewską osobę?

WOJEWODA.

Król stąd wyruszy — ale bez pazia wyruszy.

KRÓL.

Zobaczymy, czy śmiesz nas trzymać? Waść się puszy,
Ale waść nie śmie.

WOJEWODA.

Żadnéj nie użyję siły,
Ale ci, królu, drogę zastąpią mogiły.

KRÓL.

Do szabel, mospanowie.

WOJEWODA.

Moja w pochwie leży.
Kazałem zaszpuntować gardła mych moździerzy.
Ja się nie oprę siłą; tylko w moim dworze
Nieprzestąpiony jeden próg tobie położę..
Próg dla królewskiéj nogi.

KRÓL.

Ba — gadzino dumna!

Wojewoda wychodzi do bocznego pokoju i wraca, niosąc na ramionach trumnę syna, którą w drzwiach stawia poprzek.

WOJEWODA.

Oto jest, mości królu, syna mego trumna,
Oto próg, mości królu, święty trup człowieka.
Teraz że, najjaśniejszy panie, ojciec czeka.
Niechaj twoja ostroga to ciało ubodzie,

Niech będzie każda hańba znaną w moim rodzie.
Daj pazia, lub idź, panie.

KRÓL.

Odsuń tego trupa.

WOJEWODA.

O! teraz dobrze moja zamknięta chałupa.
Cóż, panie paziu, ze mną zostajesz? czy zgoda?
Ja waćpana dzień jeden chcę mieć. Dzisiaj środa?
W piątek wypuszczę, żywcem wypuszczę, niech zginę.
Lecz cię żywego będę miał, choć przez godzinę.
Na Matkę się najświętszą klnę, że wyjdziesz żywy,
Ja tylko chcę mieć ciebie w rękach.

MAZEPA na stronie.

O! straszliwy.
W ręce mię chce wężowe owinąć jak bluszcze.

WOJEWODA do króla.

Przysięgam, panie, że ci go żywcem wypuszczę.

MAZEPA do króla na boku.

Panie, zostaw mnie, sam jedź. Twoje szyki blisko.
Przyjedziesz tu, działami otoczysz zamczysko;
Mnie się tu nic nie stanie, król stracisz powagę.
Mam szczęśliwe przeczucie, będę miał odwagę.
Król wrócisz za godzinę.

KRÓL, namyśliwszy się, do wojewody.

O! starcze zacięty,
Ja ci pazia zostawiam; lecz za jeden zdjęty
Włosek z niego — za jedną plameczkę na cześci,
Ty mi odpowiesz głową.

WOJEWODA.

W tym domu boleści
Paziowi będzie dobrze.

KRÓL.

Zobaczym się, stary.

Wojewoda trumnę bierze na ramiona, król i pokojowce wychodzą.

SCENA III.

MAZEPA, potém Chmara i słudzy w żałobie.

WOJEWODA.

Nie wiem, czy do widzenia? tu szerokie mary,
Ja może pójdę z synem — tu śmierć ludzi ściga.
O! patrzajcie, jak człowiek krzyż Chrystusa dźwiga,
Zmorduje się i gotów się powalić trupem.

Kładzie trumnę na środku sali.

MAZEPA na przedzie sceny sam z sobą gada, Wojewoda zaś nad trumną stoi i daje rozkazy.

Zostałem się więc teraz królewskim okupem.
Stary zda się, że nie dba, ani na mnie patrzy.
Lecz się w nim żółć gotuje strasznie, coraz bladszy,
Coś żuje, jakby zemstę żuł.

WOJEWODA.

Hej! panie Chmara.

Wchodzi Chmara i słudzy.

Ustawić tu katafalk -- trupów będzie para.

MAZEPA.

Zimno mi trochę.

WOJEWODA.

Rzędem postawić gromnice.

MAZEPA.

Wolałbym jaką prędką śmierć — jak błyskawicę.

WOJEWODA.

Na drugiéj trumnie także przybić moje herby.

MAZEPA.

To nie dla mnie.

WOJEWODA do Mazepy, uderzając go po ramieniu.

Mospanie!

MAZEPA.

Co?

WOJEWODA.

Czy liczysz szczerby
Na tym suficie?

MAZEPA.

Patrzę na sufit bez celu.

WOJEWODA.

Stary dom.

MAZEPA.

Jeszcze potrwa.

WOJEWODA.

Dłużéj niż nas wielu.

MAZEPA.

Życie jest w ręku Boga.

WOJEWODA.

Waszmość mi pozwoli,
Że zostawię samego; jest to dom niedoli,
Ot zostawiam waćpana z nim.

Pokazuje na trumnę syna i do niéj mowę obraca.

A wstańże, śpiochu!
Wstańże i baw. Co, nigdy już? nigdy! Garść prochu!
Kilka desek i wszystko!

MAZEPA na stronie.

Biédny stary.

WOJEWODA.

Proszę,
Zostań waść z tym nudziarzem i baw się potrosze,
Jak można, aż powrócę.

MAZEPA.

Mam suplikę jedną
Do ciebie, mości panie.

WOJEWODA.

Co? masz matkę biédną?
Którą żywisz? ja dam jéj dławiącego chleba,
Jak waść umrzesz.

MAZEPA.

Tu mówić otwarcie potrzeba.
Syn twój — wielmożny panie, nim skonał...

WOJEWODA.

Nim? daléj.

MAZEPA.

Kilka mi próśb ostatnich zdał.

WOJEWODA.

Starcze, oszaléj!
Syn go exekutorem zrobił testamentu.

MAZEPA.

Nie chcesz więc słuchać, panie, cierpliwie?

WOJEWODA.

Bez wstrętu.

MAZEPA.

Klnę się Bogiem i śmiercią, jak sądzę, już bliską,
Że mam czyste zamiary. To biédne chłopczysko
Polecił mi, bym widział się tu z matką panią.

WOJEWODA.

Ja ci ją przyślę.

Wychodzi.

SCENA IV.

MAZEPA, późniéj AMELIA.

MAZEPA.

Boże! o jakże mię ranią
Słowa tego człowieka, próżno — cierpieć muszę.
Wartoby też i na śmierć przygotować duszę,
I pomodlić się Pannie Najświętszéj przy trumnie.
To potém czoło moje będę nosił dumnie,
I będzie mi pomocą Przenajświętsza Trójca.

Wchodzi Amelia z rozpuszczonymi włosami, biało ubrana.

Otóż i ona .. Jaka ty blada?

AMELIA, dając mu znak, aby się nie przybliżał.

Zabójca!

MAZEPA.

Pozwól mi się przybliżyć, biédna moja pani,
Nie oddalaj mnie ręką, jesteśmy związani

Łańcuchem tajemnicy, jak trzy cienie bratnie.
Ja mam od umarłego zlecenia ostatnie.
On ciebie kochał, pani.

AMELIA.

On!

MAZEPA.

Śmierć jego sama ..

Amelia pokazuje ze zgrozą na Mazepę.

O! nie, na czole mojém krwi nie leży plama;
Jam go nie zabił.

Amelia postępuje krokiem ku niemu.

Słuchaj, gdyśmy byli w lasku
Brzozowym, przy księżyca ujrzałem go blasku
Bardzo smutnym i bladym. Co? serce ci bije?

Amelia daje znak ręką, aby mówił daléj.

On mi się rzucił pierwszy z uściskiem na szyję,
I położywszy głowę mi na pierś bijącą,
Milczał długo i rękę moję trzymał drżącą.
Niestety! w mojéj ręce była broń nabita!
Nagle strzał usłyszałem. Patrzę — on się chwyta
Rękami za powietrze i na wznak się wali.
Przybiegam — patrzę; mały sznureczek korali
Zbiegał mu po puklerzu i plamił stokrocie.
Otworzył oczy całe w księżycowém złocie,
I rzekł... przebacz! ty byłeś rycerzem zhańbionéj,
Ja ginę z ręki przez nią pobłogosławionéj,
Przebaczcie mi i razem pamiętajcie o mnie.
Potém zaczął pacierze mówić nieprzytomnie,
I zamknął oczy pełne łez — mówiąc o tobie.

Amelia zaczyna płakać.

O! płacz! o! płacz go, pani — ten, co leży w grobie,
Godzien jest teraz naszéj zobopólnéj cześci.
Amelio — oto jestem ci bratem boleści;
Jeśli kiedy ja biédny na dworze sierota...
Wszak nie masz braci? Jeśli więc biédna istota,
Dworskie pacholę, może być tobie pomocą?
Otom jest na kolanach.

AMELIA, kładąc ręce na głowie klęczącego pazia i nachylając się nad nim.

Niech ci drogę złocą
Matki Boskiéj anieli. Ja umierająca.

SCENA V.

CIŻ SAMI, WOJEWODA.

WOJEWODA chwyta za rękę Amelią i odrzuca ją od pazia.

Co? w obec trupa?

AMELIA.

Niech mię waszmość nie odtrąca,
Ja sama padnę — jestem otruta.

Chwiejąc się, idzie i klęka przy trumnie.

WOJEWODA.

To dumnie!
A nie kładź się waćpani tam, na dziecka trumnie,
Bo ją splamisz.

MAZEPA.

Okropność! Starcze, daj, niech skona.

WOJEWODA.

Co? trupie ty!

SCENA VI.

CIŻ sami, CHMARA, potém GONIEC od króla.

CHMARA.

Posłaniec króla.

WOJEWODA.

Śmierci wrona,
Niech wleci, ścierwo tutaj gotowe i świeże.

Goniec wchodzi.

GONIEC.

Król jegomość, spotkawszy kwarciane żołnierze,
Jest przed zamkiem i każe ci otworzyć wrota,
O dworzanina się też upomina.

WOJEWODA.

Złota
Wolność szlachecka, zamku nie dam. Niech król bierze,
Co zaś do dworzanina, na szlacheckiéj wierze
Król może polec, pazia mu wypuszczę żywcem;
Ale król będzie dobrym, mopanku, myśliwcem,
Jeśli go złowi.

GONIEC.

Mości panie, są harmaty.

WOJEWODA.

Da się to słyszeć — idź precz.

Goniec i Chmara odchodzą.

SCENA VII.

WOJEWODA, MAZEPA i AMELIA, umarła na trumnie.

WOJEWODA.

Moje antenaty,
Cieszcie się, ja ostatni nie bez szlachetności
Światowi daję habdank.

MAZEPA na stronie.

Mróz idzie przez kości.

WOJEWODA, zbliżając się do Amelii.

Cóż to? na trumnie! — czy to cudzołożne łoże?
Cóż to? waćpani milczysz. Co? ja ci otworzę
Piersi i tam zobaczę twój strach. Wstań obłudna.
Waćpani mi tak była zawsze czysta, schludna,
A teraz się nie lękasz popiołem powalać.
A wstańże imość i precz!

Zrzuca ją z trumny.

Jak się można skalać,
Dotknąwszy takiéj rzeczy rękami — pfu! zgroza!

Do Mazepy, który klęczy nad ciałem Amelii.

Słuchaj mię ty, urwany wisielcze z powroza!
Ty mi nie tykaj żony.

MAZEPA, wstając.

Starcze wściekły, siwy,
Żałowałem cię, sądząc, żeś był nieszczęśliwy,
Teraz pogardzam.

WOJEWODA.

Mówisz, paniczu, rozumnie.
Poczekaj — pogadamy — usiądę na trumnie.
No — i cóż?

MAZEPA.

Podłą duszę masz. Jać się nie boję.

WOJEWODA.

Ha...

MAZEPA.

Mogę na proch strzaskać podłe serce twoje.
Mogę cię tu otrętwić jak piorun, co miga.
Ot, wstań z trumny, bo trup się tam pod tobą wzdryga.

WOJEWODA.

Trup mego syna.

MAZEPA.

Syna twego trup się męczy,
On cię nie chce na sobie czuć, on w trumnie jęczy,
Wstań, hańbicielu zmarłych i upadnij czołem,
Bo ja tu jestem dla nich mścicielem aniołem.
Bo ja mam piorun w ustach i przez litość jedno
Nie rzucam go na twoję głowę siwą, biédną.
Na twoję nędzną głowę.

WOJEWODA.

Waszmość jesteś głupi.
Mówisz, a tu w około słuchają cię trupi;
A waszmość jesteś trzecim.

MAZEPA.

Jam się zdał na Boga.
Lecz wać mi, wojewodo, do nóg — bo wieść sroga,
Bo jak powiem — waćpana krew zabić gotowa.

WOJEWODA.

Mów...

MAZEPA.

A waćpan precz z trumny.

WOJEWODA.

Mów, bo twoja głowa...

MAZEPA.

Niechże więc ciebie żółcią zgryzoty napoję. —
Ot — kochało się razem do śmierci tych dwoje!

WOJEWODA, porywając się z trumny.

Łżesz!

MAZEPA.

A ty wstałeś z trumny.

WOJEWODA.

Przenajświętsza Trójco!

MAZEPA.

I twój syn był dla żony twojéj — samobójcą.

WOJEWODA.

Mój syn — czekaj, przypomnę, czy prawda. — Ohydni!

Słychać huk dział, kilka kul wlatuje do sali.

Idź waćpan stąd — tu kule latają... Bezwstydni!
Idź waść...

MAZEPA.

Powrócę z królem, mości wojewodo!
Syn twój chce leżeć przy niéj!...

WOJEWODA.

Precz!

MAZEPA.

Z waszmości zgodą
Oddalam się, cokolwiek mię czeka za progiem.

Wychodzi. — Słychać, że go w korytarzu napadają ludzie zbrojni. — Szczęk krótkiéj walki.

SCENA VIII.

WOJEWODA sam.

Biorą go, wiążą.. To mi to zemsta nad wrogiem!
Sznury się w mięso wpiły... koń ciało roztarga.
Zimno mi, synu! ojciec waszmości się szarga
We krwi, a ty się krwawéj nie przelęknij mary...
Co to jest? jak tu ciemno?... Jakie to poczwary

Całujące się głośno w ciemnym korytarzu?
A wstańże z trumny! wstańże, ohydny nędzarzu!
Powiédz, że to nieprawda!... każ się deskom spaczyć!
Wstań! otwórz ty się, trumno! ja gotów przebaczyć,
Jak mi do nóg upadniesz. — Łzy gotowe pociec...
O, trumno! ja ci gotów przebaczyć — ja, ojciec,
Jeżeli z ciebie wyjdą łzy nad moją nędzą.
Precz, trupy! Niech szatani was przez ognie pędzą!
Dosyć oszukiwania! i dosyć żywota!

SCENA IX.

WOJEWODA, CHMARA, później KRÓL na czele zbrojnych.

CHMARA.

Król. .

WOJEWODA.

Daj mi kindżał.

CHMARA.

Panie, ukorz się...

WOJEWODA.

Do błota?

KRÓL wchodzi.

KRÓL.

Wojewodo! dasz głowę...

WOJEWODA zabija się.

Ot masz... niech ją zwleką,
Lecz każ mnie od tych trupów pogrzebać daleko. .

Pada martwy.

1834.

KORDYAN.

CZĘŚĆ PIERWSZA TRYLOGII.

SPISEK KORONACYJNY.

Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

J. Słowackiego „Lambro".

PRZYGOTOWANIE

ROKU 1799 DNIA 31. GRUDNIA W NOCY.

Chata sławnego niegdyś czarnoksiężnika Twardowskiego w górach Karpackich. — Przy chacie obszerny dziedziniec, daléj skały. — W dole bezlistne bukowe lasy. — Ciemność przerywana błyskawicami. — Czarownica czesze włosy i śpiewa.

CZAROWNICA.

Z gwiazd obłąkanych,
Z włosów czesanych
Iskry padają
Jak z polskiéj szabli;
Widzą je dyabli,
Odpowiadają
Błyskami chmur.
Lecą — świst piór
Buki ugina.

Szatan zlatuje w postaci pięknego anioła.

SZATAN.

Ha, czarownico! czy biła godzina?

CZAROWNICA.

Która?

SZATAN.

Godzina, któréj żaden człowiek
Dwa razy w życiu nie słyszy.

CZAROWNICA.

Uderzy
Za dziesiątém mgnieniem powiek
Z babilońskiéj ludów wieży.

A gdy bić będzie, choć głucha, usłyszę.
Lecz gdzież są, panie, twoi towarzysze?
Leniwo śpieszą z błękitu podniebień;
Żółw, z którego to zgrzebło utoczył mi tokarz,
Prędzéj chodził...

SZATAN.

To zgrzebło... pokaż mi je, pokaż!
Łzy mi płyną... poznaję Twardowskiego grzebień,
On mię zgrzebłem tém czesał, gdy w psa wlazłszy skórę,
U nóg mu się łasiłem. Odejdź, moja pani;
Goście sproszeni zlecą się na łysą górę.

Czarownica odchodzi. — Szatan woła.

Szatani!

Błyska dziesięć razy i dziesięć tysięcy szatanów spada.

Spadł z nieba deszcz szatanów, niech ziemię polewa,
Jeśli jeszcze na ziemi są Edeńskie drzewa,
Niech rosną, to jesienią człowiek owoc zbierze...
Siadajcie! cóż, między wami
Nie widać Mefistofela?

ASTAROTH.

Zaszedł na grób przyjaciela,
Na grobie Twardowskiego odmawia pacierze.

SZATAN.

Taki się teraz zrobił czuły i pobożny
Jak poeta.. Lecz księżyc zabłysnął dwurożny,
Czas przystąpić do dzieła...

DYABLI.

Co nam król rozkaże?

SZATAN.

Obejrzeć trzeba koła w wiekowym zegarze,
Krwią dziécięcia namaścić gwichty i sprężyny;
Niech nam bije wyraźnie lata, dnie, godziny.
Przynieście go, postawcie... Co? czy nie zepsuty?

ASTAROTH.

Wszystkie koła, wszystkie druty
Całe, rdza wieków nie trawi;
Godzinnik z hostyi, co dławi,

Po nim żądło Lewiatana
Przez wieki wieków się toczy,
Na dnie wskazuje ząb smoczy,
Na godziny żądło osy;
I dotąd trwa nieprzerwana
Włosień siwa z kós szatana,
Któremu zbielały włosy
Od strachu, gdy grom z obłoku...
Pamiętacie?... A sprężyna
Z ojczyzny Tella, Kalwina,
Na ludzkiém wsadzona oku,
Chodzi jak na dyamencie.
W kółek i sprężyn zamęcie
Zamknięta grzesznika dusza
Kurant po kurancie jąka.
Noga kosacza pająka
Wszystkie sprężyny porusza
Jak wahadło...

SZATAN.

Dość opisów.
Gehenno, Astarocie, najstraszliwsi z bisów,
Jak asesory sądu, gdy zegar bić zacznie,
Liczcie wieki, dnie, lata...

Zegar bije, szatani liczą.

Świecie! świecie! świecie!
Wąż wieczności łuskami w okrąg ciebie gniecie,
Zębem zatrutym boki ogryza nieznacznie!
I wieki mrą nad tobą, zasypując pyłem
Umarłych pamiątek.
Ja widziałem twój początek.
Ta garść gliny powietrzem opasana zgniłém,
Ten trup chaosu w trumnie zamknięty błękitów,
Strawiony zgnilizną czasów,
Okrył się rdzami kruszców i kością granitów,
Porósł mchem kwiatów i lasów;
Potém wydał robaki, co mu łono toczą
I myślą.
Biada im! jeśli marzeń ziemią nie określą,
Kołem widzenia — biada, jeśli je przekroczą...

GEHENNA.

Królu, wiek dziewiętnasty uderzył.

SZATAN.

Astaroth
Niech liczy lata; może ten, co za obłokiem
Gromy ciska, chcąc wesprzeć jaki ziemski naród,
Może wiek który ludziom skrócił jednym rokiem,
Może ukradł szatanom dzień jeden, godzinę,
Więc się o nią upomnę u Boga,
Lub buntowną chorągiew rozwinę.
We mnie i w przyrodzeniu zgwałconém ma wroga.

ASTAROTH.

Tysiąc osiemset lat wybiło.

SZATAN.

Więc się koło tortury całe obróciło?
Każdy ząb jéj rozdziera, każda szruba ciśnie.
Teraz, gdy niebo zabłyśnie,
Błyskawica trwa dłużéj niż te wszystkie lata,
Zbiegłe męczarnią dla świata;
A każdy rok jak ślimak sunął się leniwo
Dla nędzarzy, dla głupich kochanków nadziei;
A gdy śliną osrebrzył ślad zbiegłéj kolei,
Ślizgał się po niéj człowiek pamiątką pierzchliwą.
Obłąkani w przeszłości żeglarze
Brali imię dziejopisów;
Sztuką ich było pisać wielkie kalendarze,
Pełne królewskich imion i dat i napisów.
Inni myślą ścigali treść myśli,
Filozofy — głęboko myśleli,
Aż nad ciemną przepaścią zawiśli,
Obudzili się, w przepaść spojrzeli
I zawołali — ciemno! ciemno! ciemno!
To hosanna dla nas szatanów,
To śpiew naszych kościelnych organów;
Kto myślał przez godzinę, jest lub będzie ze mną.
Wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany.

Mefistofel wchodzi.

MEFISTOFEL.

Nasz szatan prorokuje w cudotwornym stroju,
Ma płaszcz cały Woltera dziełami łatany,
I pióro gęsie Russa sterczy na zawoju.

SZATAN.

Mefistofelu! przyszła do działania pora,
Wybierz jaką igraszkę wśród ziemskiéj czeredy.
Już nie znajdziesz cichego wśród Niemców doktora,
Po szwajcarskich się górach nie snują Manfredy
I mnichy długim postem po celach nie chudną.
Więc obłąkaj jakiego żołnierza.

MEFISTOFEL.

Trudno!
Żołnierz, to ryba, która kruczkom nie dowierza
I ma rozsądek zdrowy; przy takiéj latarni
Obaczy kurzą nogę dyabła kusiciela.

SZATAN.

Samiż tylko rycerze ujdą nam bezkarni?
Słuchaj! wśród narodów wiela
Jednemu się ludowi dzień ogromny zbliża.
Idź tam, jego rycerze noszą krzywe szable
Jako księżyc dwurożny, jako rogi dyable;
I rękojeść tych kordów nie ma kształtu krzyża.
Pomóż im — oni mają walkę rozpoczynać
Taką, jakąśmy niegdyś z panem niebios wiedli.
Oni się będą modlić, zabijać, przeklinać.
Oni na ojców mogiłach usiedli
I myślą o zemsty godzinie.
Ten naród się podniesie, zwycięży i zginie;
Miecze na wrogach połamie,
A potém wroga myślą zabije,
Bo myśl jego ogniste ma ramię,
Ona jak powróz wrogi uwiąże za szyje
I związanych postawi na takim pręgierzu,
Że wszystkie ludy wzrokiem dosięgną i plwaniem.

MEFISTOFEL.

Królu! niechaj poszukam w dyabelskim psałterzu
Modlitwy na dzień, co się zowie zmartwychwstaniem;

Zmówię ją za ów naród... Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każdą rządu dziurę.
A gdy wzrośnie ich potęga,
Ten naród, jak piękna księga
W starą oprawiona skórę,
Pergaminowém świécić będzie czołem.

SZATAN.

Dobra rada, stańcie kołem,
Stwarzajmy ludzi do rządu.
Zawołajcie czarownicy...

Szatan daje rozkazy, dyabli pracują.

Żywioły ziemi i lądu,
W atmosferowéj szklenicy
Zamknięte i w jeden zlane,
Przez chemików połamane;
Kwasorody, gaz węglowy,
Zlewam w kocioł platynowy;
Dmijcie, duchy!...

Gromy biją w kocioł.

W żywioł ziemi
Dorzucić szpilek kaprala
Z główkami laku, którymi
Kreśli plany, królów zwala,
Szpilek cztérdzieści tysięcy
Rzućcie w kocioł...

DYABLI.

I nic więcéj?

SZATAN.

Nic...

DYABLI.

Coś z rozumu kaprala?...

SZATAN.

Nic.

DYABLI.

Skończony.

SZATAN.

Niechaj leci!

Gromy biją, duch ulatuje.

Stary — jakby ojciec dzieci,
Nie do boju, nie do trudu;
Dajmy mu, na pośmiewisko,
Sprzeczne z naturą nazwisko,
Nazwijmy od słowa ludu,
Kmieciów, czyli nędznych chłopów.
Teraz jak z niebieskich stropów
Rzućcie wodza ludziom biédnym.

DYABLI.

Panie! czy skończysz na jednym?

SZATAN.

Wrzucić do kotła dyament,
Dyament w ogniu topnieje;
Wylać sekretny atrament
Z Taylleranda kałamarza,
Co w niewidzialność blednieje
Od okularów rozsądku...
I dąć w kocioł... w kotła wrzątku
Obaczymy, co się stwarza.

DYABLI.

Już gotowy! mimo czary
Wyszedł jakiś człowiek godny,
Złe w tym kotle były wary,
Płyn za rzadki lub za chłodny.

SZATAN.

To nic, to nic! takich trzeba
Biédnym ludziom rzucać z nieba;
Będą przed nim giąć kolana:
Jest to stara twarz Rzymiana
Na pieniądzu wpół zatarta.
Dajmy mu, na pośmiewisko,
Sprzeczne z naturą nazwisko;

Ochrzcijmy imieniem Czarta.
Teraz puśćcie! niechaj leci!

DYABLI.

Lepszy będzie człowiek trzeci.

SZATAN.

Teraz z konstelacyi raka
Odłamać oczy i nogi,
Dodać kogucie ostrogi,
I z trwożliwego ślimaka
Oderwane przednie rogi...
Cóż tam w kotle?

DYABLI.

Ktoś z rycerzy.

SZATAN.

Wódz! chodem raka przewini,
Jak ślimak rogiem uderzy,
Spróbuje — i do skorupy
Schowa rogi, i do skrzyni
Miejskiéj zniesie planów trupy,
Czekając, aż kur zapieje...
Rzucić w kocioł Lachów dzieje,
Słownik rymowych końcówek;
Milion drukarskich czcionek,
Sennego maku trzy główek,
Cóż tam?

DYABLI.

Starzec jak skowronek,
Zastygły pod wspomnień bryłą
Napół zastygłą, przegniłą.
Poeta — rycerz — starzec — nic
Dziewięciu Feba Sułtanic
Eunuch...

SZATAN.

Przyśpieszajmy dzieła,
Bo z tamtéj krakowskiéj wieży
Słyszę dzwon rannych pacierzy;

W powietrzu się rozpłynęła
Woń kadzideł katedralnych.

CZAROWNICA.

Przeklęte wasze dzieło, wicher dyabléj mowy
Rozczesał z mojéj chaty włos słomianéj głowy;
Czy mi na nią dachówek dacie z hostyj mszalnych?
Zawierucha wierzbowe gałązki obrywa,
Ludzie nie znajdą rószczek na kwietną niedzielę.

SZATAN.

Milcz, padalcze! — Czas upływa,
Twórzmy razem wielkich wiele.
Co nakażę rzucać w tygle?
Rdzę pozostałą
Na Omfalii igle
Od krwią wilgotnych Herkulesa palców;
Z rdzy się narodzi nie mało
Wymuskanych rycerzy — ospalców.

DYABLI.

Tłum, tłum, tłum poleciał na ziemię
Jak chmura.

SZATAN.

Śpieszmy nowe tworzyć brzemię,
Nim jutrznia błyśnie ponura
Nim się żywioły ochłodzą,
Rzucić język Balaama oślicy;
A ci, co się z niego wyrodzą,
Narodowéj się chwycą mownicy.
Mowców plemię...

DYABLI.

Tłum, tłum, tłum poleciał na ziemię,
Jak zwichrzone szpaków stado.

SZATAN.

Widzicie tę postać bladą,
Z mętów kotła już napół urodną;
Twarz uwiędła i wzrok w czarném kole;
Paszczę myśli otwiera wciąż głodną,

Z księgozbioru
No
Seminarjum Państw.
dla naucz. rel. mojż.
w Warszawie

Wiecznie dławi księgarnie i mole
I na krzywych dwóch nogach się chwieje,
Jak niepewne rządowe systema.
Chce mówić, posłuchajmy, co na świat posieje?

TWÓR, pokazując z kotła głowę.

Czy lepiéj, kiedy jest król? czy kiedy go nie ma?

SZATAN.

Precz z tym Sfinxem, co prawi zagadki,
Sam jéj dyabeł rozwiązać nie umie;
Niech w szkolarzów zasiewa ją tłumie,
Oplątaną w dziejowe wypadki;
Niech z ministerjalnéj ławy
Nad rozlewem żyźniącym krwi Nilu
Ze złamanych kolumien podstawy
Gada hieroglifem stylu.

ASTAROTH.

Panie! patrz tam, z kotła pary
Znów się jakiś twór wylęga;
Twarz ma okropnéj poczwary,
Przez pierś jeneralska wstęga.

SZATAN.

Witajcie go! oto twór
Niszczyciel, jakby horda Nogajca.
On w stolicy owłada dział mur.
On z krwi na wierzch wypłynie — to zdrajca!
A gdy zabrzmi nad miastem dzieł huk,
On rycerzy ginących porzuci;
Z arki kraju wyleci jak kruk,
Strząśnie skrzydła, do arki nie wróci.
Kraj przedany on wyda pod miecz!

GŁOS W POWIETRZU.

W imię Boga! precz stąd! precz!

Wszystko znika.

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia — to plama
Na nieskończoności błękicie;

Ciemna gwiazda w słonecznych gwiazd świecie,
Grób odwieczny potomków Adama.

ARCHANIOŁ.

Onego czasu jedna z gwiazd wiecznego gmachu
Obłąkała się w drodze, jam ją zgonił lotem,
Czułem w dłoni jéj serce bijące z przestrachu,
Jak serce ptaka ludzkim dotkniętego grotem;
I drżącą położyłem przed tronem Jehowy.
A Bóg rzekł do mnie światło-tworzącymi słowy:
Krew ludzka skrzydła twoje rumieni.
Padłem twarzą na boskie podnoże,
Na proch gwiazd, na kobierce z promieni...
Boże! Boże! Boże!
Skrzydeł pióry otarłem o ziemię,
Krwawa była — widziałem! widziałem!
Za grzechy ojców w groby kładące się plemię,
Lud konał... gwiazda gasła... za gwiazdą leciałem —
Lud skonał...
Czas, byś go podniósł, Boże, lub gromem dokonał.
A jeśli twoja dłoń ich nie ocali,
Spraw, by krwi więcéj niźli łez wylali.
Zmiłuj się nad nimi, Panie!
A Bóg rzekł: wola moja się stanie.

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia — to plama
Na nieskończoności błękicie,
A Bóg ją zetrze palcem, lub wleje w nią życie
Jak w posąg gliniany Adama.

PROLOG.

PIERWSZA OSOBA PROLOGU.

Boże! ześlij na lud twój wyniszczony bojem
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;
Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy.
Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy,
Niech się we łzach nie budzi przed dniem zmartwychwstania.
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania,
Po mękach wręcz mi trąbę sądnego anioła;
A kogo przed tron Boga ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed tobą. Daj mi siłę, Boże,
A komu palec przekleństw na czoło położę,
Niech nosi znak na czole... Pozwól, Panie, tuszyć,
Że słowem zdołam cielce złote giąć i kruszyć.
Z bronzu wzniosę posągi, gdzie pokruszę gipsy.
A kto ja jestem? Jestem duch Apokalipsy.
Obróćcie ku mnie oczu zamglonych i twarzy.
Oto stoję wśród siedmiu złocistych lichtarzy
Podobny do człowieka... szata w długość szczodra
Spływa do stóp; pas złoty przewiązał mi biodra,
Głowę kryje włos biały, jak śniegi, jak wełna;
Z oczu skra leci ogniów dyamentu pełna,
Nogi mam, jak miedź świeżém ogniskiem czerwona,
Głos huczy jako woda wezbraniem szalona;
W ręku siedem gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry obosieczny, a twarz moja błyska
Jak słońce w całéj mocy wyświécone kołem.
A gdy przedemną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam... Jestem pierwszy... i ostatnim będę...

DRUGA OSOBA PROLOGU.

Ja wam zapał poety na nici rozprzędę,
Wy śmiéjcie się z zapału mego towarzysza...
Kto on? do tureckiego podobny derwisza;
Owe siedem lichtarzy, jest to siedem grodów,
Stoi wśród siedmiu złotem nalanych narodów
Wygnaniec. — A włos czarny w siwość mu zamienia
Nie wiek, ale zgryzota... W oczach blask natchnienia,
W ręku gwiazdy... to myśli, z których jasność dniowa;
Miecz w ustach obosieczny — jest to sztylet słowa,
Którym zabija ludzi głupich, albo wrogów.

TRZECIA OSOBA PROLOGU.

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch zamknięty w narodowéj urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły,
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświécę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami.

CZĘŚĆ I.

AKT I.

SCENA I.

Kordyan, młody 15-letni chłopiec, leży pod wielką lipą na wiejskim dziedzińcu, Grzegorz, stary sługa, opodal niego czyści broń myśliwską. Z jednéj strony widać dom wiejski, z drugiéj ogród, za ogrodzeniem dziedzińca staw, pola i lasy sosnowe.

KORDYAN zadumany.

Zabił się młody... Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu,
Była to dla mnie posępna przestroga,
Abym wnet gasił myśli zapalone;
Dziś gardzę głupią ostrożnością gminu,
Gardzę przestrogą, zapalam się, płonę,
Jak kwiat liściami w niebo otwartymi
Chwytam powietrze, pożeram wrażenia.
Myśl Boga z tworów wyczytuję ziemi,
I głazy pytam o iskrę płomienia.
Ten staw odbite niebo w sobie czuje,
I myśli nieba błękitem.
Ta cicha jesień, co drzew trzęsie szczytem,
Co na drzewach liście truje
I różom rozwiewa czoła,
Podobna do śmierci anioła,
Ciche wyrzekła słowa do drzew: gińcie, drzewa!
Zwiędły — opadły.
Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa;
Posępny, tęskny, pobladły,
Patrzę na kwiatów skonanie,
I zdaje mi się, że mię wiatr rozwiewa,

Cicho. Słyszę po łąkach trzód błędnych wołanie.
Idą trzody po trawie chrzęszczącéj od szronu
I obracają głowy na niebo pobladłe,
Jakby pytały nieba: gdzie kwiaty opadłe?
Gdzie są kwitnące maki po wstęgach zagonu?
Cicho, odludnie, zimno... Z wiejskiego kościoła
Dzwon wieczornych pacierzy dźwiękiem szklanym bije,
Ze skrzepłych traw modlitwy żadnéj nie wywoła,
Ziemia się modlić będzie, gdy słońcem ożyje...
Otom ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści,
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści;
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.
Celem uczuć, zwiędnienie; głosem uczuć, szumy
Bez harmonii wyrazów... Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali...
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj...
Jedną myśl wielką rozniec, niechaj pali żarem,
A stanę się téj myśli narzędziem, zegarem,
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.

(Po chwili.)

Jam się w miłość nieszczęsną całém sercem wsączył...

Myśli — potém nagle obraca się do Grzegorza...

Grzegorzu, porzuć strzelbę czyścić...

GRZEGORZ.

Jużem skończył,
Co mi panicz rozkaże?

KORDYAN.

Chodź tutaj, mój stary...
Nudzę się...

GRZEGORZ.

Nie nowina; cóż ja poczne na to?
Chcesz panicz, powiem bajkę szlachetnie bogatą,
Mam ja w szkatule mózgu dykteryjki, czary
Po babce mojéj staréj, co w Bogu spoczywa.
Chcesz pan téj, co się gada? czy téj, co się śpiéwa?...

Kordyan milczy; Grzegorz mówi następującą bajkę:

Było sobie niegdyś w szkole
Piękne dziécię, zwał się Janek.
Czuł zawczasu bożą wolę,
Ze starymi suszył dzbanek.
Dobry z niego byłby wiarus,
Bo w literach nie czuł smaku;
Codzień stary bakalarus
Łamał wierzby na biédaku,
I po setnéj, setnéj probie
Rzekł do matki: Oj kobiéto!
Twego Janka w ciemię bito,
Nic nie wbito — weź go sobie!...
Biédna matka wzięła Jana,
Szła po radę do plebana.
Przed plebanem w płacz na nowo;
A księżulo słuchał skargi
I poważnie nadął wargi,
Po ojcowsku ruszał głową.
Wysłuchawszy pacierz złegò:
„Patrz mi w oczy, rzekł do żaka,
„Nic dobrego! nic dobrego!“
Potém hożą twarz pogładził,
Dał opłatek i piętaka,
I do szewca oddać radził...

Jak poradził, tak matczysko
I zrobiło... Szewc był blisko...
Lecz Jankowi nie do smaku
Przy szewieckiéj ślipiać igle.
Dyabeł mięszał żółć w biédaku,
Śniły mu się dziwy, figle;
Zwyciężyła wilcza cnota,
Rzekł: w świat pójdę o piętaku!
A więc tak jak był — hołota,
Przed terminem rzucił szewca,
I na strudze do Królewca
Popłynął...
Jak do wody wpadł i zginął...

Matka w płacz, łamała dłonie;
A ksiądz pleban na odpuście
Przeciw dziatkom i rozpuście
Grzmiał jak piorun na ambonie:
W końcu dodał... „Bogobojna
„Trzódko moja, bądź spokojna,
„Co ma wisieć, nie utonie.“

Mały Janek gdzie się chował
Przez rok cały, zgadnąć trudno.
Wsiadł na okręt i żeglował,
I na jakąś wyspę ludną
Przypłynąwszy — wylądował...
Ówdzie król przechodził drogą;
Jaś pokłonił się królowi
I dworzanom i ludowi;
A kłaniając, szastał nogą
Tak układnie, że król stary
Włożył na nos okulary.
I wnet tymże samym torem,
Dwór za królem, lud za dworem.
Powkładali szkła na oczy...
Owóż król ten posiadł sławę,
Jakoby miał wzrok proroczy;
I choć stracił oko prawe,
Tak kunsztownie lewém władał,
Że człowieka zaraz zbadał
Na co mierzy, na co zdatny:
Czy zeń ma być rządca kraju,
Czy podstoli, czy też szatny...
Lecz tą razą, wbrew zwyczaju,
Król pan oczom nie dowierza,
Czy żak Janek na tancerza?
Czy na rządcę dobry kraju?
Więc zapytał: „Mój kochanku,
„Jak masz imię?“
„Janek.“
„Janku,
„Cóż ty umiesz?“
„Psom szyć buty.“

„A czy dobrze?“
„Oj tatulu!
„Czyli raczéj, panie królu!
„Jak szacuję, ręczyć mogę,
„Że but każdy ostro kuty,
„I na jednę zrobię nogę,
„Czyli raczéj na łap dwoje...
„To na zimę. — Z letnich czasów
„But o jednym szwie wystroję,
„Na opłatku, bez obcasów;
„A robota takiéj wiary,
„Że psy puszczaj na moczary,
„Suchą nogą przejdą stawy.“ —
„Masz więc służbę, złotem płacę“
Rzekł do Janka pan łaskawy
I za sobą wiódł w pałace.
A gdy dzień zaświtał czwarty,
Szły na łowy w butach charty;
A szewc chartów w axamicie
Przy królewskiéj jechał świcie;
Złoty order miał na szyi,
W trzy dni został szambelanem,
W sześć dni rządcą prowincyi,
W dni dwanaście został panem.
Starą matkę wziął z chałupy,
Król frejliną ją mianował.
A plebana pożałował
W biskupy...

KORDYAN.

Cha! cha! cha! przednia powieść.

GRZEGORZ.

A widzi pan, widzi,
Jak zabawiłem gadką... niech się pan nie wstydzi,
W téj powieści moralna kryje się nauka.

KORDYAN.

Jaka? powiédz mi, stary.

GRZEGORZ.

A któż jéj wyszuka?
Dość, że jest sens, powiadam.

KORDYAN.

Wierzę.

GRZEGORZ.

Trzeba wiary.
Bo widzi panicz, kiedy gada sługa stary,
To w słowach dziecku dawać nie będzie trucizny.
Błąkałem się ja długo zdala od ojczyzny,
I tak mi było ciężko od tęsknego żalu,
Że żołnierze ciosali kołki na wąsalu;
Odcinając się szablą, nie brałem pociechy,
Bo żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy,
A smutek niby mądra książka w sercu żyje,
I mówi wiele rzeczy i człowiek nie gnije
Jak muchomór pod sosną, lecz zbiera po szczypcie
Przestrogę do przestrogi... Byłem ja w Egipcie!
Ponoś no o téj walce nie mówiłem panu?
Czy wolno?

KORDYAN.

Mów! mów, stary.

GRZEGORZ, kręcąc wąsa.

Daj go tam szatanu
Kaprala... tęgi człowiek!... Wywiódł wojsko w pole,
Nie w pole, w piaski raczéj; równo jak po stole,
Otwarto na wsze strony, kędyś wzrok obrócił,
Oko biegnąc po piaskach, Boga szuka w niebie.
Wódz szyki w pięć kwadratów sprawił ku potrzebie.
I niby pięć gwiazd jasnych na pustynie rzucił.
Mnie świécącemu w jednéj widać było cztéry.
Przed walką, przypominam, śmiech nas ruszył szczéry;
Bo trzeba panu wiedzieć: na wojska ogonie
Snuły się z bagażami osły... przy bagażach
Przywlekli się z Francyi w bagnetów zachronie
Mędrkowie, co to baśnie piszą w kalendarzach.
Gardziliśmy jak Niemcem tą chmurą komorów,
Tą psiarnią, co jak truflów wietrzyła kamieni;

Więc gdy do walki wiele stanęło pozorów,
Zawołaliśmy głośno: osły! i uczeni,
Chowajcie się w kwadraty! daléj za pas nogi!
Dalibóg! korzystali z łagodnéj przestrogi.
Przyznam się jednak panu, że choć żołnierz bitny,
Przed walką byłem nieco nadzwyczaj ponury.
Jak dziś pamiętam, zdala lał się Nil błękitny,
Daléj jakiegoś miasta widać było mury!
I nad głowami niebo czyste bez obłoku,
A powietrze, choć bardzo jasne, grało w oku,
Nad katafalkiem niby od gromnic płomyki...
Lecz co najbardziéj ludu zadziwiło szyki,
To były owe wielkie, murowane góry;
Stądby je było widzieć, gdyby nie Karpaty,
I gdyby z nieba można zetrzeć wszystkie chmury.
Wtém wódz przyjechał konno... zagrzmiały wiwaty,
Acz bez winnych kielichów. Wódz wskazał na wieże
I rzekł: *soldats!* co znaczy, powiedział: żołnierze!
Słyszałem wszystko, wódz rzekł: patrzcie, wojownicy!
Ze szczytu piramidy — co znaczy: z dzwonicy,
Ze szczytu tych piramid sto wieków was widzi.
Więc spojrzałem, gdzie wskazał po nieba błękicie;
Aż tu patrz... niech kto ze mnie jak z prostaka szydzi,
Opowiem... Klnę się panu, na piramid szczycie,
Jak w kościołach sławnego malują Michała,
Taki stał rycerz, w zbroi, promiennego ciała,
I płomienistą dzidą przebijał z wysoka
Wijącego się zdala na pustyni smoka,
Co ku nam leciał w chmurze kurzawy i piasku.
Sto dział zagrzmiało, oczy zgubiłem od blasku.
A kiedym wzrok odpytał, aż tu mameluki
Krzywymi nas szablami dziobią gdyby kruki,
To końmi do ucieczki obróceni wrzkomo
Siadają na bagnetach jak małpy.

KORDYAN.

Cóż daléj?...

GRZEGORZ.

A wstydź że się pan pytać, każdemu wiadomo,
Żeśmy zawsze łamane parole wygrali.
I gdyby nie ta dżuma .. Ale pan nie słucha!...

KORDYAN, zamyślony, mówi sam do siebie.

Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha.
Nieraz z myślą zburzoną w ciemne idę lasy,
Szczęk broni rzucam w sosen rozchwianych hałasy,
Widzę siebie wśród świateł czarodziejskich sławy,
Wśród promienistych szyków; szyki wstają z ziemi,
Ziemia wstaje, jak miasto odgrzebane z lawy...
Głupstwo... dzieciństwo marzeń... Z myślami takimi
Nie śmiałbym się wynurzyć przed starców rozsądkiem.
Więc szukam — kogo? sługi, co rozwlekłym wątkiem
Snuje głupie powieści.

Myśli... potém nagle do Grzegorza.

Idź sobie, Grzegorzu!
Jak się panna na konną przechadzkę wybierze,
Dasz mi znać.

GRZEGORZ.

Panicz może dziś nie dospał w łożu?
Bo starego odpędza jak natrętne zwierzę.
Bywszy niegdyś w niewoli, znałem ja młodziana,
Co miał wiele nauki, nie gardził mną przecie,
I dziękował za powieść, gdy dobrze dobrana.
Było to piękne wcale i szlachetne dziécię!
Smutno skończył!

KORDYAN.

Cóż, umarł?

GRZEGORZ.

A gdzie tam, mój panie!

KORDYAN.

Więc żyje!

GRZEGORZ.

Oj nie żyje! Gdy nas Rosyanie
Wzięli w dwunastym roku; spędzili jak trzodę,
I na Sybir zawiedli... Dwóchset naszych było,
Wiarusy kęs nadpsute, oficerstwo młode;
A jak wzajem sprzyjali, wspomnieć starcu miło,

Jeden drugiemu nigdy nie powie jak: bracie,
Chleb łamią jak opłatki, w jednéj chodzą szacie.
Ten, o którym rzecz wiodę, zwał się Kazimierzem.
Otóż kiedy się Moskal pastwił nad żołnierzem,
Pan Kazimierz za wszystkich cierpiał, potém z głowy
Dobył myśli — zawołał na tajemne zmowy
I odkrył zamiar wcale dostojny bo śmiały.
Nie szydź, panie, kto kupi niewolą włos biały,
Ten rozpaczy szalonéj w ludziach nie potępi.
Więc on myślał, że straże kozackie wytępi,
Zmarłym wydrze żelazo, i polskie wiarusy
Do Polski odprowadzi... Poznali się Rusy
Na malowanych lisach; wywiedli na pole;
Cały nas pułk Baszkirów ostąpił w półkole,
Wołga stała za nami... pułkownik tatarski
Przeczytał głośno niby jakiś dekret carski,
A w tym dekrecie stało, aby polskie jeńce
Rozdzielić na dziesiątki i w pułki powcielać.
Wtenczas nasze wiarusy wziąwszy się za ręce,
Krzyknęli: nie pójdziemy... Zamiast nas wystrzelać,
Czy wierzysz pan, że owe tatarskie szatany
Rzucali nam na szyję rzemienne arkany,
Właśnie jakby na koni zdziczałych tabuny.
Och! co czułem, to z sobą poniosę do truny!
Związaliśmy się wszyscy rękoma co siły.
Pamiętam, z prawéj strony — nie, z lewéj od serca,
Stał przy mnie żołnierz wiekiem, ranami pochyły,
Ku niemu zwinął koniem baszkirski morderca;
Więc biédak rękę moję nakształt szabli ścisnął,
Potém ociężał na niéj, bezwładny obwisnął;
Patrzę mu w twarz, posiniał cały nakształt trupa,
Oczy wybiegły, szyja związana powrozem.
Tu baszkir zaciął konia, koń spięty dał słupa,
Skoczył — a starzec jak koń uwiązany lozem
Pociągnął się po piasku, po krzemiennéj warście.
Widziałem na krzemieniach włosów siwych garście
Z krwi wyrwane kroplami... Koń leciał jak strzała,
Już trup zniknął — a jeszcze widać było konia,
I myśl przy koniu starca krwawego widziała.
Staliśmy jak garść kłosów pożółkłych śród błonia;

Głuche było milczenie, zgroza, obłąkanie.
Piszcząc, kołem jak krucy krążyli poganie,
Wybierali oczyma gdzie powrozem skiną,
Śmierć dając, chcieli zabić przedśmiertną godziną.
Wtém, panie! nasz Kazimierz! ów Kazimierz młody!
Skoczył w tłumy Baszkirów, i z tłumu wyskoczył
Z pułkownikiem tatarskim, rzucił się do wody;
Tak ujętego wroga między dwie kry wtłoczył,
A kry się zbiegły, głowa z baszkira odpadła
Jak mieczem odrąbana i na krze usiadła
Z otwartymi oczyma...

KORDYAN.

A Kazimierz?

GRZEGORZ.

Zginął.

KORDYAN.

Grzegorzu, czy nie pomnisz zmarłego nazwiska?

GRZEGORZ.

Nie wiem. On pod imieniem Kazimierza słynął,
Co mu tam dziś nazwisko po śmierci? Pan ściska
Rękę starego sługi?

KORDYAN.

Boże! jak ten stary
Rósł zapałem w olbrzyma, lecz ja nie mam wiary,
Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.
Dróg zawartych przesądem nie przestąpię krokiem.
Teraz czas świat młodzieńca zapałem przemierzyć,
I rozwiązać pytanie: żyć? alboli nie żyć?
Jam bezsilny! nie mogę jak Edyp zabójca
Rozwiązać wszystkich sfinxów zagadki na świecie;
Rozmnożyły się sfinxy, dziś tajemnic trójca
Liczna jak ziarna piasku, jak łąkowe kwiecie;
Wszędzie pełno tajemnic, świat się nie rozszerzył,
Ale zyskał na głębi... wierzchem człowiek płynie,

Lecz jeśli drogi węzłem żeglarskim nie mierzył,
Nie wie, czy bieg jest biegiem, gdy brzeg z oczu ginie.
Chyba że w owéj drodze jak milowe słupy
Mija stare przesądy — zbladłe wieków trupy.
Nie, są to raczéj krzyże przy ubitéj drodze;
Prostak przy nich koniowi zatrzymuje wodze
I żegna się i pokłon oddaje — gdy mija.
Potém mędrkowie prostsze wytkną ludziom szlaki,
Zwolna na drogę nową zjeżdżają prostaki;
Na zapomnianym krzyżu bocian gniazdo zwija,
Mech rośnie, pod nim dzieci w piasku sadzą kwiaty.
Nieraz krzyż u stóp samych podgryziony laty
Pada, zabija dzieci z sielskiego pobliża,
A lud płacze, że zwalić nie pamiętał krzyża.
Więc idę na świat rąbać nadpróchniałe drewna;
Miłość? zapomnę o niéj — wśród światowéj burzy,
Pozostanie głos wspomnień... jak pieśń dzika, rzewna,
Jak pieśń żórawia, co się opóźnił w podróży
I samotny szybuje po błękicie nieba,
Ostatni z licznych, szczęsnych tłumów odbłąkany.
Trzeba mi nowych skrzydeł, nowych dróg potrzeba;
Jak Kolumb na nieznane wpływam Oceany
Z myślą smutną i z sercem rozbitém.

LAURA, wołając z ganku.

Kordyanie!

KORDYAN.

Ten głos rozwiewa złote zapału świtanie.
Zamknięty jestem w kole czarów tajemniczém,
Nie wyjdę z niego... Mogłem być czémś... będę niczém...

SCENA II.

Ogród, lipowe aleje krzyżują się w różne strony, wśród drzew widać dom opuszczony z wybitymi oknami. Jesień, liście opadają wietrzno. Kordyan i Laura zsiadają z koni, przy których Grzegorz zostaje i wchodzą do alei. Długo nic do siebie nie mówią.

LAURA, z uśmiechem na pół szyderczym.

Czemu Kordyan tak smutny?

Kordyan patrzy na nią oczyma zamglonymi — i milczy.

Znalazłam dziś rano

W imionniku wierszami kartę zapisaną,
Poznałam rękę, pióro — o! nie, raczéj duszę.

Kordyan zarumieniony schyla się ku ziemi

Czemu się pan mój schyla.

KORDYAN.

Odmiatam i kruszę
Gałązki, ciernie, chwasty z pod stóp twoich, pani.
Cierń, co mi zrani rękę, nikogo nie zrani!

LAURA.

Kordyan zapomniał, że ma matkę, matkę wdowę.
Cóż to? Kordyan brwi zmarszczył, chmurzy się, rumieni?

KORDYAN.

Zapytaj się drzew, pani, dla czego w jesieni,
Szronem dotknięte, noszą liście purpurowe?
To tajemnica szronu.

LAURA.

Usiądźmy w alei.
Któż z nas pierwszy obaczy gwiazdę dobrze znaną?

KORDYAN.

Nie ujrzę jéj, jeżeli to gwiazda nadziei!

LAURA.

A jeśli gwiazda wspomnień?

KORDYAN.

O! dla mnie za rano
Na bladą gwiazdę wspomnień!...

LAURA.

Gdzież gwiazda Kordyana?

Kordyan wznosi oczy na twarz Laury i odwraca się.

Jak się nazywa.

KORDYAN.

Przyszłość?

LAURA, z uśmiechem.

W któréj stronie nieba?

KORDYAN.

O! nie wiem! nie wiem, jest to gwiazda obłąkana,
Co dnia ją trzeba tracić, co dnia szukać trzeba.

LAURA.

Kordyan ma piękną przyszłość, talenta, zdolności.

KORDYAN.

Tak, gdy mię spalą męczarnie,
To będę świécił ludziom próchnem moich kości.
Talenta są to w ręku szalonych latarnie,
Ze światłem idą prosto topić się do rzeki.
Lepiéj światło zagasić i zamknąć powieki,
Albo kupić rozsądku, zimnych wyobrażeń,
Zapłacić za ten towar całym skarbem marzeń.

LAURA.

Jaki dziś Kordyan gorzki?

Usiada na ławce darniowéj. — Kordyan u nóg jéj się kładzie i mówi, patrząc na niebo.

KORDYAN.

Czarowna natura!
Jak koń Apokalipsy szara leci chmura
Jesiennym gnana wiatrem; a w chmurze myśl gromu,
Omdlała zimnem, iskry wydobyć nie może;
Więc co ma w łonie gniewu, nie powie nikomu?
I przepłynie nad światem... z gromem myśli złożę,
Niechaj płyną nad światem zimne i bez głosu.

Zrywa kwiat i obraca się z uśmiechem do Laury.

Pani, weź tę gałązkę purpurową wrzosu,
Ale jéj nie otrząsaj ze szronu brylanta.

Zamyślony patrzy na niebo.

Pani — patrz tam na niebo... oto duchy Danta.
Tam się na starém drzewie wichrzy szpaków stado,
Zaleciały przelotem i do snu się kładą,
Wiatr przez noc będzie liście zbijał — one prześnią
Noc całą, drzew ginących kołysane pieśnią;
Anioł przeczucia śpiącym wskaże lotu szlaki,
A gdy się zbudzą, drzewo powie: lećcie, ptaki.

Nie mam już dla was liści, jam się zestarzało
Przez noc, kiedyście spały.

LAURA.

Cóż stąd za nauka?

KORDYAN.

Cha! cha! nauka smutku, że drzewo nie spało
A ptaki spały.

LAURA.

Kordyan, co przyszłości szuka,
Powinien spać jak ptaki...

KORDYAN.

Gdzież anioł przeczucia?
Czy przyjdzie? poprowadzi? Więc myśli i czucia
Trzeba, skąpca przykładem, na lata rozłożyć,
I nigdy zmysłów w jednéj nie utracić burzy.
Trzeba się dziś zwyciężyć, aby jutra dożyć.
Dziwna ciekawość życia prowadzi w podróży,
A za ciekawość trzeba nieszczęściami płacić,
I nigdy zmysłów w jednéj burzy nie utracić.

Gwałtownie.

Jam je utracił! Boże! zmiłuj się nademną!

LAURA.

Kordyanie!...

Kordyan milczy.

Czas powracać, już wietrzno i ciemno.

KORDYAN.

O! pani, zostań jeszcze.

LAURA.

Więc pan mi przyrzeka,
Że będzie spokojniejszy?

KORDYAN z obłąkaniem.

Tak.

LAURA.

Przyszłość daleka,
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

KORDYAN, zamyślony, patrząc na niebo.

Ciemny się błękit nieba wyświéca za mgłami,
Ach księżyc! patrz tam, pani! księżyc srebrny, pełny
Stanął i patrzy na nas; chmur srebrzyste wełny
Spadły nań — leci jakby wyrywał się z chmury;
Teraz go napół gałąź rozcina spróchniała,
Teraz wśród czarnych liści krąg chowa ponury.
Pani! gdy kiedyś! kiedyś! twarz księżyca biała
Błyśnie wśród chmur lecących na jesiennem niebie,
Będziesz mój cień natrętny odpędzać od siebie.

Po chwili.

Bóg promień duszy wcielił w nieskończone twory,
Dusza się rozprysnęła na uczuć kolory,
Z których pięć wzięło zmysły cielesne za sługi,
Inne zagasły w nicość... ale jest świat drugi!
Tam z uczuć razem zlanych wstanie anioł biały,
Mniejszy może niż człowiek, atom, środek koła
Rozpryśnionych promieni! ale jasny cały,
I plam ludzkich nie będzie na sercu anioła.
Nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży,
Bóg aniołowi oczy na przyszłość otworzy,
Aż przestanie zaglądać w ciemną wspomnień trumnę.
Bóg mu pod nogi światła wywróci kolumnę,
Po niéj gwiazd miriady zapali i słońca;
Anioł je przejrzy wzrokiem nadziei do końca,
I do gwiazdy podobny, będzie w przyszłość płynął.
O! duch mój chce się wyrwać! już pióra rozwinął:
Dusza z ust zapalonych leci w błękit nieba.

Opuszcza ręce i z rozpaczą.

Na jednego anioła dwóch dusz ziemskich trzeba!

LAURA.

Źle, jeśli się pan będzie marzeniem zapalał,
Prawdziwie nie pojmuję, co mu jest?

KORDYAN, ze wzgardą.

Oszalał...

Laura odchodzi ku drzwiom ogrodu, siada na koń .. i odjeżdża z Grzegorzem. Kordyan zostaje sam w ogrodzie nieruchomy.

KORDYAN, sam.

Światła nocy błyskają na nieba szafirze;
Myśl zbłąkana w błękity niebieskie upadła,
Oto ją gwiazdy w kręgi porywają chyże
I kręcą, aż zmęczona, posępna, pobladła,
Powróci z tańcu niebios w nudne serce moje.
Czekam — nad otchłaniami niebieskimi stoję,
Zalękniony o myśli w gwiazd tonące wirze.
Gwiazdy! wy gdzieś lecicie jak żórawi stada!
Gwiazdy! polecę z wami po niebios szafirze.

Dobywa pistoletu.

Nabity — niechaj krzemień na żelazo pada.
Ból, chwila jedna, ciemno — potém jasność błyśnie.
Lecz jeśli nie zaświéci nic?... i ból przeminie?
Jeśli się wszystko z chwilą boleści rozpryśnie?
A potém ciemność... potém nawet ciemność ginie,
Nic — nic — i sobie nawet nie powiem samemu,
Że nic nie ma — i Boga nie zapytam, czemu
Nic nie ma? Ha! więc będę zwyciężony niczém?...
Śmierć patrzy w oczy moje dwustronném obliczem,
Jak niebo nad głowami i odbite w wodzie.
Prawda, lub omamienie; lecz wybierać trudno,
Gdzie nie można zrozumieć ..

Przykłada broń do czoła.

Nie... nie w tym ogrodzie.
Znajdę śród lasów łąkę kwietną i odludną.

Wychodzi z ogrodu.

SCENA III.

Noc. — Laura sama w pokoju przy lampie.

LAURA.

Dotąd Kordyan nie wrócił, jedenasta biła,
Natrętna niespokojność w serce się zakrada,
Gdybym też dziécię płochém szyderstwem zabiła?

Dmucham w różę, co słońcem palona opada?
A jeśli jego serce z takich kruszców lane,
Że co na niém napiszę, przetrwa napisane
Na wieki wieków? Boże! jeśli jego oczy
Przywykną do ciemności i do łez? co gorsza!
Jeśli miasto łez, w dzieciach zapalonych skorsza,
Duma gorzkie uśmiechy na twarz mu wytłoczy.

Zamyśla się, potém bierze sztambuch i przewraca.

Nudnymi grzecznościami zapisane karty,
Ten mię równa do kwiatu, ci do gwiazd — a czwarty
Do Dyany bogini — on sam jak bóg Apis
Zwierzęcą nosi głowę. Ten kwiat chce rozkwitać...
Rysunek siostry mojéj. — Ach! Kordyana napis;
Spojrzałam mimowolnie, muszę raz odczytać...

Czyta wiersz Kordyana.

O! przepłynę ja kiedyś we wspomnień łańcuchu,
Zatrzymam się... wspomnienia krokiem się nie ruszą...
Aż powiesz: „Natrętny duchu!
Ciężysz na duszy mojéj twoją cichą duszą,
Jak księżyc mórz oczyma podnoszący ciemnie.
Jesteś wszędzie, koło mnie, nademną i we mnie...“
Luba, jam koło ciebie i z tobą i w tobie...
Nie przychodzę wyrzucać, ani przypominać,
Ani śmiem błogosławić, ani chcę przeklinać;
Przyśniło mi się tylko kilka pytań w grobie...
Słuchaj! niegdyś ze szczęściem brałaś zaręczyny,
Pokaż mi ów pierścień złoty;
Ha! zczerniał? zczerniał pierścień? to nie z mojéj winy!
Dla czego na twarz włosów rozpuszczasz uploty?...
Spostrzegłem we włosów chmurze
Bladość twarzy i coś błyska!...
Może to blask w pereł sznurze?
Może światło brylanta, albo kornaliny?
Może rozgrzane słońcem topazu ogniska?
Może to łzy? — ty płaczesz? to nie z mojéj winy!...
Mój Aniele! mój Aniele!
Kwiat ci niegdyś wieńczył głowę,
A było kwiatów tak wiele,
Że nim zwiędły, brałaś nowe.

Dla czegóż dzisiaj w stroju zmianę widzę jawną?
Wszak kwiaty przeżyć burze musiały i spieki;
Prócz jednéj bladéj róży, która dawno, dawno!
Nie pomnę, z jakiéj przyczyny,
Zwiędła na wieki...
Jeśli tak wszystkie zwiędły — to nie z mojéj winy!...

Przestaje czytać.

Słyszę tętent... to Kordyan!... więc okno otworzę —
Nie! możebym za zbytnią troskliwość wydała...
Co, nikt drzwi nie odmyka?

Otwiera okno.

Boże! wielki Boże!
Koń przeleciał bez jeźdźca... Co to jest? drżę cała!

Dzwoni. Panna pokojowa wchodzi.

Gdzie Grzegorz?

PANNA.

Nie wiem, pani, nie siadł do wieczerzy,
Widać było, bo dzbankiem z nami się nie dzielił
Jak żyd płaszczem Chrystusa.

LAURA.

Szukaj go! niech bieży...

GRZEGORZ.

Nieszczęście! Och, nieszczęście! panicz się zastrzelił!...

AKT II.

ROK 1828.

WĘDROWIEC.

Jame's Park w Londynie — wieczór. — Kordyan siedzi pod drzewem — w około łąki zielone — daléj sadzawka ocieniona drzewami, trzody — dokoła parku pałace i dwie wieże Westminsteru.

KORDYAN.

Wyspę łąk porzucono na pałaców stepy,
Uciekam tu opodal od wrącego gminu;

Lud woli pić dym węgli i zaglądać w sklepy;
A ten ogród, czarowna sielanka Londynu,
Jak ustęp złoty w nudnym ginie poemacie.
Ludzie! wy się tym drzewom przypatrywać macie,
Jak cudom Boga, obok cudów waszéj ręki.
Drzewa nietknięte, rajskie zachowały wdzięki;
Nieraz mgły nadpłynione w kłęby czarne zwiną
I liściowym wachlarzem na miasto odwieją.
Po sadzawkach łabędzie rozżaglone płyną.
Ludzie piaskiem Paktolu węże ścieżek sieją,
A łąki flamandzkiego axamitu puchem.
Tam! miasto... zegar ludzkim kręcący się ruchem,
A tu cisza — tu ludźmi nie kwitną ogrody,
Ale się po murawach wyperliły trzody...
Był wiek, żem ja w dziecinnych marzeniach budował
Wszystkie stolice ziemskie, dziś je widzę różne;
Alem pierwszych obrazów w myśli nie zepsował,
Są dziś porównań celem, jak księgi podróżne.
Rzeczywistości naga! wynagródź marzenie!
Obym się sam ocenił, skoro świat ocenię...
Kto wie? może w szczęśliwych grono mię powoła...
. . . . . .
Chciałbym bliznę Kaima mazać z mego czoła —
Pierwszy wzrok ludzi czoło samobójcy bada...

Zbliża się dozorca ogrodu, biorący opłatę za krzesła.

DOZORCA.

Panie mój! pens za krzesło!...

Kordyan daje szyling i nie przyjmuje reszty.

Pan mój jak lord płaci,
A jak lord siąść nie umie!

KORDYAN.

Jakże więc lord siada?

DOZORCA.

Na trzech krzesłach zarazem siadają magnaci:
Na jednem lord się kładzie, a na drugim nogi,
A na trzecim kapelusz, to trzech pensów suma.

KORDYAN.

Dziękuję, bracie! będę korzystał z przestrogi.

DOZORCA.

Szlachetny to jest zwyczaj, żyzna ludziom duma,
Lękam się, by go nowa reforma nie zniosła.

Ściemnia się.

KORDYAN.

Tam, gdzie gęstymi drzewy sadzawka zarosła,
Jakiś człowiek samotny, jak cień się przesuwa,
Patrzy na księżyc, wzdycha — to miłośnik czuły,
Zapewne wielkie serce smutkami zatruwa;
Może mu się marzenia złotym wątkiem snuły,
I przerwały się nagle — od świata ucieka.
Chciałbym go poznać... Bracie, znasz tego człowieka?

DOZORCA.

To pewien dłużnik, bankrut potępion wyrokiem.

KORDYAN.

Dla czegoż nie w więzieniu duma lecz w ogrodzie?

DOZORCA.

Prawo w domy nie wchodzi; po słońca zachodzie
Nie biega po ulicach za dłużnika krokiem;
Więc dłużnik we dnie sypia, a chodzi po nocy.
Myślałem, że pan także, przy Boga pomocy,
Mijasz się z prawem.

KORDYAN.

Nędzny!...

DOZORCA.

Pan jakby lord płaci.
Mam honor mu polecić siebie, moich braci...
Jeden, jak ja, przedaje krzesła w parlamencie;
Drugi, jak ja, przedaje groby w Westminsterze;
Trzeci robi na przedaż herbowe pieczęcie,
Na każdéj ryje łokieć, szalki i dwie wieże,
Podobne kształtem do wież dłużników więzienia.
Czwartego lud nazywa Garrikiem tragicznym;

Prawdziwie małpi talent wziął od urodzenia,
I Punsza bohatera przed tłumem ulicznym
Pokazuje, przez Punsza usta opowiada,
Jak zabił żonę, dziecię wyrzucił przez okno,
Obwiesił kata, wreszcie w szpony dyabła wpada;
A gdy go dyabeł porwie, widze we łzach mokną.

Kordyan odchodzi.

Dover. Kordyan siedzi na białéj krédowéj skale nad morzem, czyta Szekspira — wyjątek z tragedyi pod tytułem: Król Lear...

Kordyan czyta.

Chodź! oto szczyt, stój cicho... zakręci się w głowie,
Gdy rzucisz wzrok w przepaści ubiegłe z pod nogi.
Wrony przelatujące w otchłani połowie
Mało większe od żuków... a tam, na pół drogi
Czepia się ktoś.. chwast zbiera — z ciężkiéj żyje pracy!
Stąd go nie większym widać od człowieka głowy.
A owi, co się snują po brzegu, rybacy
Wydają się jak mrówki... Okręt trójmasztowy,
Spoczywający w porcie, widać stąd bez żagli,
Łupinę tylko, mniejszą od węzła kotwicy.
A szum zhukanéj fali, którą wicher nagli,
I pokłada na brzegów skalistéj granicy,
War piany i kamieni, równy głośnéj burzy,
Ucha tu nie dochodzi... O! nie patrzę dłużéj,
Bo myśl skręcona głową w otchłań mię zanurzy.

Przestaje czytać.

Szekspirze! duchu! zbudowałeś górę,
Większą od góry, którą Bóg postawił.
Boś ty ślepemu o przepaści prawił,
Z nieskończonością zbliżyłeś twór ziemi.
Wolałbym ciemną mieć na oczach chmurę,
I patrzeć na świat oczyma twoimi.

Wstaje.

Próżno myśl geniuszu świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia — ciężka praca!

Odchodzi.

Willa włoska — pokój cały zwierciadłami wybity — kobierce — wazony rznięte z ławy, pełne kwiatów — przez okna widać piękną okolicę. — Kordyan i Wioletta młoda i piękna Włoszka.

KORDYAN.

Duszo! niechaj ci włosy na czole rozgarnę!
Weź mię w twoje ramiona, rozkoszą odkwitnę.
Patrz na mnie! Twoje oczy, jasne, skrzące, czarne,
Białka oczu jak perły śnieżysto błękitne.
Gdy rzucasz wzrok omdlony, padam, słabnę, mdleję;
Tak na przesłodkiéj róży mrą złote motyle;
A gdy spojrzysz iskrami twych oczu — szaleję!
I ożywam na całą pocałunku chwilę.

WIOLETTA.

Puść mię! omdlewam.

KORDYAN.

Luba! gdy padasz omdlona,
Odpychając mię falą kołysaną łona,
Wtenczas gdy z rozkwitłego na pół ust koralu
Płomień z niewysłowionym wybłyska wyrazem,
W którym miłość złączyła wszystkie głosy razem,
Dźwięk strun urwanych, wstydu głos i skargę żalu,
Jęk, śmiech dziecka, westchnienie — wtenczas, moja droga,
Ty mię kochasz...

WIOLETTA.

Nad życie! Wszak lorda i Boga
Porzuciłam dla ciebie, czyż wątpisz szalony?

KORDYAN.

Wierzę! na koralowych ustach zawieszony
Jako motyl na róży. Twoja szyja płonie
A perły takie zimne na płomiennem łonie?
Rozerwij perły — czekaj, rozgryzę nić!

WIOLETTA.

Szkoda!..

KORDYAN.

Perły po twoich piersiach leją się jak woda;
Boisz się łaskotania pereł, moja miła?
Drżysz jak liść... Czy mię kochasz?

WIOLETTA.

Jam stokroć mówiła,
Żeś mi droższy nad życie; wiszę u twéj szaty
Jak kropla rosy, strząśniesz? rozprysnę się cała.

KORDYAN. Coraz zimniéj i z większém zamyśleniem.

Patrzę na wazon z lawy, w którym rosną kwiaty;
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała,
Skoro ostygła, snycerz kształt jéj nadał drogi.
Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety
Lawą ostygłą.

WIOLETTA.

Wyrzut dla płci naszéj srogi!
Niezasłużony wiernem sercem Wioletty.

KORDYAN.

Luba! gdzieś na północy stał zamek wiekowy,
Herby pradziadów moich świéciły na bramie,
W salach portrety dziadów w ozłoconéj ramie
Patrzały na mnie; dzisiaj wzrok ojców surowy
Aż tu, do włoskiéj willi, ściga za mną — goni.
Bo zamek ojców moich stopiłem na złoto
A z tego złota nosisz przepaskę na skroni.

WIOLETTA.

Luby! zatruwasz serce niewczesną zgryzotą.

KORDYAN.

Droga! gdybym pałace mógł nazad odzyskać
Jedną łzą twoją, nie chcę, abyś łzę wylała.
Luba! tobie przystoi brylantami błyskać;
Tak droga mleczna światów milionem biała.
Chciałbym w téj pięknéj willi przeżyć z tobą wieki,
Wśród laurów, wodospadów, róż, bronzów, zwierciadeł;
A kto wie? jutro może otworzysz powieki,
I spojrzysz w lice nędzy, najsroższéj z widziadeł.
Przekleństwo! jam utracił wszystko!

WIOLETTA.

Mio caro!
Co się to znaczy?

KORDYAN.

U drzwi stoją wierzyciele!
Lecz bogactwo w miłości znikomą jest marą,
Dawałem ci brylanty, dziś sercem się dzielę.

WIOLETTA.

Ach brylanty... gdzie klucze?

KORDYAN.

Stój! stój, moje życie!
Wczoraj — aby opóźnić majątku rozbicie,
Z twoimi brylantami siadłem do gry stoła;
Gra mi wszystko pożarła... Lecz serce anioła...

WIOLETTA ze łzami i gniewem.

Ach! ach! ja nieszczęśliwa, zabrał mi klejnoty!

KORDYAN.

Zabijasz mię, kochanko, niewczesnymi łzami,
Serce twoje przekładam nad wszelki dar złoty.

WIOLETTA.

Przegrałeś moje serce razem z klejnotami!
Nędza! nędza mię czeka!...

KORDYAN.

Mnie zaś koń mój czeka.

WIOLETTA.

Jedź z dyabłem!..

KORDYAN.

Droga moja nie nazbyt daleka,
Koń ma złote podkowy, tysiąc czątych warte;
Wygrałem je był wczoraj na ostatnią kartę,
Przed wierzycieli okiem w podkowach uniosę.
Przez noc całą galopem popędzę przez błonia,
Złotymi kopytami srebrną bijąc rosę.
Potém w najbliższém mieście każę rozkuć konia,
I za cztéry podkowy uczt wyprawię cztéry;
A potém, jako czynią modne bohatery,
W łeb sobie strzelę... Panią na ucztę śmiem prosić.
A jeśli po kochanku chcesz żałobę nosić,

Upewniam, że ci będzie do twarzy z żałobą...
Pani! czy jedziesz ze mną...

WIOLETTA po chwili.

Luby! jadę z tobą.

Wychodzą.

Droga publiczna. Kordyan na koniu, za nim Wioletta, przelatują cwałem, koń ślizga się i pada, Kordyan zsadza z konia Wiolettę.

WIOLETTA.

Cóż to?

KORDYAN.

Nic... koń rozkuty upadł.

WIOLETTA.

Koń rozkuty?

KORDYAN.

To nic... Kazałem słabo przybić mu podkowy,
Nie przybić, raczéj związać spróchniałymi druty,
Zgubił je przy wyjeździe...

WIOLETTA z gniewem.

Wężu Adamowy!

KORDYAN.

Ewo moja! Adama zastąpią ci drudzy,
A ja cieszę się z serca, że gdzieś moi słudzy,
Wygnani z willi, z czołem spuszczoném ku ziemi,
Pójdą tą samą drogą, za ślady moimi
I będą zbierać złoto, tam gdzie łzy upadną.

WIOLETTA.

Niech ludzie z pistoletów kule ci wykradną!
Niechaj cię głód zabije, zapali pragnienie!

Odbiega drogą, Kordyan siada na konia i patrzy na nią z uśmiechem wzgardy.

KORDYAN.

Prawdziwie, ta kobiéta kocha mię szalenie,
Poszła, szukając śladów kochanka po drodze.
Daléj, mój koniu! leć, gdzie zechcesz! puszczam wodze.

Odjeżdża.

Sala adamaszkami wybita w Watykanie. Papież siedzi na krześle w złocistych pantoflach, koło niego na złotym trójnogu tiara, a na tiarze papuga z czerwoną szyją. Szwajcar, odmykając drzwi dla wchodzącego Kordyana, krzyczy głośno.

SZWAJCAR.

Graf Kordyan, Polak!

PAPIEŻ.

Witam potomka Sobieskich.

Wyciąga nogę — Kordyan przyklęka i całuje.

Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich?
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy,
Bo cesarz jako anioł z gałązką oliwy
Dla katolickiéj wiary chęci chowa szczere;
Powinniśmy hosanna śpiewać...

PAPUGA cienko i chrapliwie.

Miserere!

KORDYAN.

W darze niosę ci, Ojcze, relikwiją świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrżnięto
Dziatek, starców i niewiast... Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem Eucharistii;
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie carów dary,
W zamian daj mi łzę, jednę łzę..

PAPUGA.

Lacryma Christi.

PAPIEŻ, z uśmiechem do papugi, machając chustką.

Precz, Luterku! precz, mówię... Cóż, synu Poloniae,
Byłeś że w Piotra gmachu, w cyrku, w Panteonie?
Ostrzegam, bądź w niedzielę w chórze Bazyliki,
Bo właśnie nowy śpiewak przyjechał z Afryki,
Dej mi go przysłał Fezki... Jutro z majestatu
Dam wielkie przeżegnanie Rzymowi i światu,
Ujrzysz, jak całe ludy korne krzyżem leżą;
Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą..

KORDYAN.

Lecz garści krwawéj ziemi nikt nie błogosławi,
Cóż powiem?

PAPUGA.

De profundis clamavi! clamavi!

PAPIEŻ, zmięszanie śmiechem pokryć usiłuje i spędza papugę.

Precz, szatanku! Z tiary na pastorał rusza,
Przeklęte zwierzę ptasie... o mało nie powiem,
Że w niéj zaklęta Lutra pokutuje dusza;
Pełna przysłówków *ergo*, ponieważ, albowiem.
Raz za firanką skryta wdała się w dysputy
Z kardynałem, prezesem dataryi bióra.
Rozumiał, że mu doktor jakiś tęgo kuty
Odpowiadał na kwestye — ona trzęsła pióra
A kardynał rwał włosy i nadrabiał krzykiem;
Papuga odrzucała odpowiedzi ślepe;
Nakoniec go zabiła hebrajskim językiem,
Krzycząc: *Pappe satan! pappe satan! aleppe...*
Głupie stworzeńko! Tak to czasem Bóg pozwala,
Że słaby Goliatów rozumu obala.
No, mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród
Wygubi w sobie ogniów jakobińskich zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy.

KORDYAN, rzucając na powietrze garść ziemi.

Rzucam na cztéry wiatry męczennika prochy!
Ze skalanymi usty do kraju powrócę...

PAPIEŻ.

Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę.
Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja
A lud pod jego cieniem żyje.

PAPUGA.

Alelluja!...

Kordyan odchodzi.

Kordyan sam, z założonymi na piersiach rękoma, stoi na najwyższéj igle góry Mont-Blanc.

KORDYAN.

Tu szczyt, lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną.
Spojrzę... Ach! pod stopami niebo i nad głową

Niebo... Zamknięty jestem w kulę kryształową,
Gdyby ta igła lodu popłynęła ze mną
Wyżéj — aż w niebo... nie czułbym, że płynę.
Stąd czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę.
Ciszéj! słuchajmy... o te lody się ociera
Modlitwa ludzka, po tych lodach droga
Myślom płynącym do Boga.
Tu dźwięk nieczysty głosu ludzi obumiera,
A dźwięk myśli płynie daléj.
Tu pierwszy zginę, jeśli niebo się zawali.
A ten kryształ powietrza, by tchnieniem rozbity,
Kręgami się rozpłynie na nieba błękity,
I gwiazdy w nieznajomą uciekną krainę,
I znikną, jakby ich nigdy nie było.
Spróbuję — westchnę i zginę...

Patrzy w dół.

Ha! przypominasz mi się, narodów mogiło!
Oto się przedarły chmury,
Igły lodu wytrysły z chmur kłębów;
Tam las ogromny sosen i dębów,
Jak garść mchu w szczelinie góry,
A ta plamka biała — blada —
To morze.
Silniéj wzrok napnę — oczy rozedrę, otworzę.
Chciałbym stąd widzieć człowieka.
Tam, koło jednéj igły, krążą orłów stada,
Jak pierścionki żałobne na perłowych lodach;
A odemnie błękitna płynie szczelin rzeka,
Każda w jednę otchłań zlata,
I nikną jak w morza wodach.

. . . . . .

Jam jest posąg człowieka — na posągu świata.

. . . . . .

O gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie,
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną...
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie móc? w szmaty podrę łono!

Nie móc? to piekło!
Mogęż siłą uczucia serce moje nalać,
Aby się czuciem na tłumy rozciekło,
I przepełniło serca nad brzegi,
I popłynęło rzeką pod trony — obalać?
Mogęż zruszyć lawiny? potém lawin śniegi,
Zawieszone nad siołem,
Zatrzymać ręką lub czołem?
Mogęż, jak Bóg w dzień stworzenia,
Ogromnéj dłoni zamachem
Rzucać gwiazdy nad świata zbudowanym gmachem,
Tak, by w drodze przeznaczenia
Nie napotkały nigdy kruchéj świata gliny
I nie strzaskały w żegludze?
Mogę... więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!

Po chwili... z wyrazem zniechęcenia.

Może lepiéj się rzucić w lodowe szczeliny?...

Po chwili... z razu spokojnie, potém z zapałem.

Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiéty — kupiłem...
Wiara dziecinna padła na papieskich progach..
Nic, nic, nic, aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem,
I czuję życie!
Lecz nim myślą olbrzymią rozpłonę,
Posągu piękność mam — lecz lampy brak.
Więc z ognia wszystkich gwiazd uwiję na czoło koronę,
W błękicie nieba sfer ciało roztopię tak,
Że jak marmur, jak lód, słonecznym się ogniem rozjaśni.
Potém piękny, jak duch baśni,
Pójdę na zimny świat i mogę przysiąc,
Że te na czole tysiąc gwiazd i w oczach tysiąc,
Że posągowy wdzięk narodów uczucia rozszerzy
I natchnie lud;
I w serca jak myśl uderzy,
Jak Boga cud...

. . . . . .

Nie — myśli wielkiéj trzeba z ziemi, lub z błękitu.
Spojrzałem ze skały szczytu,

Duch rycerza powstał z lodów...
Winkelried dzidy wrogów zebrał i w pierś włożył,
Ludy! Winkelried ożył!
Polska Winkelriedem narodów!
Poświęci się, choć padnie jak dawniéj! jak nieraz!
Nieście mię, chmury! nieście, wiatry! nieście, ptacy?

Chmura znosi go z igły lodu.

CHMURA.

Siadaj w mgłę — niosęć... Oto Polska... działaj teraz!..

KORDYAN, rzucając się na rodzinną ziemię z wyciągniętymi rękoma woła.

Polacy!!!

AKT III.

SCENA I.

Plac przed zamkiem królewskim w Warszawie, okna dokolnych domów przystrojone kobiercami, pełne widzów. Wielkie rusztowanie czerwoném suknem nakryte zalega większą część placu — na niém siedzą rzędami przystrojone kobiéty.. Najbliżéj widza kolumna Zygmunta, na podstawie lud zasiadł .. Ludzie różnego stanu stoją dokoła i patrząc na zamek, rozmawiają.

PIERWSZY Z LUDU.

No! patrzaj, panie kumie, co przed zamkiem stoi...
To car nasz miłościwy kazał stawić w nocy
To wielkie rusztowanie... jeśli naród zbroi,
To będą ścinać głowy...

DRUGI Z LUDU.

Waść rzucasz jak z procy
Niepomyślane baje... na to rusztowanie
Wchodzą wielmożni nasi i wielmożne panie,
Co na koronacyą chcą patrzeć z wysoka...

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Kwiatem dam się pokrywa estrada szeroka.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Estrada! jakie słowo — ja przyswoić wolę
Wyraz wschodowidownia.

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Zgoda, mój purysto.
Lecz patrzaj, pióra, kwiaty, tiule, parasole,
To istna łąka... Chciałbym zostać ziemną glistą
I pełzać po tych kwiatach.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Wolisz zostać carem
I chodzić po tych głowach.

SZEWC.

Uf! jak duszno! tłumnie!
Siła miejsca ubyło z grubym piwowarem,
Odkąd się przy Zygmunta zatoczył kolumnie.

SZLACHCIC.

Toć ten sam, który niegdyś jak koń w taczkach chodził,
Za jakieś przewinienie, z woli księcia pana,
Tak wychudł biédak wówczas i tak się wygłodził,
Że, jak mówią, aż własne obaczył kolana,
I łzami się rozpłakał.

SZEWC.

Któż mu tu przyjść radził?
Wstyd mu biją te kotły i wstydem gra trąba,
Chyba żywot kulami i siarką nasadził,
I chce się u nóg cara rozprysnąć jak bomba?

SZLACHCIC.

Ten szewc pojął honoru i zemsty prawidła.
Prawidła... Mój kalambur upadł — o lud głupi!
Nie podjął kalamburu! o! zgrajo przebrzydła,
Kto twoje berło kupi, kij pastucha kupi...

SZEWC.

Cha! cha! cha! jak się szlachcic czerwony indyczy!..

PIERWSZY Z LUDU.

Cicho! słuchajcie — oto pierwszy szereg krzyczy,
Cesarz przechodzi — krzyczmy.

KILKU Z LUDU.

Niech żyje! niech żyje!

PIERWSZY Z LUDU.

Nic nie widać... Chorągiew z wiatrami się bije
I posuwa się zwolna...

DRUGI Z LUDU.

Idzie jakiś starzec,
Siwy cały — och! siwy, jak srebrzysty marzec,
Niesie złotą poduszkę, na niéj szabla leży...

ŻOŁNIERZ.

Oj dobrze cesarzowi, że polskie szablice
Śpią sobie na poduszkach...

PIERWSZY Z LUDU.

Wielki książę bieży,
I nakazał gardłowéj przegrywać muzyce.

Słychać śpiew na nutę: „God save the king".

ŻOŁNIERZ.

Ha! ha! dmą sobie ludzie w gardła jak w oboje.

PIERWSZY Z LUDU.

Sypnęły się zielone szambelanów roje,
Pożółciałe haftami, niby pszczoły z ula...
Ha! idzie...

KILKU.

Kto?

PIERWSZY Z LUDU.

Król.

ŻOŁNIERZ, śpiewa.

Boże! pochowaj nam króla!

SZEWC.

Nie w takt śpiewasz i nie w sens...

ŻOŁNIERZ.

Ha! nie moja wina,
Pod Maciejowicami ogłuchłem od kuli,
I przyznam się, że nie znam, jak w maryaszu króli,
Gdy się z nimi kozyrna połączy dziewczyna,
To sobie ze cztérdziestu choć na dyszlu walę...

SZEWC.

Ciszéj no! waść o królach gadasz tak zuchwale,
Jak gdyby szpiegi butów nie umieli skroić?
Wierz mi waść — co masz gadać, to wolałbyś broić,
A kiedy nie masz dratwy, to dziur nie kol szydłem...

KILKU.

Cha! cha! cha!

PIERWSZY Z LUDU.

To go wstrzymał skórzaném wędzidłem.

GARBATY ELEGANT.

Pozwólcie też, panowie, spojrzeć człowiekowi ..

KILKU.

Garbuś! garbuś! ustąpcie miejsca garbusiowi....
Wsadzić go na ramiona...

SZEWC.

Zgodziłby się mały!
Wszak o nim historya świat obiegła cały.
Wracając nocą, nie mógł rynsztoka przeskoczyć.
Sajetowego sukna nie chciało się zmoczyć;
Czeka... Aż tu przechodzi drogą pozytywek,
Więc w prośby, by go ludzie zanieśli do domu;
Zgodzili się, na skrzyni konno usiadł krzywek;
Gdy go tam przywiązali, jak garść suchą łomu,
Nuż korbą kręcić, różne muzyki wygrywać
I do szynków zachodzić... musiał biédak śpiewać,
A nie śpiewać, to ludziom grać jak z dobréj woli...

KILKU.

Cha! cha! cha!

ŻOŁNIERZ.

Ze starego śmiejcie się żołnierza,
Lecz wara z ułomnego przedrwiwać niedoli.
Gdzie on...

PIERWSZY Z LUDU.

At, w inną stronę poszła sobie wieża...

DRUGI Z LUDU.

Car przeszedł, a my wszyscy patrzali jak głupce
Na garb i nie widzieli cara...

PIERWSZY Z LUDU.

Wielka szkoda!
Idźmy lepiéj po bruku wybijać hołupce,
Mówią, że z beczek wino leje się jak woda.

Lud się rozchodzi.

SCENA II.

Wnętrze kościoła katedralnego, ołtarz wielki rzęsiście oświécony. Prymas z bogato przybraną asystencyą odprawia mszę. Muzyka .. Cesarz stoi pod szkarłatnym baldakimem, na szczeblach tronu polscy dygnitarze państwa i jenerałowie moskiewscy... Prymas lud żegna i przystępując do cesarza, podaje mu koronę, cesarz kładzie ją na głowę — kanclerz podaje na węzgłowiu miecz państwa, cesarz mieczem robi znak krzyża na cztéry strony świata. Prymas podaje księgę konstytucyjną.

CESARZ, kładąc rękę na księdze.

Przysięgam!...

Znów cisza głęboka .. Prymas odchodzi do ołtarza i intonuje psalm „Te Deum".

SCENA III.

Plac przed zamkiem i lud jak w scenie pierwszéj, muzyka gra pieśń: „God save, Boże, zachowaj króla nam."

PIERWSZY Z LUDU.

Car się ukoronował, wychodzi z kościoła,
Przysiągł konstytucyą święcić jak pacierze.

DRUGI Z LUDU.

Wróciwszy, pewnie w zamku zasiądzie do stoła?
Choć królem, to jeść musi jak i każde zwierzę.

SZLACHCIC.

A wiecież, co jeść będzie?

DRUGI Z LUDU.

A proszę waszmości,
Toć zapewne nie będzie ogryzał tam kości,
Toż królowi na pokarm dostateczny stawa.

SZLACHCIC.

Będzie zjadał bażanty, a na wety prawa.

SZEWC.

Waćpan musisz zagadki siać do Kuryera.
Co to za krzyk?

PIERWSZY Z LUDU.

Zapewne żandarm tłum przeciera.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

O! nie, to się sam książę wdał z babami w boje.

GŁOS KOBIÉCY w dali.

Dziécię moje! o, dziécię! dziécię! dziécię moje!

PIERWSZY Z LUDU, do stojącego na kolumnie.

Cóż to za krzyk, waszmości czoło aż pobladło.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Książę uderzył starą kobiétę z dziécięciem,
Potknęła się i dziecko do rynsztoka padło.
Zbiegł się tłum... teraz cały ucieka przed księciem,
I tylko widać starą nad dzieckiem kobiétę,
Ciałem dziécię zakrywa... To odwaga rzadka!

GŁOS DALEKI.

Dziecko zabite!

GŁOS BLIŻSZY.

Dziecko zabite!

STOJĄCY NA KOLUMNIE, do dalszych.

Zabite...

LUD.

A matka?

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Kto wie, czy to matka?

LUD.

O! to matka,
Inna by już uciekła; co się tam z nią stało?

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Czekajcie! Dwóch żandarmów niebogę porwało,
Zamietli przed cesarzem krwią polane bruki...

Lud częścią się rozchodzi ponury... Orszak koronacyjny powraca do zamku... Lud przerzedzony milczy — muzyka gra — ściemnia się. — Lud rzuca się na sukno pokrywające estradę.

LUD.

To dla nas sukno! dla nas! rozerwać je w sztuki!..

Ściemnia się coraz bardziéj. — Ludzie rozerwali sukno, i w czerwone płachty okryci rozchodzą się po ulicach. — Przy beczkach z winem widać jeszcze garstkę pijących. — Człowiek, czarnym płaszczem okryty, mięsza się między nich i śpiewa.

ŚPIEW NIEZNAJOMEGO.

Pijcie wino! pijcie wino!
Nie wierzycie, że to cud,
Gdy strumienie wina płyną,
Choć nie sadzi winnic lud.
Pij drużyno! pij drużyno!
Chrystus wodę mienił w wino,
Gdy weselny słyszał śpiew,
Gdy wesele było w Kanie...

Głośniéj.

A gdy przyszło zmartwychwstanie,
Chrystus wino mienił w krew...
Jutro błyśnie jutrznia wiary,
Pijcie wino, idźcie spać!
My weźmiemy win pubary,
By je w szklany sztylet zlać.
Niech ten sztylet silne ramię
W piersi wbije i załamie...
Pijcie wino! idźcie śnić!
Lecz się będzie świt promienić,
Trzeba wino w krew przemienić,
Przemienione wino pić!...

Pieśń ustaje, nieznajomy odchodzi.

PIERWSZY Z LUDU.

Kto to śpiewał?

DRUGI Z LUDU.

Śpiew huczał we mnie i podemną...

TRZECI Z LUDU.

Idźmy do domu... jest coś strasznego... tak ciemno...

SCENA IV.

Loch podziemny w kościele św. Jana, w koło trumny królów polskich, w głębi mały ołtarz. — Przed ołtarzem stół okrągły, jedna lampa i krzesło. — Prezes spisku sam jeden siedzi za stołem, w czarnéj masce i z siwymi jak śnieg włosami. — Widać wschody prowadzące na górę do korytarzów kościelnych, na wschodach szyldwach widny do połowy.

PREZES, sam.

Ciemna jaskinio trumien, znam ja ciebie!
Nieraz w te prochy iskrę myśli kładłem,
Budziłem królów, serca ich odgadłem,
Działali... w dziejach jak na jasném niebie
Nigdzie czerwone nie padały plamy.
Gdybyście, króle, z trumien dziś powstali,
Ludzie by rzekli: O znamy was! znamy!
Starzec nam o was mówił, żeście biali
Jako Anieli... Tak nam starzec prawił.
Jażbym tron nieskalany Polaków zakrwawił?
Rzuciłem się w otchłani spisków czarne cienie,
Zapalonéj młodzieży sztyletami władam,
Mam sto rąk, sto sztyletów... gdy chcę, sto ran zadam;
Wzrok mój przytępiał długim wiekiem, lecz sumienie
Ma bystre oczy, widzę, że światło zagasło.
Lepiéj przy Waszingtonie było umrzeć...

SZYLDWACH.

Hasło?...

GŁOS.

Winkelried.

SZYLDWACH.

Tędy!

Schodzi do lochu zamaskowany w ubiorze księdza.

KSIĄDZ.

Prezes wszystkich nas ubiegłeś.

PREZES.

Nie dziw się, że 'mię w grobach pierwszego spostrzegłeś,
Starość mię prowadziła.

KSIĄDZ.

Powiédz mi, prezesie,
Jak się to skończy?

PREZES.

Nie wiem.

KSIĄDZ.

Burza nie rozniesie
Sztyletów tak jak liści... Byle się udało!

PREZES.

Pomnij, że nosisz szatę Zbawiciela białą.
Splamisz ją.

KSIĄDZ.

Głos twój drżący...

PREZES.

Zimno mi i ciemno...

KSIĄDZ.

A mnie krew pali...

PREZES.

Boże! zmiłuj się nademną!
Księże, powiédz mi, wiele lat masz?...

KSIĄDZ.

Pięćdziesiąty!

PREZES.

Gdyś się rodził, rok miałem dwudziesty dziewiąty
I biłem się za wolność!...

KSIĄDZ.

Cóż stąd?

PREZES.

Nic... wspomnienie.

KSIĄDZ.

Zachwiałeś duszą moją — zbudziłeś sumienie,
Cóż rozkażesz? co robić?

PREZES, z zapałem.

Wstrzymać ich, na Boga!
Niech myśl młodych ciemnicy nie przestąpi proga,
Niech spisek z czarną twarzą na świat nie wychodzi,
Bo tam na świecie białym błyszczy Boga słońce!
Zwołałem tu szalonych, bo wiatr grobów chłodzi,
Bo mogę wezwać prochy królów za obrońce.
Jam niegdyś z piersi moich lał poety pienia,
Dziśbym je chętnie wydarł z kart wiekowéj sławy
I spaliłbym je w ogniu, gdyby z ich płomienia
Myśl wydobyć głośniejszą nad młodzieńcze wrzawy,
Myśl łamiącą sztylety.

KSIĄDZ.

Źle począłeś sobie,
Oni tu miecze jasne wyostrzą na grobie.

PREZES.

Na grobie królów naszych? O hańbo! o wstydzie!
Ostrzyć miecz królobójczy? sztylety?

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelried.

SZYLDWACH.

Tędy droga.

Schodzi zamaskowany podchorąży.

PREZES, do księdza cicho.

Wesprzyj mię, biskupie.

KSIĄDZ.

Poznany jestem... maski zdradzają nas trupie.

PODCHORĄŻY.

Ile się w trumnach królów robactwa wypasło?
Chciałbym podnieść te wieka, zajrzeć w prochy...

SZYLDWACH.

Hasło!

GŁOS.

Winkelried.

Schodzi zamaskowany pierwszy z ludu.

PIERWSZY Z LUDU.

Ha, prezesa głowa, chociaż stara,
Dobre obrała miejsce... Bo kościół otwarty
Na cztérdziesto-godzinne pacierze za cara,
A przy bramie kościelnéj stoją szpiegów warty
I spisują pochwały dla człeka, co wchodzi
Pomodlić się za cara. Więc to nic nie szkodzi,
Można jedném krzesiwem dwie hubki zapalić,
Będzie nas i kraj kochać, i szpieg cara chwalić.

SZYLDWACH.

Kto idzie? ludzie, kto wy? hasło!

GŁOSY.

Winkelriedy.

Schodzi wielu maskowych różnego stanu.

PIERWSZY Z LUDU.

Co to znaczy Winkelried?

DRUGI Z LUDU.

Jakieś słowo czarów.

PODCHORĄŻY.

Był to niegdyś dowódzca u wolnych Szwajcarów.
Śród walki w obie dłonie zgarnął wrogów dzidy
I wbił we własne serce i drogę rozgrodził.

PIERWSZY Z LUDU.

Toby się dziś ów rycerz dobrze z nami zgodził!

PREZES.

Cicho! módlcie się raczéj! miejsce nie do gwarów;
Zeszliśmy się w grobowce składać sąd na carów,
Patrzcie więc w serca wasze! patrzcie w serca wasze!
Aby je wiecznéj ludów nie przedać ohydzie.

Niech nas Bóg wieńcem prawdy gwiaździstéj opasze,
Niech anioł cichy zejdzie pośród nas...

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelried.

Tu słychać ciągle głos szyldwacha i odpowiadanie spiskowych. — Ludzie różnego ubioru zamaskowani schodzą po szczeblach i siadają w milczeniu na ławach. — Głosy szyldwacha coraz rzadsze, ustają zupełnie — cisza głęboka. — Zegar na wieży kościelnéj bije zwolna godzinę dziesiątą.

PREZES.

Bracia! w imię Boga sąd otwarty.

Chwila milczenia.

PIERWSZY Z LUDU.

W imię Boga sztyletem piszę zemsty słowo...

DRUGI Z SPISKOWYCH.

W imię Boga, ja drugi.

INNY.

Ja trzeci.

INNY.

Ja czwarty...

PREZES.

Ludzie, stoję przed wami z osiwiałą głową
I powiadam: czekajcie! Moje oczy stare
Widziały wielkich mężów, i mówię wam święcie,
Żeście wy niepodobni do nich! Jeśli wiarę
Boga chowacie w sercu? na Boga zaklęcie
Wzywam was, ludzie, stójcie! i sztylety wasze
Zamieńcie na święcone w kościołach pałasze;
A kiedyś uderzymy w zmartwychwstania dzwony
Tak, że odgłosem królów zachwieją się trony
Jak drzewa podrąbane.

PODCHORĄŻY.

W przeszłość patrzę ciemną
I widzę cień kobiéty w żałobie — kto ona?

Patrzę w przyszłość — i widzę tysiąc gwiazd przedemną,
A cień przeszłości ku nim wyciąga ramiona;
Te gwiazdy, to sztylety... Kraj nasz dawny widzę.
Mądrość rządzców na starém zaszczepiła drzewie
Kraj młody, oba kwitły na jednéj łodydze,
Jako dwie róże barwą różne w jednym krzewie.
Jak dwaj równi rycerze w jednakowéj zbroi
Chodzili pierś przy piersi z wrogiem staczać bitwy,
Jako dwie w łonie Boga tonące modlitwy
Jedną natchnięte myślą — jak dwa pszczelnych roi,
Które pasiecznik zlewa w jednych ulów ściany..
Onego czasu! wielkie południa Tytany
Powstali przeciw Bogu — królom — i niewoli.
Bóg uśmiechnął się tylko na tronie szafirów,
Lecz króle padły nakształt zrąbanéj topoli;
Gilotyna okryta łachmanami kirów,
Niezmordowana, ręką wahała stalową,
A ilekroć skinęła, tłum umniejszał głową.
I widzieli ją króle, bo ta gilotyna
Była tragedyą ludu, a króle widzami.
Więc zemsta! Nierządnica i Car: Katarzyna,
Zabijające oko trzymała nad nami;
Osadziła nas wartych męczeńskiego wieńca,
Wymyśliła męczeństwo... Wziąwszy czaszkę spadłą
Z Burbońskiego tułowu — krwawą i pobladłą,
Wsadziła ją na tułów swego oblubieńca,
I dała nam za króla — króla z trupią głową.
Potém z pod niego kradła dziedzinę grobową.
A on ręką nie ruszył... I nie stało kiru
Na szatę matki naszéj, więc w troje pocięto.
A dziś — zapytaj mewy lecącéj z Sybiru,
Ilu w kopalniach jęczy? a ilu wyrżnięto?
Ilu przedzierżgniono w zdrajców i skalano?
A wszystkich nas łańcuchem z trupem powiązano,
Bo ta ziemia jest trupem. Brat się wściekł carowi,
Więc go rzucił na Polskę, niech pianą zaraża!
Zębem wściekłym rozrywa. Mściciele! spiskowi!
Gdy car wkładał koronę u stopni ołtarza,
Trzeba go było jasnym państwa mieczem zgładzić,
I pogrzebać w kościele i kościół wykadzić

Jak od dżumy tureckiéj, i drzwi zamurować,
I rzec: o Boże! racz się nad grzesznym zmiłować!
To wszystko — i nic więcéj... Teraz car za stołem.
Satrapy nasze korni pokładli się czołem;
Win tryskają brylanty z kielichów tysiąca,
I palą się pochodnie, a muzyka grzmiąca
Gipsy ze ścian oprósza. Kobiéty dokoła
Rozwkitłe, świeże, wonne jak Saronu róże,
Na rosyjskich ramionach opierają czoła

Silnie.

Idźmy tam! i wypalmy ogniami na murze
Wyrok zemsty, zniszczenia, wyrok Baltazara.
Carowi niedopita z rąk wyleci czara,
Błękitnym blaskiem mieczów napisane słowa
Wytłómaczy śmierć mędrsza niż głos Daniela.
A potém kraj nasz wolny! potém jasność dniowa!
Polska się granicami ku morzom rozstrzela
I po burzliwéj nocy oddycha i żyje.
Żyje! czy temu słowu zajrzeliście w duszę?
Nie wiem... w tém jedném słowie jakieś serce bije,
Rozbieram je na dźwięki, na litery kruszę,
I w każdym dźwięku słyszę głos cały ogromny!
Dzień naszéj zemsty będzie wielki — wiekopomny!
A dzień pierwszy wolności, gdy radość roznieci,
Ludzie wesela krzykiem o niebo uderzą,
A potém długą ciemność niewoli przemierzą,
Siądą... i z wielkiém łkaniem zapłaczą jak dzieci,
I słychać będzie płacz ogromny zmartwychwstania.

Słychać szmer zapału.

PREZES.

Piekielna myśl złoconym obrazom przygania,
Nie śmiałbyś zgłębić myśli sumienia oczyma,
Ciebie młodzieńczy zapał nad przepaścią trzyma.
Patrz! car zabity — we krwi — zabita rodzina —
Bo to następstwo zbrodni... lecz nas Bóg ukarze!

PODCHORĄŻY.

Z Cezara karła weźmy zemstę Rzymianina.

PREZES.

A gdy jaki Antoniusz Europie pokaże
Płaszcz skrwawiony Cezara?... i do zemsty zbudzi?
A kiedy się na Polskę wszystkie ludy zwalą,
Wielu przeciw postawisz wojska? wielu ludzi?
Czém zbrojnych? czy sztyletu zakrwawioną stalą?

KSIĄDZ.

Cóż powie głos z mownicy, gdy ciało mocarza,
Który swém berłem trony Europy podważa,
Wśród kadzidł, świéc jarzących, na katafalk wniosą?
O ludy! ludy! płaczcie łez rzęsistą rosą,
I za ziemię Lechitów w prochy bijcie czołem,
I posypujcie czoła prochem i popiołem,
Bo ta ziemia Jaheli uzbrojona ćwiekiem,
Niegodnie...

PODCHORĄŻY.

Strój cię świętym wydaje człowiekiem.
Miałeś na cara pogrzeb mowę napisaną.
Wiatr jakiś chorągiewkę okręcił blaszaną,
Obosieczne kazanie przeciw nam obrócił.
Miało być tak w kazaniu... Naród więzy zrzucił,
Więc przed ziemią Lechitów, ludy, bijcie czołem.
A króle niechaj głowy posypią popiołem,
I wyją na ulicach.

SPISKOWI.

Cha! cha! cha!

PREZES.

Przeklęty!
Kto śmiechem groby królów znieważa.

KSIĄDZ.

Wyklęty!

PIERWSZY Z LUDU.

Zwołali nas, ażeby naśmiać się do woli,
Obłąkać i przeklinać.

KSIĄDZ.

Sam Bóg nie pozwoli,
Aby zbrodnia w kościelnym rozwinięta domu
Miała ogień błyskawic ze skrzydłami gromu.
Bóg, co zabójców rzuca w piekielne ogniska...

STARZEC Z LUDU.

Wiele potrzeba zabójstw, nim się kraj odzyska?

GŁOS Z TŁUMU.

Car...

STARZEC.

To jedno.

GŁOS.

Carowa żona.

STARZEC.

Drugie.

GŁOS.

I dwóch braci.

STARZEC.

Cztéry. Licz daléj, bracie, bo się liczba straci.

GŁOS.

Syn cara.

STARZEC.

Piąte.

GŁOS.

I już wszyscy.

STARZEC.

Zabijajcie!
A krew niech na mnie spada...

PREZES.

Masz włos biały, starcze!

STARZEC.

Do ciebie nic nie mówię... spiskowi, słuchajcie!
Jeśli krwi ciężarowi jeden nie wystarczę,
Syny moje i córki za was się poświęcą.
Krew dziecka i kobiéty sam wezmę — książęcą
Syny wezmą; dwóm córkom nieszczęsnym na głowy —
Na dwie — bo słabe, rzucę lekką krew cesarza.
A kiedy Bóg zawoła w straszny dzień sądowy,
Stanę przed Bogiem obok jakiego mocarza,
Co się codzienną zbrodnią we łzach ludu pławi;
I powiem: Boże! Boże, patrz, otośmy krwawi!

Zdjęliśmy tę krew z ludzi, aby drzewo krzyża
Lżejsze było płaczącym na ziemskiém padole;
A teraz się na twoję opuszczamy wolę.

PODCHORĄŻY.

O! błogosław mi, starcze!

KSIĄDZ.

On Bogu ubliża.
Sprawiedliwości boskiéj...

PODCHORĄŻY.

Milcz, księże! milcz, księże!
Myśli w niebo lecącéj twój wzrok nie dosięże.
Więc oto jest ogromna poświęceń nauka!
Mnie samego ten starzec nową natchnął wiarą.
Chyba was po tych słowach sam szatan oszuka,
Chybam ja Boga jakąś obciążony karą,
Jeśli wyrazy sieję jak kwiat bezowocny.
Wierzcie mi! wierzcie, ludzie! jam jest wielki, mocny.
Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczém,
Robak smutku mię gryzie... tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać i usiąść i zalać się łzami;
Lecz ten smutek, to żałość dziecinna, po niczém,
Może po kraju... Ludzie, wierzyć powinniście
Człowiekowi, co cierpi... nie siadać pod drzewem,
Któremu wiek spróchniałe poobrywał liście.

Z rozpaczą.

O gdyby lutni! jabym was poruszył śpiewem;
Gdyby historyi księga! przeczytałbym kartę,
O Polsce, kiedy była kwitnąca, szczęśliwa,
A wstalibyście wszyscy jak groby otwarte,
Rzucające mścicieli... Mnie zapał rozrywa,
Zdaje mi się, że piersi otworzył na poły,
Że powinniście widzieć czyste serce moje.
Nie przyszedłem was błąkać jak ciemne anioły,
Ani się waham myślą przecięty na dwoje,
Jestem cały i jeden... A gdy kraj ocalę,
Nie zasiądę na tronie, przy tronie, pod tronem,

Ja się w chwili ofiarnéj jak kadzidło spalę!
Imienia nie zostawię po ciele spaloném,
Tylko echo... i miejsce jakieś wielkie! próżne!
A dzieje będą memu imieniowi dłużne
Pochwałą, a zapłacą tylko zapomnieniem.
Nic! nic po mnie! lecz imię ON, i tém imieniem
Piastunki na królewskie dzieci będą swarzyć,
Królątka zaczną płakać i nocami marzyć
O bezimiennym duchu, co zrywa korony.
Dla was życie, kraina wolna, dla was trony;
Ja wszystko skończę z chwilą ogromną odrodu.
Lecz dajcie mi się w ręce; zamiast trzymać berło,
Niechaj piastuję siłę olbrzymią narodu!
A koronę Jehowy przyozdobię perłą
Ludu zmartwychwstałego... Dajcie mi się w ręce!
Ani mię duma wstrzyma, ani sny zwierzęce,
Póki długiéj wolności nie zaszczepię wieki,
Niechaj się sen do moich powiek nie przybliża.
Lekacie się? więc weźcie, przybijcie do krzyża,
Niech mam jako Regulus obcięte powieki,
Niechaj wiecznie bezsenny, na kraj patrzę mrący,
Potém nieście przed sobą godło — krzyż cierpiący
Nie zgubi was... Przysięgam na ojcowskie cienie!
I na mękę Chrystusa! Przysięgam, że wiara
Mówi wam: wy jesteście krainy sumienie,
Zburzcie się — i z dusz waszych odrzućcie grzech cara.
I przysięgam wam jeszcze! że przysiągłem szczerze!
Jak chcę zbawienia duszy mojéj! jak w nią wierzę!
Tak dajcie mi się w ręce...

PREZES.

O! głos mi zastyga,
Nie mogę mówić...

Siada i płaszczem twarz zakrywa.

PODCHORĄŻY.

Starcze! zapał cię prześciga?
Oto pierwsze zwycięstwo... pokonam! lub zginę!
Ha! carze, ty nam polską ukradłeś krainę?

Za to śmierć! bo wiedziałeś kradnąc, żeś wart śmierci!
Ha! carze, tyś ją zabił i rozdarł na ćwierci,
Potém kawały spadłe z gilotyny ścienic
Przybiłeś do trzech tronów, jak do trzech szubienic,
Gdzie na nie patrzą wzgardą królewscy zbrodniarze;
Carze! gdybyś dwa razy mógł umrzeć? O! carze,
Dwa razy ciebie przed sąd Boga zapozywam...

Słychać szmer w tłumie... podnoszą sztylety... wstają z ław.

PREZES, zrzuca płaszcz z głowy — wstaje i robi znak umywania rąk, potém mówi zwolna i poważnie.

Róbcie, jak chcecie. Lecz ja ręce z krwi umywam.

PODCHORĄŻY, do spiskowych.

A wy?...

Milczenie długie.

SZYLDWACH przy wejściu.

Kto idzie? hasło?

Milczenie.

SPISKOWI.

Zginęliśmy! zdrada!

PODCHORĄŻY.

Ciszéj...

Słychać odgłos padającego człowieka.

SZYLDWACH.

Nie wiedział hasła.

PIERWSZY SPISKOWY.

Trup po schodach spada.

PODCHORĄŻY.

Nie drżyj, prezesie! wszakże z krwi umyłeś dłonie?

Zbliża się z lampą do trupa.

Dajcie mi lampę... sztylet w zabitego łonie...
Na piersiach jakiś papier pomięty, rozdarty.
Tak... jest to zdanie sprawy ze szpiegowskiéj warty.
To szpieg. Więc go zakopać tam — w kącie ciemnicy.

Dwóch ze spiskowych unoszą w kąt trupa, zapalają dwie latarnie i grób kopią.

PREZES.

Rozchodźmy się ze schadzki, drugiéj nie naznaczam.

PODCHORĄŻY.

Starcze, umiesz korzystać z losu błyskawicy!
Z marnego przerażenia! Lecz ja nie rozpaczam,
Każdy z osobna cara osądzi zbrodniarza,
Rozłam myśli na głosów pojedyńcze wota,
A obaczymy, zapał, trwoga-li przeważa?

PREZES.

Niech tak będzie, przeważy staropolska cnota.
Czémże będziem głosować?

KSIĄDZ.

Radzi sługa boży,
Kto jest za śmiercią cara, rzuci na stół kulę,
Kto za uniewinnieniem, niechaj grosz położy.
Ten grosz znajdzie się zawsze w ubogich szkatule.

Rzuca pieniądz — za nim prezes pieniądz kładzie, potém spiskowi kolejno rzucają z brzękiem kule lub pieniądze.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Za prezesa przykładem niechaj grosz utracę.

INNY.

Nie mam grosza przy duszy, a więc kulę kładę,
Niech żyje wolność.

INNY.

A ja grosza nie zapłacę
Za cara życie.

INNY.

Może kupujemy zdradę.
Niech z grosiwa nasz prezes zda sprawę, czas przyjdzie.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH, do ludzi kopiących grób.

Wy, co tam grób kopiecie, chodźcie, rzecz tu idzie
O to, czy grosz czy kulę rzucić?

KOPIĄCY GRÓB.

Wiemy! wiemy!

My dla głuchego człeka mogiłę kopiemy,
Lecz sami z łaski Boga nie głuszce.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Grosz dali;
Widać, że się w grabarzy nie chcą pisać cechu,
Lękają się, by carom grobu nie kopali.
Obaczemyż, z którego wiatr powieje miechu
I pogra na organach?

Wszyscy koleją przeszli... Prezes liczy.

PREZES.

Świéćcie mi pochodnią.
Dzięki ci, Boże, tylko pięć głosów za zbrodnią.

PODCHORĄŻY.

Więc car zginie.

PREZES.

Młodzieńcze, pięć kul tylko padło.
Stu pięćdziesięciu przeciw zbrodni głosowało.

PODCHORĄŻY.

Jakże mi nagle w oczach życie moje zbladło!
Na jednę kartę przyszłość postawiłem całą,
I nic. Olbrzymy spadli ze szczudeł — to karły!
Ludzie, wartoby przejrzeć wszystkich trumien wieka,
Czy w każdéj leży człowiek przed wiekiem umarły?
Czy z któréj trumny nie wstał ten szkielet człowieka.

Do prezesa.

Starcze, gdy w twoje myśli zaglądam zgrzybiałe,
Widzę, żeś się ty w inne urodził stulecie,
Po co ta maska? ciebie nikt nie zna na świecie.

PREZES.

Wszak maski nie włożyłem na me włosy białe.

PODCHORĄŻY.

Wiecznie śpiewasz to samo! hymn starości piejesz;
Jako bakałarz szkolny w duszę dzieci siejesz
Naukę, aby wstali przed zbielałym włosem.

Pamiętaj, że są ludzie tknięci nieszczęść ciosem,
Ludzie z bijącém sercem i z duszą płomienną,
Których włosy zbielały w jednę noc bezsenną;
Więc ich uszanuj, wstań przed nimi, stare dziécię.

Do spiskowych.

A wam wszystkim śmiem długie przepowiedzieć życie,
Boście umieli wybrać gwiazdę-przewodnika;
Idźcie za srebrną głową w noc niewoli czarną,
We mnie wszystka nadzieja upada i znika;
Boście z tłumu wysiani jak największe ziarno,
A tak mali jesteście... idźcie! gardzę wami!
Kto nie śmiał się poświęcić, może zdradę knuje?
Więc na znak wzgardy ludziom okrytym maskami
Rzucam pod nogi życie moje — i daruję.

Zrywa maskę z twarzy.

SPISKOWI.

To Kordyan! Kordyan! Kordyan! nie znasz nas, Kordyanie,
Nie ma tu zdrajcy! nie ma! patrzaj w nasze twarze.

Wszyscy demaskują się. Kordyan rzuca wzrok dokoła, zamyśla się — i potém wznosząc głowę, mówi zwolna.

KORDYAN.

Pośród szlachetnych Kordyan zwycięzcą zostanie.
Wy oblicza, on myśli i serce pokaże.
Kordyan ma wartę w zamku téj nocy... słyszycie?
Kordyan ma wartę w zamku w nocy.

Zbliża się do stoła, na kawałku papieru pisze słów kilka i rzuca je spiskowym.

PIERWSZY SPISKOWY czyta

Narodowi
Zapisuję, co mogę... Krew moję i życie
I tron do rozrządzenia próżny.

KORDYAN, opiera się o ołtarz i patrzy z obłąkaniem na milczących spiskowych, potém macha ręką i mówi.

Precz, spiskowi!

Rozchodzą się wszyscy w milczeniu... Kordyan stoi oparty o ołtarz, pogrążony w myślach. Dwaj grabarze zakopali ciało i zostawiwszy na mogile palące się latarnie, odchodzą. Prezes sądu sam zostaje i klęka u stopni ołtarza za stojącym Kordyanem.

PREZES.

Kordyanie!

KORDYAN, obraca się i mówi z obłąkaniem coraz wzrastającém.

Któż mię budzi? czy godzina biła?
Przychodzę do pamięci... latarnie — mogiła...
Jesteś jednym z grabarzy i żądasz zapłaty?
Ha! oto masz z Najświętszą Panną dwa dukaty,
Które mi dała matka, błogosławiąc syna.
Musisz mieć dzieci?... słuchaj! niech twoja rodzina
Westchnie za mną do Boga.

PREZES.

Och! ja nie mam dzieci!

KORDYAN.

Nie masz? a włos twój biały jako srebro świeci;
Tyś nic za twoje życie nie odpłacił Bogu.

PREZES.

Kordyanie! oto klęczę na ołtarza progu,
Lecz nie przed Bogiem, klęczę, Kordyanie, przed tobą.
Jam cię na śmierć poświęcił, teraz walczę z sobą,
Z sumieniem, jam sąd zmroził sumieniem...

KORDYAN.

Ha! stary!
Kładziesz zbrodnię na zbrodnię, klękłeś przed zbrodniarzem.
Chodź ze mną — zajrzym w księgi i światu wykażem,
Że Polska cała żadnéj niegodna ofiary,
Że ja będę zbrodniarzem...

PREZES.

Na Boga! Kordyanie!
Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie.

KORDYAN.

To nic, starcze... To włos mi siwieje i boli,
Włos każdy cierpi, czuję zgon każdego włosa;
To nic... Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I różę... Potém spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. Masz pióro przy sobie?

Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie,
Ona — jak w grobie. Więc nikt po mnie, wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym.

PREZES.

Kordyanie! oto pismo, któreś dał spiskowym,
Schowaj je, spal, bądź wolnym od przyrzeczeń słowa.

KORDYAN.

Raz, dwa, trzy, broń na ramię, warta pałacowa...
Czujność... Głupie wyrazy, stąpać jak nakażą?
Starcze, nudzisz mię! nudzisz nieruchomą twarzą,
Nie będę mógł zapomnieć, że starym nie będę.
Jeśli cię kiedy z kołem mych dzieci obsiędę,
Pluń mi na siwe włosy.

Zegar na wieży bije jedenastą.

To z nieba wołanie.

Wybiega. — Prezes za nim wyciąga ręce.

PREZES.

Kordyanie, stój! na Boga zaklinam... Kordyanie!

Wychodzi za nim.

SCENA V.

Sala tak nazwana koncertowa w zamku królewskim, oświécona lampą — w koło kolumny z marmuru, ściany zamalowane arabeskami — widać przez drzwi otwarte na przestrzał ciąg długi ciemnych pokojów, w końcu błyska słabe światło sypialnéj komnaty cara. — Kordyan oparty na bagnecie karabinu. — Różne widma.

KORDYAN, idąc naprzód z karabinem.

Puszczajcie mię! puszczajcie! jam carów morderca;
Idę zabijać... ktoś mię za włos trzyma.

IMAGINACYA.

Słuchaj! ja mówię oczyma.

STRACH.

Słuchaj! mówię biciem serca.

KORDYAN.

Nikogo nie ma,
Ktoś gada...

IMAGINACYA.

Nie patrz na mnie, lecz patrzaj, gdzie ja palcem wskażę.

KORDYAN.

Palca twego nie widzę, lecz mój wzrok upada
Tam, gdzie wskazujesz palcem. Widzę jakieś twarze.
To arabeski, ścienne malowidła.

STRACH.

Przekonaj się! wpatrzaj się w ściany,
Ściana gadem się rusza... przebrzydła...
Każdy wąż złota ogniem nalany
Pierścieniami rozwija się z muru.
Kolumny potrząsają wężów zwitych grzywę;
Sfinxy straszliwe
Spełzły z marmuru;
Sfinxy płaczą jak dzieci — węże jak wiatr świszczą.
Nie nastąp na nie... patrzaj... wiją się i błyszczą.

IMAGINACYA.

Jak motyl płocha, powiewna,
Odleciała od ściany dziewica;
Może jakaś zaklęta królewna?
Królewna — lub czarnoksiężnica?
Przypomnij! widziałeś jéj lica,
Przypomnij! do kogoś podobna,
Przypomnij!
Tamta była posępna i patrzała skromniéj.
U téj szata gwiazdami ozdobna,
To gwiazdy prawdziwe — to światy,
Błyszczą na szafirze szaty...
Jest to pasterka z gwiazd sioła,
Kosz na głowie, w koszu kwiaty
I twarz anioła.

STRACH.

Lecz patrz na oczy! nieruchome oczy!
Gdzie się obrócisz, patrzą za tobą.

IMAGINACYA.

Czy czujesz woń jéj warkoczy?

STRACH.

Rozgniotłeś węża pod sobą,
Pękła żmija.

KORDYAN.

Jezus Marya!!!

Przeciera oczy.

Sen zniknął... Naprzód! naprzód z bagnetem w pierś cara!

Wchodzi do następującéj sali, zupełnie ciemnéj. — Na lewo drzwi otwarte do gabinetu konferencyjnego. — Pokój ten w kształcie wyzłoconego jaja, zupełnie księżycem oświécony. — W środku stoi trójnóg sztucznie ze złota urobiony, a na nim leży carska korona.

OBIE WŁADZE.

Stój!..

KORDYAN.

Puśćcie! boska cięży na mnie kara!

OBIE WŁADZE.

Słuchaj! szum głuchy z milczeniem się bije,
Jak gdyby wicher wleciał w komnat szyje.
Niby szum suchego drzewa,
Niby ulewa
Grzmi o dachy pałacu... grzmi... a księżyc świéci!

KORDYAN, patrząc do gabinetu konferencyjnego.

Ta komnata srebrnego nalała się blasku,
Trójnóg złoty — korona leży na trójnogu,
Jest to korona carów dzisiaj — lecz o brzasku
Ta korona należeć będzie tylko — Bogu...
Idźmy! nie mogę oczu odpiąć od korony.

IMAGINACYA.

Patrz dłużéj — krew z niéj kapie, a pod nią schylony
Człowiek czarny jak smoła
Zajęty pracą...

STRACH.

Dwa rogi wytrysły mu z czoła,
Oczy jak żar — bez powiek...
Skąd on? i na co?

KORDYAN.

Skąd? i na co ten człowiek?

WIDMO.

Koronę nosił car,
Krew Piotrów, krew Iwana
Leje się z niéj jak z czar;
Podłogę polską czyszczę,
Bo krwią carów zwalana;
Ale śladu nie zniszczę,
Chyba za drugi wiek!...

KORDYAN.

Jeśli nie zmyjesz wodą z polskich rzek,
Przyniosę krwi — podłogę całą
Wymyjemy, będzie białą
Jak twarz trupa.

Po chwili.

Jeszcze jednę komnatę przejść trzeba.

Wchodzi do sali tronowéj.

Ciemno — i czarne okna; żadnéj gwiazdy z nieba;
Tam wiedzie — droga nakształt ognistego słupa.
Lampa strzeże cesarza, oświéca mu łoże,
I leje światło na posadzki szkliste
Jak księżyc po wód jeziorze,
Chwyta łódź moję w kręgi ogniste...
Płynę zawrotem głowy... któż doda podniety?

IMAGINACYA.

Twój bagnet łysnął... płomienne bagnety
Zleciały się w powietrzu i z ostrzem się zbiegły...
Jak rybki, gdy w krysztale kruszynę spostrzegły...
Zleciały się i stal szczypią
I palą.
W powietrze uderzasz stalą,
Z powietrza jak iskry się sypią.
Czekaj, aż się ul cały płomyków wyroi.

STRACH.

Nie patrz tylko za siebie, bo tam u podwoi...

Kordyan obraca się.

IMAGINACYA.

Dwie z malakitu wazy, w nich dwa drzewa rosną
Zimą i wiosną.
Patrz! liście z ludzkich uszu, z oczu ludzkich kwiaty
I zwykły nasionami języków się plemić,
Lecz cesarz rwie nasiona, by drzewa oniemić...
Więc jak nieme hajduki, przy wejściu komnaty
Patrzą kwiatem — liściem słyszą;
A wszystko z grobową ciszą
W grubiejący pień się wlewa.

KORDYAN.

Widzą! i słyszą! drzewa...

STRACH.

Nie zaglądaj przez okna na ciemną ulicę!

Kordyan patrzy przez okno.

IMAGINACYA.

Z kościoła aż do zamku orszak zmarłych długi,
Niosą żółte gromnice,
Wiele trupów... jeden, drugi,
Setny, nie przeliczysz więcéj...
Tysiąc tysięcy...
Berła — korony — szaty królewskie.
Z gromnic dymy niebieskie
Mglą trupom twarze kościane.
A trumien ile trupów — każdy niesie trumnę;
Rzucają pod zamku ścianę,
Budują wschodów kolumnę,
Wysoko jak stogi gumien...
Trumny się kruszą,
Lecz tyle trumien!
Wejść muszą.

KORDYAN.

Gdzie idą?

IMAGINACYA.

Tu.

KORDYAN.

Czy cara trumnami uduszą?

IMAGINACYA.

Ciszéj! patrz, jakieś straszydło,
Z ognistą twarzą, wyszło z sypialnéj komnaty.
Nie słychać kroku jego, choć posadzek kraty
Rozstępują się — łamią pod nogą obrzydłą.

STRACH.

Czuć krew! wyszedł z tamtéj komnaty...
Tam śpi cesarz w łożu białém,
Ten człowiek stamtąd wyszedł.

IMAGINACYA.

Widziałeś?

KORDYAN.

Widziałem!

STRACH.

Co on tam robił?

KORDYAN.

Co on tam robił?...

DYABEŁ.

Zdławiłem cara — i byłbym go dobił,
Lecz tak we śnie do ojca mojego podobny.

IMAGINACYA.

Słyszysz dzwonów jęk żałobny...
Po całém mieście i na wszystkie strony?

KORDYAN z przerażeniem.

Słyszę — dzwony —

IMAGINACYA.

Błysk w szybach sali...
Po trumnach wszedł trup, i stoi cichy w oknie,
Gromnicą szyby pali.
Wiatr zrywa mu płaszcz — a robak w każdém włóknie
Jak nić biała...
Gdzie oczu blask, tam świéci kość spróchniała.
To trupów kat... wykona, co uchwalą...
Patrz, w okno bije... rozbija...

KORDYAN.

Jezus! Marya!

IMAGINACYA.

Zniknął... trumny się walą
Jak grom.

STRACH.

Wracaj, tu czarta dom...

KORDYAN.

Pójdę mimo dyabłów głosy,
Abym się we krwi ochłodził.
Tłum jakiś drogę zagrodził,
Przejść nie można... jak przez kłosy
Trzeba deptać... nie roztrącę.
Widma blade i milczące
Jak stooki strażnik pawi
Zaglądają w tamte drzwi,
Gdzie śpi cesarz... czy ciekawi,
Jaka barwa carskiéj krwi?
Ha... mówcie... czy się nie budzi?
Pożarłbym teraz mowę stu tysiąca ludzi...
Jak w grobie głucho...

Słychać dzwon na jutrznię.

Ktoś mi przez ucho
Do mózgu sztylet wbija...
Jezus! Marya!

Wymawiając ostatnie słowo, pada bez czucia krzyżem na bagnecie u drzwi sypialnego cara pokoju.

CAR wychodzi z sypialnego pokoju z lampą nocną w ręku.

CAR.

Słyszałem jakiś stuk, i czułem we snów burzy,
Jakby mię ktoś za gardło cisnął szarfą.
Czułem, co niegdyś ojciec mój, lecz czułem dłużéj.
Czyż zawsze sen ma być sumienia harfą,
Po któréj grają wichry strachu?
Idźmy!... Lecz nie znam dróg, zabłądzę w gmachu.

Chce iść i potyka się o leżącego Kordyana.

Cóż to? co to się znaczy? to trup jakiś leży...
Z bagnetem w ręku, mundur polskich ma żołnierzy,
Ze szkoły podchorążych. Pewnie stał na warcie?

I szedł do mnie zabijać?... padł na samym progu...
Wszak brat mi za nich ręczył? Kusicielu! czarcie!
Nie natrącaj mi na myśl brata — w każdym wrogu
Pokazujesz mi brata, nie, to być nie może...
O gdyby wstał ten człowiek i przemówił słowo!...
Ciepły... Wstań! mów! bo szpadą gardło ci otworzę.
Mów, czy to brat ci kazał?

Szpadą rani w rękę Kordyana, który oczy otwiera.

KORDYAN, z obłąkaniem.

Z pochodnią grobową
Trupy w oknie.

CAR.

Przemówił... Otwórz jeszcze usta,
Wymów: brat?... słowo krótkie... brat?

KORDYAN.

Blady jak chusta
Car śpi... Jezus Marya!... świt zaczął pobielać...

CAR.

Nic z niego się nie dowiem, ni z ust, ani z twarzy...
O! to brat... brat mój pewnie...

Woła.

Straży! moja straży!

Wbiegają żołnierze. Car pokazuje na Kordyana.

Jeśli nie zwaryował ten żołnierz... rozstrzelać...

SCENA VI.

SZPITAL WARYATÓW.

Widać klatki, w których siedzą łańcuchami powiązani waryaci, niektórzy chodzą wolno. — Kordyan leży na łóżku w gorączce. Dozorca szpitalu. — Doktor obcy.

DOZORCA do doktora.

Waćpan przyszedłeś zwiedzić szpital waryatów?

DOKTOR.

Oto jest pozwolenie.

Daje dukata.

DOZORCA.

Z podpisem dukatów...
Wolno panu gdzie zechcesz zazierać do klatek,
Tu waryaci, daléj sala waryatek...
Cały szpital rozłożę jak zegar po sztuce...
Pan zapewne w medycznéj ćwiczysz się nauce?

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Jakież systemata pan doktor zachwala?

DOKTOR.

Macanie głów...

DOZORCA.

Rozumiem, to systemat Galla.

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Ciekawość mię bierze, czy się pan przekona
Z głów, która tutaj głowa najostrzéj szalona?

DOKTOR.

O! ja odgadnę z twarzy sądem Lawatera.

Wskazując na Kordyana.

Ot — ta...

DOZORCA.

Wzrok Eskulapa nie dobrze przeziera,
Ten młodzieniec wszedł tutaj, bo cesarz osądził,
Że musi być szalony, lecz cesarz pobłądził.
Ten młody ma gorączkę, lecz rozsądek zdrowy,
Zdrowszy niż twój, doktorze, niż mój nawet.

DOKTOR.

Nawet?

DOZORCA.

Ha! obraziłem ciebie, paluszku Gallowy!
Chciałbyś mi ostrém słówkiem odpalić wet za wet,
I abyś dowiódł, że ten młody pstro ma w głowie,
Może dowiedziesz, żem ja szalony?

DOKTOR.

Któż to wie?...
Pozwól mi pan zapalić cygaro hawańskie...

DOZORCA.

Nie mam ognia.

Rzucając dukat.

Do krocset! dłoń mi piecze.

DOKTOR, podejmuje dukat i zapala przy nim cygaro, potém go oddaje dozorcy.

Dziękuję.

DOZORCA.

O! na Boga, to sztuki szatańskie!

DOKTOR.

Tak ci się to wydało, rozumny człowiecze,
Patrz, dukat zimny jak lód, pali, bo czerwony.

DOZORCA.

Czy mi się zdało? czym ja doprawdy szalony?
Niech mię Najświętsza Panna w swéj opiece trzyma!

DOKTOR.

Nie patrz nigdy na dukat rozsądku oczyma,
Dukat jest elementem, żywiołem...

DOZORCA.

Prawdziwie!
Odejść muszę, gdy słucham, rozum sobie krzywię.

Dozorca odchodzi.

DOKTOR.

Wypędziłem go przecie, jutro oszaleje,
Myśląc o tym dukacie; teraz mam nadzieję,
Że sam na sam z szalonym pogadam młodzieńcem.

Siada na łóżku Kordyana.

KORDYAN.

Ktoś ty jest? brat mój? krewny?

DOKTOR.

Jestem zapaleńcem.

KORDYAN.

Musiałeś się więc chyba urodzić dziś rano?
Wszyscy dotąd mówili, żem jeden na świecie.

DOKTOR.

Ciebie znali, mnie jeszcze dotąd nie poznano,
Siedziałem sobie cicho zamknięty w sztylecie.

KORDYAN.

Daj mi pić... mam gorączkę... słów twych nie rozumiem.

DOKTOR.

Natęż uwagę... jasno tłómaczyć się umiem,
Ale natęż uwagę mocno! mocno! mocno!

KORDYAN.

Natężyłem... Znam ciebie...

DOKTOR.

W godzinę północną
Wychodziłem z sypialnéj cesarza komnaty.

KORDYAN.

Cóż tam robiłeś?

DOKTOR.

Ha! nic, polewałem kwiaty...

KORDYAN.

Co? owe drzewa pełne uszu, bez języków...

DOKTOR.

Tak, to klony... a inne rosną w liść krzyżyków
Jak gwoździki maltańskie; inne jako trzciny
Pełne kolan i puste, a cesarza syny
Na pustych kolankowych trzcinach grać się uczą.

KORDYAN.

Czemu twoje wyrazy tak brzęczą i huczą?
Gadaj ciszéj... czy jakiéj nie umiesz modlitwy?

DOKTOR.

Umiem jednę, co ludzi popycha do bitwy.

KORDYAN.

Nie chcę... za głośna będzie, a może bezbożna?

DOKTOR.

To modlitwa turecka, jak księżyc dwurożna:
Jednym rogiem zabija wroga, drugim siebie...

KORDYAN.

Wszak potrzeba bić wrogów?

DOKTOR.

Wiem o téj potrzebie...
Naród ginie, dla czego? aby wieszcz narodu
Miał treść do poematu, a wieszcz rym odlewał,
Aby nieliczną iskrę ognia, pośród lodu,
Z pieśni wygrzebał anioł i w niebie zaśpiewał.
Widzisz, jak cenię wieszczów gromowładne plemię.

KORDYAN.

Nie — to nie tak... inaczéj... idź z nieba na ziemię.

DOKTOR.

Rozumiem. Hymn anioła w wieszcza się przelewa,
Zaśpiewał — naród ginie, bo poeta śpiewa.

KORDYAN.

Głupiś! Mów co ze starych testamentów księgi.

DOKTOR.

Faraon, kiedy stanął na szczycie potęgi,
Śniło mu się, że siedem wypasionych wołów
Siedem chudych pożarło.

KORDYAN.

Nie! to nie tak było...

DOKTOR.

Ale tak jest, zapytaj potomka Mongołów...

KORDYAN.

Mów o czém inném, pismo święte mię zabiło.
Czy nie jesteś botanik?...

DOKTOR.

Żądam tajemnicy,
A zwierzę się, żem wcale nowe odkrył ziele:
Rośnie na mojém oknie, w rycerskiéj przyłbicy,
Posiane w stu miast dawnych ostygłym popiele.
Wkrótce, jak się spodziewam, wyda pączek liczny,
Jak myśli milionów... a potém kwiat śliczny,
Czerwony jak krew ludzi, a potém nasienie
W strąkach wielkich zawarte, które pękną z trzaskiem
Jak miliony harmat... Wpadasz w zachwycenie?
Oczy twe poetycznym zapłonęły blaskiem.

KORDYAN.

Czy ta roślina kwitnie? plemi się?

DOKTOR.

Już wschodzi.

KORDYAN.

Wschodzi dopiero?

DOKTOR.

Tak jest, a że mróz jéj szkodzi,
Więc ją do czasu garnkiem przykryłem kuchennym.

KORDYAN.

Dręczysz mię, nudzisz, łamiesz, gryziesz, jestem sennym.
Gadaj mi nie o kwiatach.

DOKTOR.

Trzy są elementa,
Które składają rozum, trzy wielkie myślniki:
Przez nie wytłomaczona jasno Trójca święta.
Myślnik jedność urodził wielości liczniki,
Z nieskończoności starszéj określność wypływa;
A związek między nimi, myśl, co porównywa,
Jest trzecim elementem, z trzech Trójca się składa;
Bez wyobrażeń liczby wnet jedność upada;
Bez określności bytu nieskończoność niknie;
Więc jedna równa drugiéj, jak Ojciec Synowi,
Względność ich dała życie świętemu Duchowi,
A wszystkie trzy idee są Trójcą — rozumem.

KORDYAN.

Napełniłeś mi uszy oceanu szumem;
Mam gorączkę... Człowieku, co prawisz u kata?

DOKTOR.

Wyleczę ciebie... Teraz o stworzeniu świata,
Czy o stworzeniu ludów... Świat przed ludźmi ginie;
Ziemia to orzech w chmurnéj zawarty łupinie.
Bóg przez sześć dni wiekowych stwarzał ziemskie ludy.
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Judy,
To była ziemia, na niéj wyrosły narody.
W drugim dniu porozlewał wschodnich ludów wody;
W trzecim, jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
W piątym wzleciały orłów rzymiańskich znamiona,
To były ptaki... a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona,
W szóstym człowieka zlepił Bóg... Napoleona.
Dziś dzień siódmy, Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył.

KORDYAN.

Łżesz, podły! Każdy człowiek, który się poświęca
Za wolność — jest człowiekiem, nowym Boga tworem.

DOKTOR.

Cha! cha! wolność garncarskie koło dziś pokręca,
Dobrze mówisz, to koło nowym idzie torem,
Wyda gliniany garnek.

KORDYAN.

Wyda wielkich ludzi!...

DOKTOR.

Widzisz, jak ci się płomień gorączkowy studzi,
Gadasz wcale do rzeczy...

KORDYAN.

Słuchaj! powiédz szczerze,
Czy nie widziałeś nigdy człowieka-anioła?
Co swe cierpienia ludom przynosi w ofierze
I gromom spadającym wystawia cel czoła,

I śmierć za Zbawiciela ponosi przykładem,
Za lud cierpiąc...

DOKTOR.

Ten człowiek szedł tu moim śladem.
Zawołam go.

Woła dwóch waryatów, jeden z nich trzyma rozkrzyżowane ręce, drugi jedną rękę podniesioną ma do góry.

Dwóch widzisz, za lud cierpią oba;
A jak cierpią, powiedzą, abyś sam ocenił...

Do waryata z rozkrzyżowanymi rękoma.

Bracie! powiédz mi, coś ty za wielka osoba?

PIERWSZY WARYAT.

Jam nie osoba, jam się dawno w krzyż zamienił.
Ja byłem krzyżem w Chrystusa męce,
Do mnie zmarłego przybili;
A jam go zamiast ćwieków unosił za ręce,
Jak małe dziécię, gdy kwili.
Jestem krzyżem, gdy papież daje krzyża drzewo,
Nie wierzcie! ja mam nogi, rękę prawą, lewą,
Nic ze mnie nie ubyło, niech kto części liczy...

Smutnie mówi, odchodząc.

Boże! odwróć odemnie ten kielich goryczy.

DOKTOR, do Kordyana.

Widzisz, on się poświęcił za lud.

KORDYAN.

Zwaryował!...

DOKTOR, do waryata z podniesioną ręką.

A ty, czemuś tak ręką w niebo wygórował?...

DRUGI WARYAT.

Ciszéj mów! nieba sufit lazurowy
Trzymając na téj dłoni, zasłaniam świat cały.
Niebo, słońce, księżyc biały,
Chcą upaść ludziom na głowy;
Lecz ja stoję pod nieba nachylonym stropem,

Znużony, tęskny, bezsenny.
Módlcie się do mnie, jam zbawca codzienny,
Zasłaniam ludy przed nieba potopem...
Śpijcie, ludzie! dobréj nocy!

Odchodzi.

DOKTOR.

A cóż? to wielki człowiek! za lud się poświęcił!

KORDYAN.

To waryat...

DOKTOR.

Bluźnierstwa rzucasz z ustnéj procy!

KORDYAN.

To waryaty oba! i tyś sam mózg skręcił.

DOKTOR.

A cóż wiesz, że nie jesteś jak ci obłąkani?
Ty chciałeś zabić widmo, poświęcić się za nie.
O! złota rybko w kryształowéj bani,
Tłucz się o twarde brzegi niewidzianych granic;
Mały kryształ powietrza, w którym pluszczesz skrzelą,
Jest wszystkiém, a świat cały nicości topielą.

KORDYAN.

Myślę.

DOKTOR.

Więc świat jest myślą twoją.

KORDYAN.

Cierpię.

DOKTOR.

Nie myśl.

KORDYAN.

Nie mogę...

DOKTOR.

Możesz, sposób niemyślenia przemyśl,
Oszaléj, będziesz świętym w Stambule.

KORDYAN.

Szatanie!
Przyszedłeś tu zabijać duszy mojéj duszę;

Ostatni skarb wydzierasz, własne przekonanie;
Ostatni promień gasisz.

DOKTOR.

Glinę boską kruszę...

KORDYAN.

Niechaj Bóg litościwy wyrwie z twéj paszczęki...

Wielki książę Konstanty wpada z żołnierzami i wskazuje na Kordyana.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wziąć go, prowadzić zaraz na śmierć i na męki!

KORDYAN.

To głos ludzi, o! Boże! raczyłeś mię przecie
Choć śmiercią wyswobodzić od tego człowieka...

Pokazuje na miejsce, z którego doktor zniknął.

Gdzież on! gdzież on?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Skoro go w mundur ubierzecie...
Prowadzić na plac Saski...

Wychodzi.

KORDYAN.

Gdzież on!

ŻOŁNIERZ.

Książę czeka.

SCENA VII.

PLAC SASKI.

Wojsko polskie jeszcze nieustawione... W jednéj stronie placu widać grono jenerałów, pośród nich car, wielki książę Konstanty niecierpliwy przechadza się. Zdala na około placu lud warszawski.

CHÓR.

Tysiące żołnierzy, bagnetów tysiące,
Obwisłe sztandary, bagnety nie drżące,
Cicho jak w ostatni sąd.

WIELKI KSIĄŻĘ, komenderując.

Do frontu! równać front!...

CHÓR.

W jeden rząd długi, prosty piechota się zwarła.
Gdybyś o cal z szeregu wykazał pierś cara,
A z drugiéj strony szyku miał Tela Szwajcara;
Strzała by się o każdą pierś polską otarła.
I nie raziwszy żadnéj, zbiła jabłko carskie.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Grać.

CHÓR.

I zagrzmiały muzyki janczarskie,
Ucichły znowu... dają głos carowi.

CAR do żołnierzy.

Zdrowiście, dzieci?

GŁOS ŻOŁNIERZY.

Z łaski Boga zdrowi.

CHÓR.

Co powiedzieli gwarem, Bóg tylko zrozumie,
Jak modlitwę rozbitą w morza głuchym szumie.

Sześciu żołnierzy przyprowadzają bladego Kordyana. Stawią go przed carem. Wielki książę przybiega z wściekłością.

WIELKI KSIĄŻĘ, do Kordyana, pieniąc się.

Ha! psie polski! przyszedłeś — czemuś taki blady?
Przewidziałeś, co czeka? Kacie! roskolniku.
Ty nosisz szlify? precz! precz! precz! Rozciskam gady.
Rzucę cię pod kopyta trójrzędnego szyku,
Albo tu zwalę w piasek... i moją ostrogą
Napiszę *wor* na czole. Car ciebie darował
Zemście mojéj. Car ciebie sam w grobie pochował!
Z książęcéj dłoni dyabły wydobyć nie mogą!

CAR, na stronie.

Myśli, że mię oszuka?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dać tu cztéry konie.
Ha! ty psie masz gorączkę, ale ciało zdrowe?
Każdy z członków zostawisz na końskim ogonie,

A koń mój najsilniejszy zerwie z karku głowę.
Milczysz! Ha, ja się wściekne... ten pies ciągle milczy.

Uderza kułakiem w pierś Kordyana.

Słuchaj! do twego ciała głód uczułem wilczy,
Kąsałbym.

Zgrzyta zębami.

Cha! cha! carze, lubisz konne sztuki?
Pokażę ci ogromny skok. Znieść karabiny.
Ustawić w piramidę, poszczepiać za kruki
Ostrzem do góry — związać jak snopy, jak trzciny.

Żołnierze ustawili piramidę z karabinów.

Teraz, psie, siadaj na koń i leć z nim do dyabła.
Ty milczysz — co? na widok dusza ci osłabła?
Myślisz, że się zlituję. Wszak poświęcam konia,
Konia poświęcam, słyszysz? a ciebie? No! w drogę!
No! ruszaj! ruszaj! ruszaj! czemuż trąbą słonia
Wziąć ciebie i na kolce zarzucić nie mogę?
Wrzuciłbym.

Ostygając.

No, posłuchaj, Lachu, wstydem płonę.
Mówiłem o Polakach, że chłopy szalone,
Gotowi z królewskiego zamku w Wisłę skoczyć.

Z wściekłością.

Skacz! bo każę cię w lochy Karmelitów wtłoczyć!
Głodem zamorzę! wsadzę pomiędzy szkielety;

Proszącym tonem.

No, Lachu! jeśli żywy przeskoczysz bagnety,
To daruję ci życie.

KORDYAN.

Dzięki, książę, dzięki,
Żeś mi powiedział wszystko; gdyby dar żywota
Można zyskać ruszeniem palca u téj ręki,
To nie ruszyłbym palcem.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Boi się hołota!

CAR.

Jeśli oto ci chodzi, ręczę, że choć zdrowy
Jako ptaszek przelecisz nad las bagnetowy,
To kule cię nie miną. Książę! on się boi!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Widzisz! więc car zaręczył — zginiesz — martwy stoi!
Żołnierze! kto z was skoczy, dam krzyż świętéj Anny,
Świętego Stanisława... jeśli wyjdzie ranny
Tysiąc złotych pensyi — tysiąc — dwa tysiące,
Cztéry tysiące — o wy psy! nie psy — zające!
Polaki.

KORDYAN.

Niech mi konia podadzą.

Siada na konia i odjeżdża w koniec placu.

WIELKI KSIĄŻĘ woła Kurutę.

Kuruta!
O gdyby on przeskoczył!

KURUTA.

Ten człowiek wart knuta.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niechaj przeskoczy! słuchaj! ja chcę, niech przeskoczy!
Car ujrzy, jak mój żołnierz nad Moskale lotny.
Patrz! jedzie, zatrzymał się — tam obraca oczy,
Do ludu, tam lud stoi cichy, czarny, błotny.

Marszczy się jak tygrys.

Nie lubię tego ludu — patrz, chustkami wieje,
Kapelusze podrzuca. Kuruta! masz nadzieję?

KURUTA.

Jak wasza książęca Mość.

KSIĄŻĘ, gwałtownie.

Patrz! patrz! piasku chmura!
Nie widzę, spinaj konia! Ha! przeskoczył.

WOJSKO krzyczy.

Urra!

LUD krzyczy zdala.

Żyje!

Żołnierze przyprowadzają chwiejącego się Kordyana, książę bierze go w swoje objęcia.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Cóż ci, mój druhu? No! no! chwat młodzieniec!
Nieprawda, koń mój żartki? skacze jak szaleniec?
Musiałeś nie czuć skoku? Wasza Mość Cesarska
Widziałeś. Oprowadzić konia, niech wyparska.

Do Kordyana.

Ręczę za twoje życie — idź! tyś chory? senny?
Wziąć go — odnieść do łóżka.

Odprowadzają Kordyana.

CAR, do jenerałów tak, że książę nie słyszy.

Złożyć sąd wojenny,
Godził na moje życie, rozstrzelać.

WIELKI KSIĄŻĘ, wesoło.

Trębacze!
Niech grają Dombrowskiego, książę sam poskacze.

Parada na placu Saskim.

SCENA VIII.

Izba klasztorna, obrócona na więzienie, okno kratowe, stół i łóżko drewniane. Kordyan skazany na śmierć gada z księdzem zakonnym. Grzegorz, stary sługa, chodzi po pokoju ze łzami w oczach.

GRZEGORZ do siebie.

Ten ksiądz już od godziny dręczy mego pana,
Ot! dajcie mu przed śmiercią pokój! dajcie pokój!
Jaki tam Bóg powiedział: dziecko w więzy okuj?
Nie ma Boga, przystaję do cechu szatana.

KORDYAN.

Grzegorzu, módl się za mnie.

Grzegorz jak skarcone dziecko pada na kolana i modli się. Kordyan klęka u stóp księdza, ten błogosławi i mówi, podnosząc Kordyana.

KSIĄDZ.

Synu! powstań z prochu
I leć do Boga, ale przebacz światu.

Warszawie

Bóg cię wyrywa z lwiéj paszczy i z lochu,
W którymbyś uwiądł nakształt mdłego kwiatu.
Teraz, mój synu, przed wieczności drogą
Nie masz co komu przekazać na ziemi?

KORDYAN.

Nic.

KSIĄDZ.

I nikogo na ziemi?

KORDYAN.

Nikogo.

KSIĄDZ.

Nie byliż ludzie przyjaciółmi twymi?

KORDYAN.

Nikt.

KSIĄDZ.

Tyś mi tego nie powiedział grzechu!
Zlituj się nad nim, Boże! Wielki Boże!

KORDYAN.

Nim zimne ciało do grobowca złożę,
Jakiś głos tęskny słyszę w duszy echu:
Pamiątek woła — i śladu na świecie.

KSIĄDZ.

I to grzech, synu. Wy młodzieńcy chcecie,
Schodząc ze świata, ślad wieczny zostawić,
Myślą wypalić, lub mieczem wykrwawić;
Pocóż ta żądza? Ani te opady
Liści uwiędłych chciwa rola zbierze,
Ani pomogą duszy, jak pacierze
W ustach przechodnia. I pocóż te ślady?
Jam cię zasępił — przebacz! bo ja może
Jestem za stary, a ty dziécię wiosen.
Więc nie rozumiem. Słuchaj! przy klasztorze
Jest ciemny ogród szpalerami sosen
Różnie pocięty — dzisiaj w tym ogrodzie
Zasadzę różę miesięczną i twojém
Nazwę imieniem, by zakwitła w chłodzie
Posępna, blada.

KORDYAN.

Niech ci pociech zdrojem
Bóg wynagrodzi — i nazwiesz tę różę
Mojém imieniem? i może nie zwiędnie!

Ksiądz odchodzi.

Spłyńcie się teraz w jednéj myślnéj chmurze
Wszystkie sny marzeń latające błędnie!
I bądźcie ze mną! Niebo! ty mi zapal
Słońce i księżyc i gwiazdy, bo konam!
Bo tam przed ludźmi, choćby wbity na pal,
Zamknę cierpienia i bole pokonam;
Lecz tu łez moich duma nie zatrzyma.
O! gdybym wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem; przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innymi oczyma
Dłużéj! ciekawiéj, a może ze łzami.
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje —
A jam nie słyszał. Czegoś mi nie staje!
Ludzi znać nie chcę, lecz niech się obeznam
Z ziemią, piastunką ludzi. O! ty ziemio!
Byłażeś dla mnie piastunką troskliwą?

Po chwili ze wzgardą.

Niech się rojami podli ludzie plemią,
I niechaj plwają na matkę nieżywą,
Nie będę z nimi! Niechaj z ludzkich stadeł,
Rodzą się ludziom przeciwne istoty,
I świat nicują na złą stronę cnoty,
Aż świat, jak obraz z przewrotnych zwierciadeł,
Wróci się w łono Boga, niepodobny
Do tworu Boga. Niechaj tłum ów drobny,
Jak mrówki drobny, ludem siebie wyzna!
Nie będę z nimi! Niech słowo ojczyzna
Zmaleje dźwiękiem do trzech liter cara;
Niechaj w to słowo wsięknie miłość, wiara,
I cały język ludu w te litery,
Nie będę z nimi! Niech szubienic drzewa

Księgozbioru
No
Seminarjum Państw.
Naucz. rel. mojż.
w Warszawie

W ogrodach miejskich rosną jak szpalery,
Niech się w ogrody takie tłum wylewa,
Śmiechom przyjazny, a łzom nienawistny;
Niech niańki w ogród szubienic bezlistny
Prowadzą dziatki, by tam dla zabawy
Grzebały piasek krwią męczeńską rdzawy,
Nie będę z nimi! — O zmarli Polacy!
Ja idę do was! Jam jest ów najemny,
Któremu Chrystus nie odmówił płacy,
Chociaż ostatni przyszedł sadzić grono;
A tą zapłatą jest grób cichy, ciemny,
Tak wam płacono.

GRZEGORZ.

Panie! nie mogę skończyć pacierza, co każe
Przebaczyć wrogom. Bóg ich na ziemi ukarze.
Oj paniczu mój drogi, nacóż tobie było
Ten pistolet przykładać do białego czoła?
Pamiętam, w lesie oko miesięczne świéciło,
Szedłem, a ciągle za mną ktoś! Grzegorzu! woła.
Szedłem po lesie — nagle widzę me dziéciątko
Na wrzosach, krew czerwona płynie jak rubiny.

KORDYAN.

Nie wspominaj mi o tém.

GRZEGORZ.

Szatańską pieczątką
Pan naznaczyłeś czoło, giniesz z owéj winy.
Widzi pan. Człowiek siebie nad brata miłuje,
Gdy Bóg karał Kaima, a on zabił brata;
Więc każdy, co się kulą zabija lub truje...

Zatrzymuje się i z rozpaczą.

Przewidziałem nieszczęście! lecz śmierć z ręki kata!
O! o! o! Panie drogi! pociesz mię, mów do mnie!
Pisarzowi napisać każę twoje słowa,
W życiu je stary Grzegorz na piersi przechowa,
Każe je dzieciom w grobie położyć — koło mnie,
Blisko, bo słowa dziecka, to staremu kwiaty.

KORDYAN.

Czy ty masz dzieci?

GRZEGORZ.

Och! mam syna.

KORDYAN.

Czy żonaty?

Grzegorz daje znak głową, że tak.

Więc jeśli się synowi twemu syn narodzi,
To go ochrzcij imieniem mojém, Kordyan.

GRZEGORZ.

Panie,
Będę płakał, wołając na wnuczka: Kordyanie!

KORDYAN.

O! nie, tak nie nazywaj — imię mu zaszkodzi.
Nie nazywaj Kordyanem.

GRZEGORZ.

Paniczu mój drogi,
Nie wydzieraj, coś dawał, jam się już oswoił
Z tą myślą, że mój malec choć nędzarz, ubogi,
Ja go będę nazywał Kordyan — jeśli zbroił,
Ja go nie będę karał. Niech rośnie jak kwiatek
Kordyanek mały! mój Kordyanek! mój bławatek.

Śmieje się ze łzami w oczach.

O! panie! panie! czemuż ty go nie zobaczysz!

KORDYAN.

Boże! dziecka za imię ukarać nie raczysz,
Ani mu stworzysz życie, równe memu życiu?
To dziwnie, że jak człowiek tonący w rozbiciu
Chwytam się każdéj słomki — szukam przeżyć siebie.

Zamyślony.

Więc gdy mi wezmą życie, a starzec pogrzebie!
Kiedyś!... za błędném dzieckiem, po łąkach, lub w borze,
Głos matki wołać będzie... Kordyan! Kordyan! długo...
Dziécię śmiechem odpowie, nad kwiecistą strugą...

A pośród ciemnych murów, gdzieś w cichym klasztorze
Róża moja zakwitnie... Ksiądz w czarnym habicie
Pacierze nad nią zmówi... Więc róża — i dziecię.

Oficer wchodzi z księdzem zapłakanym.

KSIĄDZ.

Synu!...

KORDYAN.

Na jaką idę śmierć...

OFICER.

Na rozstrzelanie...

Grzegorz pada na kolana. Kordyan bierze w obie ręce jego siwą głowę i całuje mówi przerywanym głosem.

KORDYAN.

Bądź zdrów, mój wierny — ojcze...

Odchodzi.

GRZEGORZ, wyciągając ręce.

Panie! panie! panie!

Pada na ziemię... Potém zrywa się i wybiega śpiesznie za Kordyanem.

SCENA IX.

Pokój w zamku królewskim.

CAR, sam.

Nudno! Szkoda, żem puścił tego szambelana,
Co jak mops na dwu łapach przedemną tańcował.
Skacz! skacz! skacz! Radbym dostać Machmuda sułtana,
Aby skakał przedemną... Będę go częstował
Dymami siarki, prochu, aż w dymie uduszę...

Patrzy na ściany.

Cóż to? na ścianach gmachu pył spostrzegam brudny?
Tam w końcu pająk sidła zastawuje musze.
Pył... pył... Ten pył mię bawi, świadczy gmach odludny,
To chwast na grobie wroga... Polska już ostygła,
Umarła i na wieki... Jak magnesu igła
Na północ obrócona w Sybir patrzy mroźny.

Zdala trup tego kraju zdawał mi się groźny...
Marzące o podbojach myśli nieraz zwichnął...
Przyjechałem... trup zadrżał, nawet się uśmiéchnął...
Łez nie widziałem... domy kobiercami kwietne?
Daléj więc... Europę jak jabłko rozetnę,
A nóż zatruty obie zatruje połowy.
Króle! dajcie mi pokłon koronami z głowy!...
Ha! ha! albom ja wielki? albo świat ten mały?
Albo głupi świat cały? albom ja rozumny?...
Część ogromnego kraju szach mi oddał dumny;
Garść téj ziemi kazałem spłomienić w kryształy,
I kryształowe łoże szach dostał i wdzięczny.
O wielki synu słońca! o bracie miesięczny!
Czy ci nie zimno w łożu kryształowém cara?
Na zachodzie stugłowa wyrasta poczwara,
Lecz wkrótce w petersburgskiéj każę ulać hucie
Łoże drugie z kryształu — dla ludów zachodu;
Miarę na długość wezmę z moskiewskiego rodu,
A który naród dłuższy nad łoża okucie,
Kryształu nie rozciągnę, lud skrócę o głowę.
Ludy! poślę wam! poślę łoże kryształowe.
Któż to?... Brat mój!

Książę Konstanty wbiega zadyszany.

Jak się masz? Kostusiu! co słychać?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza cesarska Mość... niech...

CAR.

Nie możesz oddychać?
Widać, żeś się tu śpieszył? czemuż ci tak śpieszno?
Zapewno mi przynosisz jaką wieść pocieszną?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Ha, Wasza cesarska Mość... kazałeś...

CAR.

Mów śmiało...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Rozstrzelać... Ha!

CAR.

Tak mi się, bracie, podobało...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niech Wasza cesarska Mość odwoła! niech raczy
Odwołać wyrok śmierci.

CAR.

Książę, co to znaczy?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Proszę Waszéj cesarskiéj Mości, niech ten człowiek
Żyje... Nie traćmy czasu — chwili — mgnienia powiek,
Oto ułaskawienie, pióro...

CAR.

Pióro moje
Spisałem na wyroku śmierci, przy nim stoję.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza cesarska Mość niech stawi żyda na papierze,
Byle podpis .. do krocset...

CAR.

Bracie, mówmy szczerze.
Chcesz ocalić Kordyana?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Chcę! chcę! chcę!

CAR.

I właśnie
Dla tego zginie.

WIELKI KSIĄŻĘ, z zadziwieniem.

Co? co?

CAR.

Bracie, skończmy waśnie,
Spać mi się chce...

Książę chodzi po sali, widać w nim burzę wściekłości... bierze z kominka porcelanę i rozciska w dłoni...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dla czegoż Wasza Mość cesarska
Nie chce téj małéj łaski? — Jam ci tron darował!..

CAR.

Bracie, pohamuj wściekłość, co nozdrzami parska.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Przebacz Wasza cesarska Mość, będę hamował,
Lecz proszę, niech ten człowiek żyje.

CAR.

Tyś morderca,
Jeśli on nie morderca... Odejdź, bracie miły,
Nie chce mi się zaglądać w brudy twego serca;
Wolałbym dwumiesięczne rozrzucać mogiły.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? nie rozumiem...

CAR.

No! no! idź i bądź spokojny.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Bracie! bracie, z tygrysem nie zaczynaj wojny!
Jam ci tron dał, na którym siedzisz, ja przy tronie
Leżę jak lew bronzowy, jeśli ja zawyję?
Jeśli usłyszą ludy, że lew ryczy? żyje?
Ludy przypomną, żem ja winien żyć w koronie,
A ty w stajni, w kazernie musztrować szeregi...

CAR.

Książę! widzę, że wina przelałeś nad brzegi.
Co? tyś mi tron darował? było go wziąć, bracie,
Boś ty się w purpurowéj urodził komnacie,
Sto dział grzmiało nad twoją złocistą kołyską,
I dano ci greckiego cesarza nazwisko;
Lecz potém, matka twoja, żona Pawła cara,
Zbrzydziła cię, wyrodku! tyś miał nos Tatara.
Zamiast ssać łono, tyś je pokąsał jak szczenię...
Wyrosłeś. Przyszła matka i rzekła: tyś głupi,
A tobie powiedziało to samo sumienie.

Rzekła ci: daj tron bratu! rzekłeś: niech brat kupi...
Więc kupiono u ciebie zrzeczenie się tronu.
Było go wziąć... a coby ci zostało z plonu?
Czy śmiałbyś w oczy matki spojrzeć okiem cara?
A uśmiech jéj? a słowo: tyś głupi? a czara
Nalana zmarszczonymi rękami twéj matki?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! carze! truciznę schowaj na ostatki.
Znałem was dobrze, katów bezczestnych i dumnych,
Was matka nauczyła zabijać słowami.
Dwóch było mądrych, trzeci głupi; do rozumnych
Ktoś rzekł: waszego ojca udusim szarfami;
Odpowiedzieli: dobrze. Poszli... udusili...
Pomnisz, Beningsen przyszedł i rzekł: Pawła cara
Udusiliśmy... rzekli: amen... Więc zabili,
Sami zabili ojca — a na szarfy kara...
Ha! szarfy wyrzucili jak zużyte sprzęty
Za granice moskiewskie, na kraje sąsiadów;
Darowali Europie gniazdo żółtych gadów.
A do lochu rzucili zewłok ojca święty,
Zaledwo ksiądz odszeptał jeden pacierz prędki.
Nie wynieśliście trupa na tron złotolity,
Bo z pod nogi zbójców wyszedł zmięty, zbity,
Podobny do tygrysa z błękitnymi cętki.
Lecz naród krzyczał: syny! wyście nam ukradli
Komedyą pogrzebu, łzy wasze książęce,
I widok miły królów, co tak nisko spadli...
Wynieście ojca ciało! całujcie mu ręce!
Bo my chcemy obaczyć, jakie to są cary,
Których można zabijać bez sądu i kary?...
Pamiętasz! jak zduszony kadzideł wyziewy
Całowałeś tę rękę i całun żałobny...
A potém myłeś usta całą wodą Newy.
O! jak ty jesteś, bracie, do ojca podobny,
Patrzéć nie mogę! zmyj twarz! zmyj twarz, podobieństwo...
Bo ja patrzéć nie mogę... Bo rzucę przekleństwo,
Które aż Bóg usłyszy...

CAR.

To królewska zbrodnia.

WIELKI KSIĄŻĘ.

A wszakże ci sybircy, których karzesz co dnia,
Mogą krzyczeć z kibitek: Carze! z nami razem!
Jedź z nami! bo zabiłeś ojca; niechaj katy
Pocałują cię w czoło czerwoném żelazem...
Lecz ty lud trzymasz głupi, bez żadnéj oświaty.
Kilka kłosów z gwardyjskiéj wyrosło równiny,
Więc na Turków!... Michale, wiedź ich... on nie umie..
Wiesz, czego chcę po tobie? — Michał nie rozumie.
Głupcze, krzyknąłeś, podsadź pod szeregi miny
I wysadź na powietrze!... Brat Michał dwa palce
Do czoła... pokłon niemy... i odszedł... a w miesiąc
Pod gwardyą zatopione saletry padalce
Wybuchnęły jak piorun... aż grunt musiał przesiąc
Krwią ruską... Car się uśmiał... i rzekł: to pomyłka!...
A wiesz, carze? że za to mało knuty! zsyłka!
Katorgi nawet mało!...

CAR.

Bracie, twego serca
Powstydziłby się może najęty morderca.
Przypomnę ci zdarzenie...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? jakie?

CAR.

Nie skłamię.
Znałeś?

Mówi kilka słów do ucha księciu.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! milcz! milcz! milcz!

CAR.

Nie! aż cię połamię
Słowami knutowymi... aż czoło wypiekę
Do mózgu myśli twoich.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! ja się wściekę!
Milcz!

CAR.

Milczeć?... Wszak nie jestem sumieniem książęcia,
Ani pochlebcą płatnym...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Na wszystkie zaklęcia!...
Milcz!...

CAR.

Gdzie się owa piękna Angielka podziała?
Lat szesnaście, dziecinna, płocha, jak śnieg biała,
Z błękitnymi oczyma, na balach szczęśliwa,
Napół smutna, wesoła, mdlejąca i żywa;
Tak nieświadoma uczuć i światowéj burzy,
Że mogłaby się kochać sercem w białéj róży,
I bronić się kotarą zakrytego łoża
Przed róż kwitnących wzrokiem...

Książę siada i trzyma oczy wlepione w ściany.

Na nią ręka boża
Wysypała brylanty wszystkie i gwiazd ognie...
Lekki twór kryształowy złamie się, nie pognie,
Tak właśnie ona...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Ona... widzę ją...

CAR.

W dzień pewny
Przed dom Angielki dworska zajeżdża kareta;
Zapraszają lokaje na bal do królewnéj.
W lekkich szatach niemyślna jak motyl kobiéta,
Przyjeżdża, wiodą w zamek — w nieznane komnaty.
Pyta, gdzie bal? gdzie światła? gdzie muzyka? kwiaty?
Wszędzie cicho... prowadzą... wiesz, gdzie wprowadzona?
Nie starłeś jeszcze z czoła śliny, którą plwała.
Mściwy — wołasz... żołnierzy wściekłych rota cała
Wali się...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Nie kończ, carze! bo ci język skona!

CAR.

Siedź i słuchaj! wiem koniec zabawnéj powieści.
Na piękny żart się zdobył lubownik niewieści:
Jak ukryć trupa? lato — nie włożyć do lodu?
A trzeba skryć przed carem, przed posłem narodu,
Z którego książę ukradł człowieka — gdzież schować?
Jeden z przyjaciół księcia podjął się usługi,
Nie zaniedbał wszelako włosów przemalować,
Twarzy przekształcić... potém jak Pylades drugi,
Wziąwszy odzież bogatą, krzyże, tytuł grafa,
Najął w mieście część domu i zapłacił z góry.
Do pokojów z meblami weszła wielka szafa;
Co było w szafie? nie wiem — odźwiernego córy
Myślały, że w niéj szaty wieszano dziewicze.
Zamknąwszy drzwi na zamek, zniknął Pylad wierny.
Upływa tydzień — drugi... szmery tajemnicze...
Przez szpary do pokojów zagląda odźwierny,
Nikogo... nagle krzyknął: zaraza! zaraza!
Więc drzwi wywalił z szafy, odbija żelaza,
Okropnego coś razem wszystkie zmysły bije:
W szafie szkielet człowieka topi się i gnije...
Na trupie zapomniany brylant ogniem błyska.
Ten pierścień mówił... i dwa powiedział nazwiska:
Jéj i twoje...

WIELKI KSIĄŻĘ, budzi się z głębokiego osłupienia — i mówi z wyciem stłumioném, zrywając się z krzesła.

Ha! carze! carze! znasz mordercę?
Ja ci muszę te słowa nazad w gardło wdławić!
Połknąłeś tajemnicę i nie możesz strawić?
Pomogę mieczem... ona w sercu? wydrę serce!
Ona w mózgu? więc z mózgiem na ściany rozprysnę!
Czy wiesz? że skoro szpadą z okna tego błysnę,
Wnet cztérdzieści tysięcy bagnetów poruszę.
Na co? ja ci na gardle siądę i uduszę,
Do szaf zamknę królewskich i wyjdę wesoły.
Na ulicach Warszawy tłum ludu natrafię,
Cha! cha! cha! zapytają... gdzie brat? gdzie car — w szafie!
Cha! cha! Cara zamknąłem jak miecz kata goły
W pochwę zgnilizny... Cha! cha! niechaj go rdza toczy!

Niech lud czuje w powietrzu! A co? drżysz, mój bracie?
Wiesz, żem silny jak tygrys.. wiesz, że w téj komnacie
Jesteś sam na sam ze mną... a co? patrz mi w oczy!...

Car spogląda w oczy brata... i patrzą długo na siebie, jeden drugiego chce wzrokiem przełamać... Konstanty pierwszy spuszcza oczy... i oddala się... chodzi po sali... Car uważa każde jego poruszenie i mówi do siebie...

CAR.

Dobrze! wyszedłem cało... ta moskiewska żmija...
Buntu dźwignąć nie mogła... myślą się zabija...
Gdyby zamiast słów szpady dobył, jużbym nie żył...
Zamyślony — w zmarszczone czoło się uderzył;
Muszę tę myśl uprzedzić .. Konstanty!...

WIELKI KSIĄŻĘ, odpasuje szpadę i podaje bratu.

Niech Wasza
Cesarska Mość tę szpadę weźmie...

CAR.

Brat przeprasza...

Konstanty stoi milczący z czołem spuszczoném ku ziemi. Car bierze szpadę jego potém podpisuje ułaskawienie Kordyana i zatknąwszy je na koniec szpady, podaje księciu mówiąc:

Weź je razem ze szpadą.

Książę schyla głowę — bierze szpadę, potém dzwoni gwałtownie. Adjutant wchodzi... Książę daje mu ułaskawienie.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Leć na plac Marsowy!
Weź mego konia, zabij w galop — a leć ptakiem...
Zanieś to... Biada! jeśli włos z Kordyana głowy
Spadnie, nim ty dojedziesz.

Adjutant wychodzi.

CAR, ściskając dłoń wściekle.

Mój brat... już Polakiem.

SCENA OSTATNIA.

PLAC MARSOWY.

Zdala widać Kordyana przed plutonem żołnierzy. Na przodzie sceny lud rozmawia.

PIERWSZY Z LUDU.

Patrz! teraz kat nad głową łamie lśniącą szpadę.

DRUGI Z LUDU.

Jaki to krzyk? czy krzyknął?...

PIERWSZY Z LUDU.

Nie, usta ma blade
I nic nie mówi — ale gdy kat szpadę łamał,
Jakiś starzec padł z jękiem, może stary sługa?...

DRUGI Z LUDU.

Więc mu wzięli szlachectwo...

TRZECI Z LUDU.

Dekret dobrze skłamał:
On jako chłop nie pójdzie do chłopskiego pługa,
Pług po nim orać będzie...

PIERWSZY Z LUDU.

Chcą zawiązać oczy —
Nie pozwolił...

DRUGI Z LUDU.

Oficer wystąpił po przedzie...
Już ma komenderować... coś mi serce tłoczy!
Podnieśli broń do oka...

KRZYK W TŁUMIE.

Stój! adjutant jedzie!

PIERWSZY Z LUDU.

Oficer go nie widzi... rękę podniósł w górę.

1833.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Z Księgozbioru
No.....
Seminarjum Państw
dla naucz. rel. mojż.
w Warszawie

SPIS PRZEDMIOTÓW.

DRAMATY.

	Str
Mindowe	1
Marya Stuart	65
Mazepa	143
Kordyan	225

BIBLIOTEKA NARODOWA

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
293422
t.2
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005820537